

LEGIONY

H. SIENKIEWICZ



HENRYK SIENKIEWICZ

LEGIONY

INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

...»Wszyscy nasi wybitniejsi powieściopisarze podejmowali kolejno wielką legendę »Legionów« — pisze Berent w »Nurcie«. Henryk Sienkiewicz przez całe życie piastował pomysł wielkiej epopei o legionach polskich przy Napoleonie. Dziad jego, Antoni, był słynnym legionistą Dąbrowskiego.

Przerwana przez wybuch wojny i śmierć ostatnia ta, niedokończona powieść Sienkiewicza — »Legiony« — posiada wszystkie uroki jego wielkich powieści.

W stulecie urodzin Sienkiewicza, kiedy żołnierze polscy znowu z ziemi włoskiej oczekują marszu do Polski, myśl biegnie ku »Legionom«. Marsze, walki, nadzieje tamtych wojsk wydają się dziś szczególnie bliskie.

I jest jakaś głęboka wymowa w tym, że »Legiony« są epopeją niedokończoną.

LEGIONY

*Drogiemu Przyjacielowi
Harcerki z Palessynij.
H. Siedowicz*

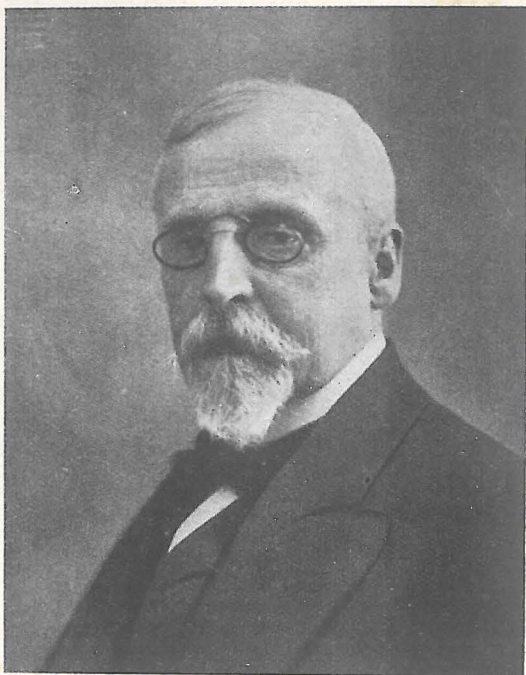
29. 7. 1946.

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGIONY

O. G. I. - Officine Grafiche Italiane - Via Cesena, 14 - Roma - Tel. 767166

INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946



HENRYK SIENKIEWICZ
(1846.1916)

PRZEDMOWA

ŻYCIORYS I TWÓRCZOŚĆ SIENKIEWICZA

W roku 1946 przypadają trzy rocznice Sienkiewiczowskie: 5 maja stulecie urodzin, 16 listopada — trzydziestolecie śmierci, wreszcie pięćdziesięciolecie »Quo vadis«. Henryk Adam Aleksander Pius Sienkiewicz pochodził z rodziny szlacheckiej, był synem Józefa, właściciela majątku Grotki, w powiecie radomskim, a urodził się w Woli Okrzejskiej, majątku babki, w powiecie łukowskim na Podlasiu, w pobliżu Kościuszkowskich Maciejowic. Rodzice poszli rychło z prądem czasu i dworek wiejski zamienili na kamienicę na Pradze.

Henryk już wcześniej rozpoczął naukę w gimnazjum realnym w Warszawie, w roku 1858. Rozpoczęte studia medyczne w Szkole Głównej porzucił po roku dla wydziału historyczno-filozoficznego, który ukończył w roku 1870. W czasie studiów akademickich ogłosił Sienkiewicz pierwsze prace literackie. Były to mianowicie — nie licząc powierzchownych prób poetyckich — recenzja ze sztuki Sardou w »Przeglądzie tygodniowym« i studium filologiczne o Szarzyńskim w »Tygodniku ilustrowanym«. Pierwsze też kroki po ukończeniu studiów skierował Sienkiewicz ku polu krytyki literackiej i dziennikarstwa. Współpracował jako felietonista i krytyk z »Przeglądem tygodniowym« »Niwą« i »Gazetą polską«, a krótko był też redaktorem dziennika »Słowo«.

Twórczość beletrystyczna Sienkiewicza sypcha niebawem na drugi plan jego zamięłowania dziennikarskie. Już pierwsze nowele: »Humoreski z teki Worszyłły«, »Stary sługa«, »Hania«,

»Szkice węglem«, pisane w latach 1872 - 3, a ogłaszane pod pseudonimem Litwosa, zwracają uwagę czytelników na wschodzącą gwiazdę pierwszej wielkości w literaturze polskiej. Kiedy Sienkiewicz wybierał się w pierwszą podróż po świecie w r. 1876, był już głośnym pisarzem. W dwuletniej podróży zwiedził Niemcy, Francję, Anglię, Amerykę północną, a w drodze powrotnej Włochy. »Listy z podróży«, ogłaszane w »Gazecie polskiej«, wobec dość słabych tradycji polskiego piśmiennictwa podróżniczego, umocniły sławę Sienkiewicza, a rozszerzone horyzonty i perspektywy pisarza przynoszą bogaty plon. Powstają nowele społeczne: »Janko muzykant«, »Za chlebem«, »Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela«, »Jamiół«, »Latarnik«, »Bartek zwycięzca«, »Orso« i inne, należące do skarbnicy literatury narodowej.

Powieść stała się drogą triumfalną Sienkiewicza. Wprawdzie pierwsza powieść »Na marne« (1872) nie uzyskała większej sławy, ale fragment p. t. »Niewola tatarska« (1880) zwrócił oczy całej Polski na pisarza w oczekiwaniu wielkich dzieł powieściowych. Jakoż nastąpiły i przerosły wszystko to, co dotąd było. Drukowana w odcinkach czasopism »Trylogia« stała się wydarzeniem, którym żyły najszerze masy narodu. W wydaniu książkowym ukazują się kolejno: »Ogniem i mieczem« (1884), »Potop« (1887) i »Pan Wołodyjowski« (1889).

Po tej potężnej pracy, przez którą Sienkiewicz sięgnął po laury pierwszego pisarza w narodzie, wybrał się on po raz drugi w świat, aby nabrać głębszego oddechu. »Listy z Afryki« są owocem tej wyprawy, a droga Sienkiewicza wiodła przez Włochy, Grecję i Hiszpanię. Pierwsza podróż pisarza przyniosła serię nowel społecznych, ta druga natomiast serię nowel i szkiców historyczno-klasycznych, takich, jak »Wycieczka do Aten«, »Wyrok Zeusa«, »Lux in tenebris lucet«, »Pójdźmy za Nim«. Ta ostatnia zapowiadała »Quo vadis«, tak jak kiedyś »Niewola tatarska« — »Trylogię«.

Sienkiewicz pragnął po powrocie z zagranicy skierować swą twórczość ku zagadnieniom ogólnoludzkim, ku problemom

współczesnej duszy. Niebawem ukazują się też psychologiczne powieści Sienkiewicza: »Bez dogmatu« (1891), »Rodzina Polanieckich« (1895) i »Na jasnym brzegu« (1897). Sienkiewicz sięga teraz do źródeł powszechnej kultury chrześcijańskiej i oparty na szerokich studiach i na bezpośredniej znajomości starożytności rzymskich, pisze »Quo vadis« (1896) - dzieło, które porusza cały świat, a pisarzowi przynosi w roku 1904 nagrodę Nobla.

Przedtem jeszcze napisał Sienkiewicz bodaj najlepszą swą powieść historyczną - »Krzyżacy« (1900). Tegoż samego roku otrzymał dar narodowy w postaci majątku Obłegorek w Kieleckim, gdzie się osiedlił i pisał dalej powieści, nowele i manifesty polityczne, do których miał prawo jako pisarz znany całemu światu. Manifesty te brały w obronę prześladowany przez zaborców naród polski i apelowały do sumienia świata. Mają one przeważnie formę listów otwartych - »List do cesarza Wilhelma«, »List Polaka do ministra rosyjskiego«, »List do baronowej Suttner« itd. Rok 1906 przynosi powieść »Na polu chwały« (Jan Sobieski), rok 1910 powieść społeczną »Wiry« (na tle wypadków roku 1905), rok 1911 śliczną powieść dla młodzieży »W pustyni i w puszczy«.

Ostatnią powieścią Henryka Sienkiewicza są »Legiony«, pisane w latach 1913 i 14, a ogłaszane w odcinkach »Tygodnika ilustrowanego«. Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał pisanie »Legionów«. W roku 1914 Sienkiewicz bawi kolejno w Krakowie, Wiedniu, wreszcie udaje się do Szwajcarii, gdzie w Vevey nad Lemaniem pozostaje do końca życia. Tu wraz z Janem Ignacym Paderewskim i Antonim Osuchowskim staje na czele Jeneralnego Komitetu Pomocy dla ofiar wojny w Polsce i w czasie tej pracy społecznej przychodzi po niego śmierć. Na trumnę złożyli wieńce przedstawiciele wszystkich państw wojujących — i sprzymierzonych i centralnych. Prochy Sienkiewicza wróciły do Polski w roku 1924 i złożone zostały na wieczny spoczynek w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie.

Mało który z pisarzy świata zdobył za życia taką ogromną i powszechną sławę, jak Sienkiewicz. Miliony książek z jego nazwiskiem pojawiło się we wszystkich cywilizowanych językach globu. Reakcje zaś na twórczość Sienkiewicza wahały się na świecie od skrajnego entuzjazmu do ironicznego lekceważenia. Wobec narodowej roli Sienkiewicza trudno było go krytykować w Polsce. A jednak miał on i w Polsce przeciwników i to nie byle jakich. Pierwszym był Aleksander Świętochowski, który nie ukrywał pogardy dla bezceremonialności Sienkiewicza w korzystaniu ze źródeł i wobec jego naiwnych, prawie bezmyślnych bohaterów i rzekomo płytkiej problematyki, co wielki pozytywista przeniósł także na samego autora »Trylogii«.

Stanisław Brzozowski, ideolog krytyki społecznej i intelektualnej, uczynił sztandar z walki z Sienkiewiczem i pokrewną mu strukturą ideową. Zaatakował on z furią Sienkiewicza w »Legendzie Młodej Polski« i innych publikacjach. Rozdział o Sienkiewiczu nosi tytuł »Polska zdzienniała«. Krytyk udowodnił, że »Rodzina Połanieckich«, główna pozycja jego ataku, szanująca zagadnienia społeczne do obrony rodziny polskiej, niczego do świadomości społecznej nie wnosi. Odrzuca rzeczona powieść skomplikowane myśli i potężne uczucia, sptyca problemy religijne. »Rodzina Połanieckich« istotnie nie stała się nigdy nie tylko ideałem polskiej rodziny, ale nawet poczytną powieścią.

Bardzo późno, bo już w latach trzydziestych naszego wieku, wystąpił historyk Olgierd Górka z zarzutami fałszowania historii przez Sienkiewicza i płynącego stąd złego wpływu wychowawczo-państwowego, domagając się usunięcia lektury »Trylogii« z programu nauczania szkolnego. Niezwykle to kazuistyczne wywody, boć dzieło literackie nie może być historyczną kroniką.

Żaden z wymienionych i kilku jeszcze pomniejszych krytyków nie tylko nie umniejszył znaczenia Sienkiewicza, prze-

ciwnie sam — jak Brzozowski — narażał się na niepopularność lub wywoływał — jak Górka — wzmożoną falę uwielbienia dla Sienkiewicza.

Na czym polega ta potężna władza twórczości? Oczywiście wartości formalne — językowe, stylowe, obrazowe, kompozycyjne, fabularne Sienkiewicza są niepospolite. Prostota postaci i ich język była świadomym zamierzeniem pisarza. Powinowaty Sienkiewicza, profesor Ign. Chrzanowski wspominał, jak bardzo skarżył się pisarz na ową »przekłętą prostotę«, jak musiał się naginać do umysłowości i poziomu życiowego epoki i bohaterów, aby uczynić ich rzeczywistymi. Powieść historyczna jest śliskim i niewdzięcznym rodzajem literackim. Autor musi chodzić po wąziutkiej grani między przepaściami fikcji i prawdy. Nie może ubiegać dziejopisów w dosłownym przytaczaniu źródeł, ale musi je umieć brać łatwo i szeroko. Siła jego leży w umiejętności czystej narracji. Sieć sumienia powieściopisarza historycznego musi mieć bardzo szerokie oka. Sienkiewicz posiada zdolność wyjątkową w adoptowaniu nie tylko źródeł historycznych, ale także w czerpaniu z dzieł literackich poprzedników. Powieść historyczna bowiem jest gatunkiem przemijającym. Przypomina las, który żywi się drzewami, które padły. Tylko wyjątkowe arcydzieła powieści historycznej, jej dęby stuletnie, żyją długo. I choć Sienkiewicz kwitnie i długo kwitnąć będzie bujną zielenią, już i do pnia jego dzieł zastukały larwy mijania. Rośnie z latami coraz bardziej dystans między bohaterami jego powieści i żywymi bohaterami epoki.

Poza Polską możnaby sławę Sienkiewicza wytłumaczyć renesansem powieści historycznej. Przyszły bowiem jego dzieła w chwili wielkiego znużenia realizmem współczesnej literatury psychologicznej. Kto wie, czy dziś w epoce reportażu wojennych, opisów więzień, katorg, obozów, męczeństw, ghet, Sybiru nie jesteśmy u progu ponownej reakcji literatury w kierunku historyzmu? Wątki bowiem wymienionych gatunków stają się z dnia na dzień coraz bardziej męczące, nużące i monotonne.

W Polsce inna przyczyna stała u fundamentów sławy Sienkiewicza. To idea żołnierska. Żaden inny naród nie otoczył taką aureolą idei walki zbrojnej, jak polski. Pisarze, którzy umieli ją najpiękniej i najmocniej wyrazić, są ulubionymi u Polaków. Ich bohaterowie są wzorami dla żołnierzy polskich. Dlatego Sienkiewicz jest częścią składową polskiego powietrza. Wszystko, co jest w Polsce heroizmem, jemu zawdzięcza część swoich natchnień. Sienkiewicz bezpośrednio działa na duszę narodu. Nie przejmują się jego twórczością jedynie apostołowie pozytywizmu i ci, którzy stawiają sprawy klasy ponad sprawą narodu. Wedle Brzozowskiego rycerz »nie stwarza życia, ale je osłania, a ono w myśl własnych swoich praw się toczy«. »Od wspólności ze światem kultury i pracy myśl polska odrąbała się przede wszystkim czynem heroicznym. Warneńczyk, Zawisza, Żółkiewski, Jan III są wytycznymi postaciami tego dramatu. Jednak Król Duch dziejów polskich już od XVII wieku zwał się w Europie Don Kiszotem«. Dlatego i »Duma o hetmanie« jest dla Brzozowskiego »frazzeologią«.

W czasie tej wojny Sienkiewicz dalej świecił w zenicie walki o wolność. Książki jego zawędrowały i w lasy archangielskie i nad wody workuckie i w głąb stepów kazachstańskich i do piekła obozów niemieckich i na pola wszystkich bitew w tornistrach żołnierzy. Pozwoliły przetrwać, bić się i zwyciężać. Żołnierze z Korpusu zaczytywali się w »Trylogii«. Ta moc — idei walki — będzie Sienkiewicz żył tak długo, jak długo naród polski będzie toczył walkę o swe istnienie, wolność i godność.

SIENKIEWICZ W ŚWIECIE

Ponieważ tematyka »Legionów« związana jest z Italią genetycznie i tematycznie, nie od rzeczy będzie i na czasie przypomnienie kilku uwag o stosunku Sienkiewicza do Italii i wzajemnie stosunku Włochów do Sienkiewicza, a przy sposobności o znaczeniu Sienkiewicza w świecie.

»Quo vadis« Henryka Sienkiewicza, wedle słów St. Windakiewicza, stało się »zdobyciem Włoch przez literaturę polską«. Słońce nieba włoskiego prześwieca też niejedną kartę utworów Sienkiewicza. Zaślubiny kultur polskiej i włoskiej są bardzo starej daty. Przedziwny jest wyrok Opatrzności, który rozkazał żołnierzom polskim zdobywać w roku 1944 opactwo Monte Cassino, z którego przed siedmiu wiekami wyruszyli apostołowie zachodniej kultury, Benedyktyni, aby ją szczepić na ziemiach polskich. Dobrze się widać przyjęło to szczepienie, skoro po wiekach w oczach Francuza, Melchiora de Voguë, »Polacy są Włochami północy«. Przenikanie wzajemne, z potężną oczywiście przewagą kierunku z Italii ku Polsce, obu kultur, a więc i literatur, dokonywało się bezustannie. Prace St. Wędkiewicza, Romana Pollaka, Mieczysława Brahmery, Macieja Loreta, Tadeusza Sinki, Stanisława Windakiewicza, profesorów włoskich Jana Mavera i Henryka Damianiego oraz trzech pokoleń turyńskiej rodziny Bersano Begey i wielu innych wykazują bogactwo motywów włoskich w literaturze polskiej. Świeża książka Alfonsa Bronarskiego »L'Italie et la Pologne au cours des siècles« (Lausanne, 1945) zestawia literackie inspiracje pisarzy polskich z wędrówek po Italii i ze źródeł jej kultury. Nie brak i we włoskiej literaturze tematów polskich, niekiedy wzruszająco serdecznych, jak to wykazuje świetna książka M. Brahmery. »Z dziejów stosunków kulturalnych polsko-włoskich« (Warszawa, 1939).

Trudno się silić na nawet najbardziej ogólnikowy przegląd motywów włoskich w polskiej literaturze i dziejów peregrynacji naszych pisarzy. Bywali we Włoszech najwięksi mistrze polskiego słowa i dyletanci, pątnicy, podróżnicy, uczeni, filozofowie, poeci, malarze, muzycy, krytycy, studenci, królowie, książęta, prymasowie, kardynałowie, nauczyciele i prawie każdy z nich pozostawił jakieś wspomnienie Włoch w swych pismach — już to arcydziełach lubo nieporadnych ramotach. Można powiedzieć, że niemal wszyscy wybitniejsi Polacy dążyli od wieków do Włoch, jako do źródła chrześcijańskiej kultury. Nie zawsze

wyjeżdżali zachwyceni. Kto wie, czy nie więcej rozczarowań i skarg, niż pochwał zebrano się nad Italią w literaturze polskiej. Wybór prozy polskiej o Włoszech w opracowaniu prof. *Mavera* ukaże się niebawem, a motywy włoskie w poezji polskiej znajdują również wyraz w osobnej książeczce. *Pobieżnego przeglądu ich dokonali już dwaj profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, Tadeusz Sinko w broszurze »Refleksy Rzymu w poezji polskiej« i St. Windakiewicz w »Odkryciu Włoch«.* W tej ostatniej właśnie broszurze jest zdanie, że *Sienkiewicz już nie odkrył, a zdobył Włochy.*

Nie tylko, zresztą Włochy. Pod koniec 19 stulecia cały świat uwielbiał *Sienkiewicza*. »Ilość wydań, liczba sprzedanych egzemplarzy, dochodząca podobno ogółem dwu milionów, popularność autora w rzeczywiście najszerszych kołach, przysłówowe cytowanie imion ulubionych postaci, wyzyskiwanych nawet jako aktualne środki reklamy - to wszystko można na poparcie wyjątkowego wzięcia przytoczyć«. (*M. Brahmer: »Literatura polska we Francji«, Przegląd współczesny, 1923, VII.* W krajach anglosaskich twórczość polskiego pisarza przyjmowana była entuzjastycznie i bezkrytycznie. Jakaś pisarka w Stanach Zjednoczonych wyraziła się: »The life is not worth living. I have just finished »Quo vadis« (»Nie warto żyć. Skończyłam »Quo vadis«). Pierwsze wydanie tego dzieła w Ameryce, w tłumaczeniu *Jeremiasza Curtina*, rozeszło się w mig w ilości 700 tysięcy egzemplarzy. Angielka *Monica Gardner*, poległa w tej wojnie od bomby w Londynie, opracowała monografię *Sienkiewicza*. Sława i wpływ polskiego pisarza rozciągają się na Szwecję, a niepospolite znaczenie osiągają u wszystkich narodów bałkańskich. Cała powieść historyczna rumuńska, z *Sadoveanu* na czele, wywodzi swój rodowód z *Sienkiewicza*.

Najgoręcej przyjęły *Sienkiewicza* kraje romańskie. *Hiszpan Blasco Ibanez* przyznaje, że pod wpływem »Quo vadis« powstała jego powieść »*Sonnica la Cortesana*«. Pierwszy francuski przekład »Quo vadis« w »*Revue blanche*« w 300 tysiącach

egzemplarzy rozszedł się w ciągu tygodni. Wielkie powodzenie uzyskała antologia nowel *Sienkiewicza* w tłumaczeniu francuskim *V. Bugiela* (1912). Ale entuzjazm dla *Sienkiewicza* we Francji panował raczej w masach czytelników. Krytycy i pisarze francuscy, zazdrośni o »podejrzaną poczytność« *Sienkiewicza*, a zwłaszcza »*Quo vadis*«, poczuli wypowiadać na ogół ostre o pisarzu i dziełach jego zdania. Nie podobano się im bezceremonialne posługiwanie się źródłami starożytnymi i oparte na fikcji rzekome historyczne konflikty i postaci. *Petroniusz* stał w głównym ogniu zarzutów. Miał oczywiście *Sienkiewicz* także we Francji wielbicieli wśród pisarzy i to raczej z powodu »*Trylogii*«, »*Krzyżaków*« i nowel ale górującą była niechęć, której czołowym rzecznikiem był *Leon Daudet*. W każdym razie świetny historyk literatury francuskiej, *Gustaw Lanson*, stwierdza: »Niesłychana wziętość, z przyczyn różnych i nierównomiernej wartości płynąca, rozposzechniła we Francji i na całym świecie powieści Polaka *Sienkiewicza*«. (»*Histoire de la littérature française*«, wydanie 14, 1920). *Niemieccy historycy literatury powszechnej, F. Baldensperger* i *P. Van Tieghem*, wypowiadają o twórczości *Sienkiewicza* sąd pozytywny, uważając go za typowego przedstawiciela piśmiennictwa polskiego.

Najtrwalszą, bo ciągle żywą, sławą otaczają *Sienkiewicza* Włosi. Być może, że przyczyną tego zjawiska jest — jak mniema *M. Brahmer* — »poczucie synowskich związków z imperium romanum« przez »*Quo vadis*«. Po raz pierwszy nazwisko *Sienkiewicza* pojawiło się Włoszech pod nowelą »*Michelin*« (»Z pamiętników poznańskiego nauczyciela«), tłumaczoną po francusku we florenckiej »*Revue Internationale*« w r. 1833. Potem dziwnym trafem »*La commedia degli equivoci*« (»Komedia z pomyłek«) w *Modenie*, w r. 1888 w »*volapüku!* Przekłady nowel (m. in. »*Szkice węglem*«, »*Pójdźmy za Nim*«, »*Latarnik*«) w czasopismach są dorywcze i przypadkowe. Pierwszym świadomym wartości literackiej tłumaczem *Sienkiewicza* był we Włoszech *Domenico Ciampoli*, który od

roku 1893 zajął się przekładami nowel Sienkiewicza, uważając pisarza za »stella filante« (»błyszczącą gwiazdę«). Wreszcie przyszło »Quo vadis« w tłumaczeniu Fryderyka Verdinois w r. 1899, poprzednio drukowane w odcinkach dziennika »Corriere di Napoli« (dane bibliograficzne przekładów Sienkiewicza we Włoszech pochodzą m. in. z artykułu Mariny Bersano Begey »La fortuna di Sienkiewicz in Italia« w Sienkiewiczowskim zeszycie »Iridiona«). Potem oczywiście tłumaczono we Włoszech niemal wszystkie dzieła Sienkiewicza. Wojciech Meisels w bibliografii przekładów Sienkiewicza w Italii doliczył się 113 pozycji, w tym wydań samego »Quo vadis« - 28. Jest to obliczenie niestychanie skromne, bo podobno »Quo vadis« wydane zostało po włosku blisko sto razy. Trudno to sprawdzić, bo książka polskiego pisarza stała się popularna na równi z epopeją włoską »Promessi sposi« Manzoni i »Serzem« Amicisa, osiągając dziesiątki wydań prowincjonalnych. »Quo vadis« weszło do literatury narodowej włoskiej, a pod strzechy nie tyle zbłądziło, ile stało się własnością niemal każdej wiejskiej chaty włoskiej. Można dziś znaleźć je w najbardziej zapadłym kątku Romanii czy Apulii. I »Trylogia« nie jest rzadkością wśród ludu włoskiego.

Sienkiewicz pobudził w Italii pewne naśladownictwa, sporą ilość rozpraw krytycznych (E. Ravaglia porównywał nawet »Quo Vadis« z najbardziej ulubionymi włoskimi »Promessi sposi«), poloniści J. Maver, H. Damiani, M. Bersano Begey i M. D'Amico są żyjącymi entuzjastami i tłumaczami Sienkiewicza, a w ogóle tylu ma Sienkiewicz we Włoszech przyjaciół, ilu chyba w Polsce. Evel Gasperini w »Przeglądzie społecznym« (1927, styczeń) z fanatyzmem broni Sienkiewicza przed atakami zazdrosnych krytyków, dowodząc że najtrudniejszą jest literacka popularność (»Nieprzyjaciele Sienkiewicza«). Papini nazwał Sienkiewicza »szczęśliwym malarzem al fresco«. Firma Detken e Roscholl w Neapolu, która pierwsza wydała przekład »Quo vadis«, odnosząc niestychany sukces wydawniczy, ofiarowała Sienkiewiczowi brązową kopię

byka farnezyjskiego, tematycznie przypominającą scenę z powieści. Dodać trzeba, że Włosi nakręcili dwukrotnie film »Quo Vadis«, a w sztuce pojawiło się kilka reminiscencji z powieści. Jan Styka stworzył głównie ze swych obrazów (wydanych też w osobnym album w Neapolu, 1922) muzeum pod nazwą »Quo vadis« w willi »Certosella« na Capri. Dziś jest ono zlikwidowane, choć obrazy pozostały na miejscu. (W kościele Kartuzów na Capri jest inna jeszcze pamiątka polska-fresk przedstawiający Sobieskiego pod Wiedniem). Wyraźny wpływ »Quo vadis« na literaturę włoską da się ustalić w poemacie lacińskim G. Pascolego »Pomponia Graecina« oraz w gwarowych sonetach Perugii i Rzymu (G. Pizzirani zatytułował cały cykl sonetów w dialekcie »romanesco« »Quo vadisse«).

Sienkiewicz kochał Italię jak drugą ojczyznę. »Každy, kto był we Włoszech, niechybnie zostawił w nich część duszy« — pisał w »Listach z podróży«. Oprócz dłuższych postojów Sienkiewicza we Włoszech w latach 1876-78 i 1890-91, bywał on co rok we wrześniu z dziećmi w Wenecji, którą uznawał za ulubione swoje miejsce na ziemi (F. Hoesick »U Henryka Sienkiewicza«, Tygodnik ilustrowany, rok 1910, nr. 10). Zachwył nad krajobrazem, historią, sztuką i kulturą Włoch wyraził pisarz w dwu seriach »Listów z podróży«. W tomie, obejmującym listy z podróży po Ameryce, mieszczą się listy z Rzymu i Wenecji. W Rzymie absorbuje Sienkiewicza wyłącznie starożytność, a w studiach i refleksjach nad nią zapowiada się już przyszły autor »Quo vadis«. Dzieło to zostało bezpośrednio natchnięte za drugim pobylem pisarza w Rzymie, w czasie zwiedzania kościółka »Quo vadis« z Henrykiem Siemiradzkim. (Ogromnie zaniedbany jest dziś ten kościółek. Czy nie byłoby pięknie, gdyby w 50-lecie »Quo vadis« i 30-lecie »Legionów« z Korpus trochę uporządkował ten kościół i umieścił na nim tablicę pamiątkową ku czci Sienkiewicza? Byłaby to komunia historyczna Polaków).

Forum Romanum, Colosseum i termy Karakalli, opuszczo-

ne miejsca, gdzie za czasów Sienkiewicza nie rozciągało się jeszcze miasto, lecz winnice i pola kukurydzy, były celem pierwszej jego rzymskiej pielgrzymki. W Wenecji na odwrót pociąga pisarza życie współczesne, choć i historii oddaje trybut należny w liście stąd datowanym, pełnym oburzenia na krwawe rządy dożów. W Wenecji w oczach Sienkiewicza wszystko »mimowolnie pozuje jakby do obrazu«, a miasto przedstawia mu się jak wielki salon, w którym odbywa się nieustanny bal pod niebem. Taki właśnie opis Wenecji znajdziemy potem w »Legionach«.

W tomie pism z r. 1894 zamieszczony jest szkic p.t. »Z wrażeń włoskich«. Jest to opis Nervi na Jasnym Brzegu, gdzie motywem głównym jest nadmorski pejzaż włoski. Jest to jeden z najlepszych opisów wybrzeża morskiego w literaturze polskiej (oczywiście nie lepszy, niż Żeromskiego, n.p. w jego misternych obrazach Capri w »Dzienniku podróży«). Sienkiewicz w opisie tym wyznaje swą miłość do Włoch. »Wszystko to jednak — pisze o krajobrazie — takie włoskie, takie pobrzeżne i morskie, takie skąpane w świetle i błękicie, że oczu od tego oderwać trudno«. I jeszcze raz w »Listach z Afryki« opisuje Sienkiewicz swój wyjazd z Neapolu w wigilię Bożego Narodzenia roku 1890, gdzie był świadkiem agonii wielkiego archeologa Schliemanna. »Neapol jest cudem świata, snem greckim«, ale pisarzowi śpieszno na Wschód, więc pobieżnie tylko pisze o samym Neapolu oraz o podróży przez jego świetlistą zatokę. Sienkiewicz, obok Żeromskiego i Konopnickiej, jest czolowym wielbicielem Italii w historii literatury polskiej.

RODOWÓD »LEGIONÓW«

Ostatnią powieścią Sienkiewicza, przerwana najpierw przez wybuch wojny, a potem przez śmierć pisarza, są »Legiony«. Drukował je w odcinkach w latach 1913 i 1914 »Tygodnik ilustrowany«, a jako książkę wyszły »Legiony« w r. 1916. Obecne

wydanie jest drugim. O tym fragmencie powieściowym nie ma prawie żadnej literatury. Aleksander Brueckner w tomie II »Dziejów literatury pięknej« uważa »Legiony« za »dzieło ze znakomitymi ustępami, zapowiadające się dobrze«, a jedyną impresję krytyczną poświęcił powieści Jan Lechoń w »Pro arte et studio« 1928, zeszyt XV.

Sienkiewicz planował przez całe życie napisanie wielkiej epepei o Polakach-napoleonidach. Niedawne wspomnienie p. Teresy Żukowskiej przynosi wiadomość, iż Sienkiewicz w liście do St. Witkiewicza skarżył się, że mu »tchu nie staje« na epepeję o Sułkowskim, do której poczynił znaczne studia, korzystając w nich z pomocy i materiałów Szymona Askenazego (»Ze wspomnień o Sienkiewiczu«, »W drodze«, Jerozolima, 1946, nr. 3). Bezpośrednio genezę »Legionów« i to na kilkanaście lat przed rozpoczęciem powieści, wyjaśnia wywiad F. Hoesicka z Sienkiewiczem. »Ponieważ — pisze Hoesick — w »Tygodniku ilustrowanym«, 1910, nr. 10 — dziad naszego pisarza, nim wstąpił do wojska polskiego, przedtem służył w armii Napoleona, więc mimowoli potrafiłem znów o temat, który już nieraz poruszałem z autorem »Bartka zwycięzcy«, mianowicie: że jest on stworzony do napisania powieści historycznej na tle wojen napoleońskich i bohaterskich walk Legii Nadwiślańskiej. Powieść taka, z głównym bohaterem legionistą (już Mickiewicz marzył o takim Legioniście) z Somosierry, z Berezyny, z bitwy pod Lipskiem etc. etc., toż to mogłaby być epepeja«.

— »Niewątpliwie, — odpowiedział Sienkiewicz — a nawet napisanie podobnej rzeczy przyszyłoby mi łatwiej, niż komu innemu, gdyż od dzieciństwa wzrosłem w tradycjach wojskowych napoleońskich. Niestety, żeby chcieć wyzyskać wszystkie świetne tematy, które się dopraszają opracowania w formie powieści historycznej, życia by ludzkiego nie starczyło...«.

Tradycje napoleońskie w rodzinie Sienkiewicza pochodziły od brata jego dziadka, Antoniego, sławnego żołnierza za Stanisława Augusta i potem legionisty Dąbrowskiego. Obawa

Sienkiewiczza, że mu życia nie starczy do napisania powieści o Legionach okazała się prorocza.

Dość trudno w warunkach emigracyjnych ustalić źródła historyczne »Legionów«. Z całą pewnością Sienkiewicz korzystał z materiałów piszącego właśnie wtedy swe wielkie dzieło »Napoleon a Polska« Szymona Askenazego i z »Pamiętników« Józefa Drzewieckiego, wprowadzonego do powieści, ogłoszonych w r. 1891 w Krakowie, zapewne też z monografii o Dąbrowskim Adama Skalkowskiego (Warszawa, 1904), może z pamiętników Dąbrowskiego i Wybickiego.

LEGIONY DĄBROWSKIEGO W LITERATURZE POLSKIEJ

Z ludźmi, książkami i bitwami często los się obchodzi niesprawiedliwie. Albo też, gdy o wielkości chodzi, ukrywa je przed targowiskiem współczesności, aby tym większy zgotować im triumf w pokoleniach. Tak rosły laury sławy i owoce historycznej nauki generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Za życia nie przyznano mu urzędowej wielkości i nie wręczono dygnitarstw. Czyny, które weszły do historii, wykonywał własnymi rękami, a miłość, miłość płomienną, miał u swoich żołnierzy i u mas narodu, nie w sztabach, gabinetach i łóżach. »Wiersze, na które był tak czuły, poezja, późniejsza zwłaszcza, przemilczały go za Godebskim. Lepszą pamięć o nim zachowała proza epicka, idąc jak gdyby za wezwaniem Staszica sprzed lat stu z okładem. Wprawdzie wszyscy niemal wybitniejsi powieściopisarze nasi podejmowali kolejno wielką legendę Legionów, usuwali oni jednak zawsze osobitość Dąbrowskiego na tyły, w głąb tła dziejowego, zadowalając się bardzo mgławicowym rysunkiem jego postaci dla tym większego reliefu zmyślonych osób powieści i romansu. Ale jest to zwykły los legendy. Nad głównego bohatera i sprawcę chwili dziejowej wybujało życie, jakie stwarzał. Stało się to już w wspominkach i gawędach pamiętnikarzy legionowych«. (Berent: »Nurt«).

Potomność niewiele przydała listków do wieńca na pomniku największego żołnierza Polski porozbiorowej na obczyźnie. »Poniatowski stanął posągiem konnym w samym sercu stolicy; na niedawne stulecie śmierci Dąbrowskiego upamiętniono go tabliczką na ratuszu Warszawy, którą po dwakroć obronił od nieprzyjaciela. Zanim całej doniosłości jego roli dziejowej nie uprzytomniła nam historia — znowuż doby naszej dopiero! — najżywsze echo jego legendy odezwało się z Litwy, którą nawiedził jedynie w pochodzie. Będzie ten mały ustęp z ostatniej księgi »Pana Tadeusza« jedynym jego pomnikiem«. (»Nurt«).

W historii literatury polskiej istnieje okres literacki, noszący miano »legionowego«. Jedni historycy napelniają go treścią poezji Legionów, pisanej przez poetów, którzy w różnych czasach i formacjach służyli w polskich (nie tylko Dąbrowskiego) legionach pod Napoleonem w latach 1797-1813. Inni radziby dla poręczności etykietkowania zaszeregować razem z żołnierzami i poetami cywilnych prozaików i poetów pseudoklasyków. Tak czy inaczej książkę Józef, a nie Dąbrowski, był nie tylko ulubieńcem salonów, ale i literatury polskiej i jego osoba przewija się często przez karty literackie legionowego okresu. Być może, że historia nie oblokła w posągi wszystkich piękności. Zdarza się, że w zapomnianych księgach, pamiętnikach i czasopismach błysnie urokiem jakiś poemat lub wspomnienie o Dąbrowskim, ale dostępne tylko dla badaczy. Jedyny poemat o Dąbrowskim powstał w roku 1797 w Reggio Emilia i zaczyna się od słów »Jeszcze Polska nie umarła«, zmienionych w ciągu lat i do którego dodawano coraz to nowe zwrotki — we Włoszech i potem w Kraju. Józef Wybicki, autor tego poematu, więcej utworów literackich o Legionach nie napisał. Pamiętnik jego nie jest dziełem literatury pięknej. Także i Michał Kleofas Ogiński, kompozytor jeżeli nie marsza, to napewno mazurka Dąbrowskiego, autor świetnych »Mémoires sur la Pologne et les Polonaises de 1788 à 1815«, nie pozostawił literackiej pamiętki o Dąbrowskim i jego Legionach.

Najwierniejszy »dąbrowszczyk« i najbardziej żołnierski pisarz legionowy, Cyprian Godebski, aczkolwiek w prozie trzyma się legionowych tematów, bo jest autorem i »Pamiętnika Legii Naddunajskiej« i »Grenadiera-filozofa — powieści prawdziwej wyjętej z dziennika podróży r. 1799« (drukem Warszawa, 1805), w jedynym wielkim o Legionach poemacie »Wierszu do Legiów polskich« — o Dąbrowskim ni słowem nie wspomina, bo właśnie Generał wtedy nie poszedł za pędem powszechnym i do Kraju nie wrócił, planując dalszą walkę na przekór wszystkim siłom, co opacznie rozumiano jako pozostanie na obcej służbie. Inny wiersz Godebskiego, wprost do Generała — pisany jest »z powodu jego małżeństwa« dnia 13 listopada 1807 r., a więc o jego historycznej roli nie wspomina. Nie pisali o Dąbrowskim uczestnicy walk 1809 i 1812 roku — Wincenty Reklewski, Antoni Górecki, Andrzej Brodziński, brat Kazimierza, Tarnowianin Kantorberry Tymowski, żołnierz kampanii hiszpańskiej, napisał poemat »Dumanie żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tągiem« (Kraków, 1810), ale i w jego poezji bohaterem epoki jest książę Józef. A jednak instynkt narodu jedyną pieśń o Dąbrowskim wyniósł do najwyższej rangi — hymnu narodowego. W pełni dopiero czasy dzisiejsze rozjaśniły — przez swe pokrewieństwo — wielkość Dąbrowskiego.

Najwspanialszą jednak książką o generale Dąbrowskim jest »Pan Tadeusz«, na co do tej pory właściwej uwagi literatura polska nie zwróciła. Bo nie — jak sądzi Berent — »będzie ten mały ustęp z ostatniej księgi Pana Tadeusza jedynym jego pomnikiem« kiedy »w emfazie judejskiej« cymbalista Jankiel składa hołd jenerałowi, Cały »Pan Tadeusz« jest hołdem dla Dąbrowskiego, którego imię dźwięczy od pierwszej do ostatniej księgi epopei. »Pan Tadeusz« zaczyna się pianem mazurka Dąbrowskiego, a kończy się jego fortissimem. Pianem, gdy Tadeusz »z dzieciinną radością« swój pobyt w domu rodzinnym zaczyna audycją »starego mazurka« - kurantu i fortissimem:

I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz triumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!«
Marsz Dąbrowski do Polski! - I wszyscy klasnęli
I wszyscy »Marsz Dąbrowski« chórem okrzyknęli!

Istnieje opera Żeleńskiego »Pan Tadeusz«, ale zdaje się, że kompozytor nie podkreślił w niej należycie tego motywu przewodniego, który jeszcze kilka razy bucha pod niebo Soplicowa, szczególnie na wieść o nadchodzącej wojnie.

(O »Panu Tadeuszu« jako o poemacie legionowym pisał autor tych uwag szerzej na łamach »Orla Białego«, 1945, nr. 45).

Aleksandra Fredry pamiętnik wojenny »Trzy po trzy« związany jest z legią polską przy Napoleonie, ale nie z legionami Dąbrowskiego.

W powieści polskiej Legiony Dąbrowskiego jawią się trzykrotnie. W »Popiołach« Żeromskiego (1904), »Legionach« Sienkiewicza i w »Nurcie« Berenta (1934). »Nurt« są to »opowieści biograficzne«, w literacką szatę ubrana kronika i myśl przewodnia walki, mozaika z kamyków prawdziwej historii. Jest to książka o wodzach i żołnierzach. »Popioły«, również zbudowane z rozległych i głębokich studiów archiwalnych i historycznych, posiadają urok i wady powieści Żeromskiego. Bohaterowie, pozornie i w zamierzeniu pisarza bardzo ludzcy, w rzeczywistości są nadludźmi, fantazja pisarza z wojen czyni niemal baśni. Bajeczne są i stopy ofiar w walkach i dantejskie sceny w Saragossie i miasta, sypiące się w gruz od austriackiej artylerii po kilku godzinach i bohaterowie nigdy jakoś przykładnie nie walczący w szeregach, ale błąkający się po polach bitew za przygodami, niczym dzisiejsi korespondenci wojenni.

Wszystkie trzy powieści oparte są na tych samych prawie źródłach, z tym, że najbardziej przejmuje się nimi Berent, czerpiący obficie z dzieła Askenazego, Żeromski tworzy na marginesie źródeł nowe życie, a Sienkiewicz czerpie ze źródeł o tyle, o ile potrzebne mu są do kształtowania fabuły. W

każdym razie wierność prawdzie historycznej ze wszystkich powieści Sienkiewicza jest w »Legionach« najmocniejsza. Wszyscy trzej pisarze znali dobrze Włochy i opisywane przez siebie tereny i wszyscy trzej przelali w swe powieści zachwyty nad urodą Italii. Śladów wzajemnych wpływów tych powieści na siebie prawie nie widać. Może tylko demoniczność postaci Chadzkiewicza (w istocie: Chodźkiewicza) zasugerował Berentowi Sienkiewicz. Jakieś drobiazgowo echa »Popiołów« (m. in. wstępny pejzaż zimowy i ogary w lesie) błakają się w »Legionach«.

LITERACKIE I POZALITERACKIE ZNACZENIE »LEGIONÓW«

Bardzo możliwe, że »Legiony« w twórczości Sienkiewicza zajęłyby poczesne miejsce. Przez karty fragmentu powieści wieje świeży wiatr. Już nie jest to powieść wyłącznie szlachecka, ale na scenę historii wchodzi zwartą ławą — świadomi narodowej roli chłopcy i mieszczaństwo. Masa żołnierska nie jest tłumem bez twarzy, lecz są to koledzy »paniczów«, myślący i czujący tak jak oni, których tęsknoty na postojach biją w niebo pieśnią »Jeszcze Polska nie umarła«. »Legiony« są tedy ry sunkiem przełomu dwu epok: gasnącego świata tej Polski, której testamentem jest Targowica i rodzącego się w bólu nowego — »jakobinów«, ale i żołnierzy, idących szukać wolności dla narodu na krańcach świata.

Może trochę przesadził w ocenie znaczenia »Legionów« Jan Lechoń, w cytowanej impresji w »Pro arte et studio«, a powtórzonej w antologii Kazimierza Czachowskiego o Sienkiewiczu (Kruków, 1928), ale ocena ta jest bliska prawdy.

»Sienkiewicz nie po raz pierwszy daje tu sobie radę z niesforną szlachtą polską — w kilkunastu scenach ujawnił jej duszę, tchnąwszy ją w bajeczne postacie od magnatów i senatorów aż do szarych zagonników, od karmazynów do szlacheckiego plebsu.

Parę zaledwie pociągnięć pióra powołało do życia biskupa Krasickiego, tak kapitalnego w swej rokokowej bez trosce i amoralnej lekkości, że jedna już ta postać przywołuje przed oczy epokę i jej zachód gasnący leniwie i pięknie, ostatnie rzucający światło na płowiejącą Rzeczypospolitej świetność. Streszcza ją, i znowuż przepysznie, wyszarzały majestat szambelana Kwiatkowskiego: jakiś Cedro-ojciec w gorszym wydaniu wlokący za sobą cienie Targowicy, bolesne przypomnienie strasznych, przerażających rzeczy.

Już w pannie Klarybelli, która tylko jako piękna plama od tła się odcina, jest coś z sentymentalnego romansu z przejściowej epoki: jakaś łza, zatrzymana pod powieką, jakieś spacerki przy księżycu z Richardsonem w ręku. I Krzysztof też ma w sobie bierność zapóźnionych lub urodzonych za wcześnie; w niego się wcielił szlachetny dekadentyzm, bezwład krytycyzmu, mądry uśmiech ludzi niestworzonych do czynu. Ale są w powieści i inni. Ci, którzy pójdą z Legionami do włoskiej ziemi, tacy, jakich jedynie pomyśleć można jako walczących bez trwogi, nową budujących wiarę na starych ukochań fundamentach.

Taki będzie Cywiński, którego zaściankowy romans do najpiękniejszych się liczy u Sienkiewicza, taki przede wszystkim Bogusławski, mocny, kapitalny charakter romantyczny, wcale nie książkowa, byronowska postać.

Tylko Marek Kwiatkowski zbyt może podpada pod schemat sentymentalnych postaci dziecięcych — rodzony to brat Litki i Marysi z »Wirów«. Ale i on także nie tylko jest poetyczną figurką, rozpieszczoną przez autora i przez to może zepsutą.

Ma znowu swoje miejsce w rządzie poetów-żołnierzy, a on by właśnie może, poniósłszy do Włoch zapłakane i roztkliwione serce, okrzepił je w żołnierskiej doli i wrócił do Kraju z piosenką.

Ostatnia powieść Sienkiewicza nie została ukończona. Urywa się w chwili, gdy sponad pyłu Via Salaria strzela w niebo

kopuła św. Piotra i Legion polski przyklęka przed matką kościołów, pokłon jej dając od dalekiej ojczyzny.

W tym miejscu nie tylko otwierają się szeroko ramy historycznego obrazu, ale i wichry wielkich wypadków wdziera się siłą do powieści.

Tutaj przede wszystkim jest kres i punkt najwyższy wiary szlacheckiej Sienkiewicza, tutaj do Rzymu przyjąć musiał, gdy wyszedł w drogę raz ostatni — przyszedł się pokłonić za łacińską wiedzę i rzymską wiarę, z której poszło rodem jego karmazynowe eposy szlacheckie, wykwintne zrozumienie dla starożytnych kultur »Quo vadis« i »Bez dogmatu«; w tym jest jego, zła czy dobra, ale odrębność, ale siła, ale niewyżebiane miejsce wśród polskich pisarzy.

I tam też biją źródła tego piękna, które »Legionom« świetną wyznacza kartę w literaturze — pierwszy to raz o napoleońskiej wojnie nie historia, nie dzienniki mówią, ale — szlachta«

Jedynie tylko ten ostatni wyraz nie udał się Lechoniowi. Bo właśnie że nie szlachta tworzy dzieje Legionów Dąbrowskiego, ale żołnierze — już teraz zrównani w szeregach chłopci, szlachta i mieszczanie.

Analiza szczegółowsza »Legionów« wydaje się zbyteczna. Powieść pisana jest płynnie, obrazy potężne, humor świetny, charaktery osób historycznych i powieściowych wyraźne, opisy Włoch pociągające, opis życia żołnierskiego głęboki, niezakłamanym. Wierzy się w prawdziwość kolorytu epoki i środowiska. Opisy mieszczan weneckich i ludu włoskiego w Emilii i Umbrii i stosunku ich do Polaków, postać przyjaciela żołnierzy polskich, kardynała Chiaramonti w Imoli, późniejszego Piusa VII, są przekonujące i przypominają często dosłownie stosunek Włochów do żołnierzy polskich i czasy walk z Korpusu na ziemi włoskiej w 150 lat potem.

Tymi to samymi drogami i pobożowiskami odbywały się marsze Legionów Dąbrowskiego i z Korpusu i tymi samymi taktami grała polska historia. Nie tylko zbliża tamtą i naszą

armię obcą, ta sama ziemia, wychodźstwo, wytrwanie, oddziaływanie z wygnania na sprawy Kraju, położenie Polski, sytuacje polityczne, nie tylko te same niemal szlaki marszów i pola bitew, ale utożsamia je idea. Tak jak ogień przed stu pięćdziesięciu laty był taki sam jak dziś, tak i idea polska. Stały dowództwa i garnizony Dąbrowskiego i z Korpusu w Neapolu, w Rimini, Ankonie, Arezzo, w Fano, Pesaro, Imoli. Cwiczyły Legiony w Bolonii. Jak krwią polską ściekały góry i przełęcze Apenin Toskańskich na drodze z Korpusu od Arezzo po Faenzę, tak Legiony przebiły się przez Apeniny od Florencji ku Bolonii - tym z grubsza kierunkiem, co za naszych dni V Armia. Życie, radości i smutki, nawet błędy i upadki, jak ukazują pamiętnikarze i beletryści, tamtych żołnierzy były jakby dzisiejsze. Te same codzienne przykrości i trudności. Uzupełniały się Legiony bezustannie mimo wyszczerbień, żyły nieugaszoną nadzieją na lepszy obrót losów, kształciły się i uczyły, tworząc na obczyźnie »małą Polskę« i przez to wszystko były ostatnią, niepokonaną siłą Polski, polską arką przymierza, świętym zniczem narodu, w nich skryła się dusza Polski. Nic dziwnego, że takim życiem zajaśniały dziś na nowo barwy Legionów, że drogim i bliskim stało się wszystko, co o nich pisano w literaturze.

Niechże kilka fragmentów »Legionów Sienkiewicza« zaświadczy o historycznej niezmienności polskiej idei:

Szambelan Kwiatkowski (Targowiczanie):

»...A Dąbrowski formuje legiony. Na co? dlaczego? przeciw komu? I chodzi im niby o ojczyznę... Ale Polska leży w Polsce, nie we Włoszech, ani w Paryżu... Ojczyzna? Owszem! Nam też o nią chodziło... nie chcieliśmy się jednak porwać z motyką na słońce... «

»Zapewne, że stało się nieszczęście, ale się stało i na to nie ma rady. Dziś trzeba myśleć o czym innym... trzeba ratować kapitalne pryncypia...«

»Nie tylko własna korzyść nakazuje trzymać się dziś dworskiej klamki, ale i patriotyczny obowiązek... I należy się z tym

śpieszyć, póki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą...«

»Bo — ozwał się Kajetan — choćby Kościuszek był zwołał pod Maciejowicami "finis Poloniae", to by jeszcze można zrozumieć, jako chwilową rozpacz. Ale co, mój drogi, jest okropne, co jest przerażające, to to, że te same słowa powtarzają sobie dziś po cichu ludzie w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie i w Wilnie, że uwierzyli, iż tak być musi, że żyli się z tą myślą, że inaczej myśleć nie są zdolni i że niczego już nawet nie pragną... Intrat, folwarków, spokoju, ciszy, zapomnienia, snu, niczego więcej! Sam słyszałem takie słowa: "To trudno! ciężko nam było przeżyć Polskę, ale skoro już jej nie ma, to musimy tak postępować, by nam było jak najlepiej". I akomodują się we wszystkich zaborach i składają homagia i bratają się z zaborcami, orzą, sieją, pożyczają pieniędzy, urzędują, żenią się, płodzą dzieci, bawią się i śmieją, albo jeżeli im nie dość wesoło w Kraju, a mają trochę grosza, to jadą do wód zagranicznych. Ot, w czym jest finis Poloniae. Życie się toczy, a Polski nie ma!«

»I począł mówić z wielkim uniesieniem, że legiony ratują honor narodu, że są protestem wobec świata przeciw rozdarciu kraju, że walcząc za wolność ludów, walczą zarazem za wolność Polski i że w nie wcieliła się dusza narodu, który chce żyć i żyć będzie.«

Kościuszkowski kapitan Plichta mówi przed śmiercią:

»Oto, gdy zginiecie wy obaj, gdy zginę ja, gdy zginą nas setki i tysiące, przyjdą po nas inni i polska siła się ostoi i legia nas przeżyje. Po świecie mówią: nie masz już Polski! a Polska tu jest! Nie było już wojska polskiego, a ono tu jest. I może Bóg da, że nie dziś, to jutro, bagnet nasz przewierci przez Austrię drogę do ojczyzny.«

TO JEST IDEA »LEGIONOW« I TO TAKŻE DZIŚ
JEST NASZ PACIERZ NARODOWY.

JAN BIELATOWICZ

CZEŚĆ I. W KRAJU

I.

Od lasu, ku dworowi w Różycach szli zaśnieżoną drogą dwaj młodzi ludzie ze strzelbami na ramionach.

Młodszy z nich, Marek Kwiatkowski, szesnastoletni chłopak, o delikatnej, niemal dziewczęcej twarzy i smutnych oczach, wysmukły jak trzcina, wyglądał trochę na pazia, trochę na poetę; starszy, Stanisław Cywiński, rosły, barczysty, rumiany, przedstawiał skończony typ młodego wiejskiego szlachcica.

Rozmawiali tak żywo, że chwilami stawali, jeden naprzeciw drugiego, by tym swobodniej wypowiedzieć, co każdy miał na sercu.

— Nie — mówił Marek — ja całą duszą, całym sercem wyrwam się do nich i nie cofnę się za nic na świecie. Ach! zwłaszcza po tej odezwie Dąbrowskiego!... Wiesz zresztą, że i tak nie mógłbym tu wytrzymać.

— A stryj szambelan? Dlaczego rozmowę z nim odkładasz z dnia na dzień? — zapytał Cywiński.

— Odkładałem, bo nie mogłem mówić otwarcie. A przy tym cóż nas o legionach włoskich dochodziło? Głuche wieści, w których nie było nic pewnego i którym ludzie zaprzeczali. Mówiono nawet, że i wezwanie Ogińskiego na Wołoszczyznę jest sfalszowane. Teraz co innego. Dziś, a jeśli nie dziś, to jutro, powiem stryjowi, o co chodzi, a co on o tym pomyśli, to mi jest zupełnie wszystko jedno.

— Nie koniecznie. Przecie to twój opiekun, a ty masz dopiero szesnaście lat.

— Siedemnasty.

— Niech i tak będzie, ale stryj trzyma cały majątek w ręku.

— Nie dba o majątek ten, komu droga ojczyzna i chwała.

To rzekłszy, Marek podniósł ku zachodzącemu słońcu swą chłopięcą twarz, zarumienioną od mrozu i dodał:

— A także i ten, kto szuka śmierci.

— Dobrze — odpowiedział z pewną niecierpliwością Cywiński. — Żeby jednak dojechać do Włoch, trzeba mieć za co dojechać, więc, pytam, co zrobisz, jeśli szambelan nie da ci ani grosza?

— Ucieknę, tak jak stoję. Mam dziesięć czerwonych złotych, dwa zegarki po ojcu i własnego konia w stajni. Gdy na niego siądę, nikt nie zapyta, dokąd jadę.

— Ja też mam konia, ale tam się konno nie dojedzie. Natomiast w mieszkku brzęka mi ledwie kilka złotych, a od rodziców nie chcę nic brać. Są na świecie Cywińscy, którzy mają coś więcej, niż płótno w kieszeni. Był stary bogacz, podczaszy poznański, a prócz tego i stryjeczny mego ojca siedzi w Lubelskiem na tegiej fortunie. Ale nam Targowica zabrała wszystko, a Lubelskie daleko, więc myślałem, że mi pomożesz. Byle do Włoch, to tam już miszek niepotrzebny. Żołnierz dostaje wikt i broń, a o resztę nie dbam.

Marek zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Stryj szambelan nie będzie się przeciwiał. Stryj jest człowiekiem zamożnym. Targowica innym zabrała, a jemu przysporzyła. Kajetanowi też została wioska po matce. Ale Różyce są moje, a Różyce to nie byle co. Gdy dojdę do pełnoletności, trzeba będzie mi je oddać, a ponadto zdać rachunek z funduszu, który nieboszczyk ojciec zostawił w gotówce. Przecie obaj z Kajetanem rozumieją, że jeśli zginę, to wszystko przejdzie na nich. Może tam coś powiedzą, ale szczerze nie będą się sprzeciwiali. Zażądam trzystu dukatów, a w razie mojej śmierci niech biorą Różyce.

— Za połowę tego możnaby na koniec świata dojechać.

— I dojedziemy.

— I będziemy tłukli kajzerlików, aż będzie w niebie słychać.

— A przedtem zobaczymy Włochy, Wielkiego Bonapartego, Dąbrowskiego, wojska nasze i francuskie... Ach! bić się za kraj, wrócić kiedyś z legionami i nie patrzeć tu codziennie na tych miłych krewniaków!... Choćby tylko dla tego, warto wszystko rzucić i iść na kraj świata.

Nastała chwila milczenia, tylko Cywiński wyciął kilka hołubców z radości na myśl o przyszłej wojaczce, po czym rzekł:

— Ależ wy się kochacie ze stryjaszkiem i z Kajetanem! No!

— Nienawidzę ich obu.

— Szambelana rozumiem, ale Kajetan, cóż? Stary Plichta mówi, że to w gruncie niezły człowiek, tylko odludek, mól książkowy i milczek...

— Zarozumialec i szyderca. Daj mi z nim spokój...

— Owszem, nie przyszyłem go sobie do serca i nie potrzebuję odpruwać — odpowiedział Cywiński.

Po czym, spojrzawszy z pewną przekorą na Marka, potrząsnął głową.

— Ty od pewnego czasu więcej na nich zgrzytasz, niż dawniej.

Marek, zarumieniony już od mrozu, zarumienił się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Mylisz się, bo ja nienawidzę ich od czasów Targowicy...

— Byłeś wtedy zupełnym dzieckiem.

— Byłem dzieckiem, ale posłuchaj tylko: ksiądz Lagrange, który wychowywał Kajetana, a później mnie, był Francuz, a jednak tak pokochał nasz kraj, że po wojnie Kościuszkowskiej nigdy nie odzyskał już zdrowia i umarł ze zmartwienia. A oni co? Stryj zapisał się po Sejmie Wielkim do Targowicy, Kajetan zaś niby do niej nie należał, ale do

Kościuszkowskich szeregów nie wstąpił. Ksiądz chciał wyjechać z Różyc na zawsze, i jeśli został, zrobił to tylko dla mnie, bom był sierotą, a on pokochał mnie, jak ojciec. Ale to wiem, że od Targowicy nie przemówił do stryja ani słowa i zostawił mi, jakby w testamencie, nienawiść i pogardę dla wyrodných synów ojczyzny. Między mną a stryjem i Kajetanem zawsze będzie stało wspomnienie księdza Lagrange'a.

— Czy on przeklął i Kajetana?

— On nikogo nie przeklinał, tylko milczał. Kajetan był podczas Kościuszkowskiej wojny za granicą i wrócił dopiero po śmierci księdza. Ale po powrocie raz tylko odwiedził jego grób.

Tu myśli chłopca poleciały, jakby na skrzydłach, aż do sąsiedniej Leźnicy Wielkiej, gdzie przy kościele na cmentarzu wznosił się pomnik grobowy zacnego księdza z napisem, wrytym na kamieniu:

»Jeżeli, kto tu leży, przechodzień zapyta,

Powiedzcie: ciałem Gallus, lecz duszą Lechita«.

Cywińskiemu słowa Marka przypomniały także wiersze i grobowiec, albowiem zapytał:

— Nie mówiłeś mi nigdy, kto komponował napis na grobie.

— Ja — odpowiedział Marek.

— Toś wcześniej zaczynał; myślałem, że to Kajetan, choć wiem, że i z ciebie poeta.

— Pewna zdolność do pióra jest, zdaje się od dawna wrodzona naszej rodzinie — odrzekł Marek. — W bibliotece domowej mamy łacińskie dzieło Marcina Kwiatkowskiego, który żył w XVI wieku. Jaki to był nasz krewny, tego nie wiem; ale Kajetan ma też jeniusz literacki. Przetłumaczył już Gesnera i uchodzi za uczonego młodzieńca.

— Tak jak jego ojciec, a twój stryjasek, uchodził za szarmana.

— Stryj jeszcze się tego nie wyrzekł.

— A słyszałem: słyszałem nawet o panie Wyrozębskiej.

Myślę, że to jest właśnie powód, dla którego nie możesz w Różycach wytrzymać i wolisz się bić we Włoszech.

— Dla kraju chcę się bić, dla siebie, zginąć.

— Bić się dla kraju, rozumiem, ale zginąć dla panny Klarybelle, to i niezdrowo i trochę nadto. Czyś ty jej kiedy wyznał swój afekt?

— Jako przyjacielowi i przyszłemu towarzyszowi broni, powiem ci wszystko, jak było. Naprzód, skomponowałem wiersz do jej sztambuchu, ale stryj znalazł te strofy w brulionie, przepisał i oddał jej, jako swoje, wobec mnie! Uwierzyłbyś w coś podobnego?

— Czemużeś nie powiedział, że to twoja poezja?

— Bom się tak stropił, że nie umiałem słowa przemówić, a on zwrócił się do mnie i z piekielnym uśmiechem zapytał, dlaczego się tak zmieszał.

— Ha! stary ówik!

— I w ten sposób, ona myśli, że N. N. to znaczy: August Kwiatkowski.

— Jaktó: N. N.? Nic nie rozumiem.

Marek przystanął i, ze wzrokiem zgubionym w zorzy, począł deklamować:

Klarybella, cud natury,
Podnosi oczy do góry,
Potem spuszcza je ku ziemi,
Już podbiła N. N. niemi.
W sercu N. N. cień i chmury,
A źrenice łąza mu mroczy,
Gdyż podniosła nań swe oczy
Klarybella, cud natury.

Tu westchnął i tak mówił dalej:

— Nie śmiałem napisać: »Już podbiła Marka niemi«, i imię moje zastąpiłem literami N. N. A teraz korzysta z tego stryj. Taki przewrotny jest ten świat. Uważ, że stryjowi na imię August, więc jeśli się powie: »Już podbiła Augusta niemi«, to będzie za wiele zgłosek i rytm zły. Ach! ale stryj i na to nie zważał.

Cywiński ją przygryzać żółte wąsiki, a z nimi razem i krótką górną wargę, niedostatecznie odsłaniającą nieco przydługie przednie zęby.

— Ty się śmiejesz? — zapytał z melancholią Marek.

— Nie. Ale nie stójmy tak na miejscu, bo mróz bierze.

Ruszyli dalej. Mróz rzeczywiście brał tęgi. Słońce zaszło. Przez zwiklaną kratę gałęzi na przydrożnych drzewach widać było niezmierną złotą i czerwoną zorzę. Od zabudowań leciały na noc do lasu wrony. Śniegi na polach powlokły się barwą fioletową, a tropy lisie i zajęcze widne na rozłogach śnieżnych, barwą ciemnego szafiru. Wierzby przy rowach były jakby omaszczone purpurą.

— Ty się śmiejesz? — powtórzył Marek. — Myślałem, że choć w tobie znajdę trochę współczucia.

— Znajdziesz, ile zechcesz, ale tymczasem odpowiedz wyraźnie na moje pytanie. Mnie nie chodzi o sztambuchy, tylko o to, czyś wprost nie wyznał pannie Wyrozębskiej, że ją kochasz?

— Niestety, nigdy! Dziesięć dni temu byłem w Leźnicy Wielkiej. Zdarzyło się, że zostaliśmy z Klarybellą sami. Ona siedziała przy szpinecie, przebierając palcami po klawiszach. Ja zbliżyłem się i już miałem klęknąć przed nią, już miałem na ustach: »Klarybello, wysłuchaj serca, które cię ubóstwia!«, ale zbrakło mi tchu, odwagi, słów, w oczach mi pociemniało i nie powiedziałem nic.. A przecież, czegoż ja chciałem? Nie ręki jej, ale westchnienia, ale pukła włosów, ale czulego słowa na drogę. Niestety, nieba i tego mi odmówiły!

— Tak! nieba, ale nie panna, boś jej o nic nie prosił. Tym razem, nie stryj twój zawinił.

— Nie stryj zawinił, ale gdy pani starościna wróciła do salonu i gdym oświadczył, że wkrótce opuszczam Różyce, wówczas spotkał mnie cios ostatni, najboleśniejszy.

— Cóż się stało?

— Starościna niedostłszy, więc Klarybella odpowiedziała za obie i, podawszy mi rękę, rzekła: »Waćpan zapewne do

szkół?« — I to mnie dobiło. Związany tajemnicą, którą niepotrzebnieśmy sobie przyrzekli, nie mogłem wyznać, dokąd jadę, więc powiedziałem tylko, że nazwisko moje dojdzie jej uszu dopiero wówczas, jeśli z dalekich krajów wróci na skrzydłach sławy. Po tych słowach, spojrzała na mnie i — nie wiem; może mi się zdawało, że jagody jej oblały się nagie rumieńcem, ale na wyznania było już zapóźno, więc wychyliłem do dna czarę cykuty — i wyjechałem.

— Wychyliłeś czarę czego?

— Cykuty. Mówię to pod figurą.

Lecz Cywiński nie zastanowił się nad tym, że chodzi o figurę retoryczną, że zaś doszli właśnie do przydrożnej figury, więc zatrzymał się i rzekł:

— Trzeba strąbić psy.

I tak mówiąc, podniósł do ust róg, lecz Marek, chwycił go za rękaw i zatrzymał.

— Czekaj. Czy nie masz dla mnie ani słowa pociechy?

— Mój drogi, ja sam potrzebuję pociechy. Wczoraj byłem w Leźniczówce i powiedziałem Hance, że muszę ją opuścić na długo. Starego Piłchty nie było w domu, więc odprowadziła mnie opłotkami aż do strugi, a po drodze to tak jej lzy kapwały, jedna za drugą, że aż mnie ścisnęło się coś w piersiach. Powiadam jej: Hanuś, (bo jak nikt nie słyszy, to mówimy sobie: ty), czemu tak siejesz lzy w śnieg? Nic z nich nie wyrośnie. A ona powiada: »Oj, smutek Stachu, wyrośnie i niedola!« Przysięgałem jej na wszystkie świętości, że jej nie zapomnę, ale nie bardzo chciała wierzyć, gdyż domyśliła się, że ja puszczę się do Włoch, i mówiła: »Gdzie mnie tam prostej dziewczynie do tych cudnych Włoszek!« Jakoż słyszałem i ja, że bestye są urodziwe jedna w drugą; ale ty to musisz lepiej wiedzieć, boś pewno już niejedną książkę o nich przeczytał, alboś je widział na kopersztychach?

— Włoszki słyną z urody — odpowiedział Marek — i wyznaję, że, myśląc o nich, nieraz lubym oddawałem się marzeniom.

Cywiński rozśmiał się.

— To i masz pociechę, albo przynajmniej ją znajdziesz, a ja nie, bo Anusia ma włosy, jak len, i tym mnie wzięła. Dla mnie czarnowłosa kobieta to... tego... No.., nie mówię, żeby już tak całkiem nic, bo i owszem, ale nie do kochania! A ty pomyśl jeszcze i o tym, że panna Wyrozębska ma dwadzieścia kilka lat i nie tylko dla ciebie, ale i dla Kajetana byłaby za stara.

Marka dotknęły słowa o wieku panny Klarybelli.

— To są ludzkie względy — rzekł — niegodne dusz czułych. Saturn nie ma skrzydeł, a Amor je ma, i dlatego unosi się nad przestrzenią i czasem.

— Może też odlecieć na tych skrzydłach, jak wróbel -- odparł Cywiński i, machnąwszy ręką powtórzył:

— Trzeba strąbić psy.

Po czym odwrócił się w stronę boru i podniósł róg do ust.

Zdrowe jego, wyszczypane przez mróz policzki wyduły się, jak banie, z oczu pozostały tylko szparki, usta wpiły się jakby z chciwością w nasadkę rogu, a głowa przechyliła się w tył i na bok. Mocne dźwięki, w których brzmiało nawoływanie i rozkaz, wypadły ze skrętów rogu i przeleciały, natarczywe a radosne, nad śnieżną równiną ku lasowi. Tam wnikły między pnie i szły dalej, w głąb, w gęsty bór.

Marek spoglądał to na Cywińskiego, którego głowa podobna była w tej chwili do głowy dmącego w konchę trytona, to na biały pas śniegu pod lasem, na którym mogły pojawić się psy, a Cywiński, nabierając kątem ust powietrza do płuc, dał nieustannie, otwierając i przymykając oczy. Po długim dopiero czasie, z mrocznej gęstwiny wynurzył się na śnieżne fioletry jeden pies, który na wielkiej podłej przestrzeni wydawał się, jak zabłąkany. Przez chwilę biegł truchtem, w milczeniu, a następnie wpadłszy na jeden z tropów, którymi popstrzone było całe pole, począł poszczekiwać, a raczej skamlać, zarazem namiętnie i frasobliwie.

Cywiński spuścił róg, odetchnął głęboko i rzekł:

— To Surmacz... Jucha mydli oczy, bo wie, że goni starym tropem, ale chce pokazać, że taki gorliwy. Pies to ci czasem tak łże, jak człowiek.

I począł się śmiać wesoło.

A Marek Kwiatkowski, który miał w duszy trochę melancholii, a jeszcze bardziej wmawiał w siebie rozmaite poetyczne smutki, pomyślał:

— Szczęśliwy ten Cywiński! Wczoraj składał przysięgę, lubej, jutro może zginąć, a dziś śmieje się z psa. Ale on sam zawsze żyje dniem dzisiejszym.

Tymczasem inne ogary zaczęły wysuwać się z boru, ale te nie chciały widocznie nikomu »mydlić oczu«, albowiem zbliżyły się cicho, potrząsając uszami i nie trzymając nosów przy ziemi.

Dwaj młodzieńcy ruszyli ku wsi i przez jakiś czas szli w milczeniu. Po chwili Marek zapytał:

— Gdzie jest twój koń?

— W stajni u ekonomy. Nie chciałem zajeżdżać do pałacu, bom widział, że tam zastanę te panie z Leźnicy.

— A teraz pójdziesz ze mną?

— Jakże? w lisiurze i w długich butach? Ani sposób! Prócz tego powiem ci, że Kajetan, jak Kajetan, ale patrzeć na tę starą, malowaną kukłę, twojego stryja, nie! Wolę jechać do domu.

— Ty do Kajetana masz jakąś szczególną słabość, a ja ci powtarzam, że syn wart ojca, a ojciec syna.

— Nie mam żadnej do nikogo słabości, ale i ty nie masz racji. Kajetan chuchrak i odludek, ale w Targowicy nie był.

Marek zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Dziś dzień zwierzeń, więc przyznam ci się, że po powrocie z Leźnicy, wyzwałem Kajetana na parol!

— Za co?

— Bo powziąłem podejrzenie, że to on jest przedmiotem uczuć Klarybelli.

— A choćby tak było, czy to jego wina? Zwłaszcza, jeśli on się w niej kocha?

— Trzeba być na to głazem, więc nienawidzę Kajetana, właśnie dlatego, że jej nie pokochał. Czy widziałeś większą tragedię?

— Ja wogóle tragedii nie widziałem, wiem tylko, że takie rzeczy pan Bogusławski grywa w teatrze. Ale co ci Kajetan powiedział, gdyś go wyzwał?

— Powiedział mi po francusku, żebym się poszedł przejść.

— Ha, to już w takim razie, trzeba go było wytargać za harcap.

— Nie mogłem tego zrobić, gdyż, domyśliwszy się o co mi chodzi, dodał najwyraźniej: »Nie ja jestem twoim rywalem, ale papa«.

— Więc szambelan chce się naprawdę żenić, co?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że tak jest. Stryj sprowadził nową karocę, a sam różuje się mocniej, niż przedtem, czerni brwi, wygładza paznokcie, sypia w rękawiczkach, wypycha pończochy i chodzi w podrygach. Jeżeli się już nie oświadczył, to oświadczy się lada dzień... może właśnie dziś...

— Niestychana rzecz! Ciekawym, jak się to skończy?

— Dla mnie? Wiem jak.

— Jazdą do Włoch. Owszem, im prędzej, tym lepiej. Tajemnica była potrzebna, póki pogłoski rozszerzali ludzie prywatni i mogli za to odpowiadać, ale obecnie, po odezwie, należy wieść rozgłaszać. Ty już też rozmowy ze stryjem nie odkładaj. Wyciśnij z niego tyle dukatów, ile potrafisz, i jazda!.. Wiem, że i tobie pilno. Narzekałeś, że ci nie współczuję, a le ja wszystko rozumiem. Pierwsza, choćby z twoim przeproszeniem, dziecinna miłość puści czasem tęgie korzenie i gdy przyjdzie ją wyrwać z serca, to boli... Widzisz, że ja to rozumiem...

Na to Marek podniósł rozmarzone oczy w górę, ale tym razem nie ku zorzy, lecz ku księżycowi, który wytoczył się ponad olchy, nad stawem.

— Stanisławie, to nie pierwsze moje uczucie.

— Masz tobie! A jak imię tej, która pierwsza zjadła nowalię?

Chłopak niał już na ustach odpowiedź, ale się powstrzymał i po chwili dopiero rzekł:

— Tamto była istotnie dziecinna miłość. Nie warto o tym mówić. Kochałem się nawet nie z widzenia...

— Tylko jak?

— Ze słyszenia.

Cywiński spojrział na niego bystro.

— Mój kochany, czy ty kpisz, czy o drogę pytasz?

A Marek powtórzył:

— Nie warto o tym mówić...

W rzeczywistości zaś wstydział się przyznać, że jako zupełnie dzieciak zakochał się przed kilku laty w małej córce Ludwika XVI-go Marii Teresie Karo'linie, którą Rewolucja więziła wraz z małym Delfinem w Temple. Kochało się w niej wówczas wielu kawalerów w Europie i po większej części także ze słyszenia. Ale kilkunastoletni Marek postanowił ich zawstydzić i wyrwać z za krat niefortunną ofiarę przemocy. W tym celu, uciekł od księdza Lagrange'a, mając dwa talary w kieszeni, i dotarł walecznie aż do Kalisza. Na szczęście dla Rewolucji, dognano go tam i odwieziono do Róży, gdzie młody bohater zachorował na odrę. Ludzie myśleli, że uciekł od stryja, i oburzenie na starego szambelana jeszcze się wzmogło, gdyż mówiono, że to nie tylko targowiczanie, ale i okrutnik.

Miłość Marka skończyła się jednakże, jak nożem uciął, gdy młodą królewnę odesłano na dwór austriacki i gdy do pani starościny Sokółowskiej przyjechała panna Klarybella Wyróżbska. Nie była to zresztą jedyna wyprawa Marka, gdyż uciekał także do wojsk Kościuszki, ale i stamtąd odstawiono go, jako małoletniego, do domu. Stary szambelan chciał skarcić surowo ten »sankiulocki« postępek, ale nie zezwolił na to ksiądz Lagrange, który wprost oświadczył szambelanowi, że w tym małym chłopcu z twarzą panienki więcej jest przedsię-

bierczości, odwagi i patriotyzmu, niż w całej rodzinie Kwiatkowskich.

Cywiński liczył też obecnie na to, że chęć wojaczki przeżywa w duszy Marka nad miłością do panny Wyróżębskiej.

— Wybij ją sobie z głowy — mówił — a mówię z głowy, dlatego, że na mój prosty rozum, to ty ją nosisz w głowie, nie w sercu. Gniewaj się, lub nie gniewaj, ale to tylko imaginacja, nic więcej. Byleś prochu powąchał, to i zapomnisz.

— Przykro mi jednak, że nie odczuwasz moich cierpień.

— Jeśli jaka Włoszczka wkręci ci się do serca, to będę odczuwał, nie bój się!

Marek odpowiedział westchnieniem.

Tymczasem doszli do wsi, a potem do dworku, w którym mieszkał ekonom Sęczek. Cywińskiemu wyprowadzono zaraz konia, ale nie zaraz odjechał, gdyż pokazało się, że brakło jednego psa, który był szczególnym Marka faworytem. Ponowne długie trąbienie okazało się na nic. Pies nie wracał. Ekonom Sęczek, który wyszedł powitać młodego dziedzica, oświadczył, że psa musieli porwać wilcy.

Cywiński potwierdził, gdyż przypomniał sobie, że, gdy psy były w wykrotach, usłyszał nagły skowyt. Myślał, że pies dał odzew, wpadłszy na nowy gruby trop, ale mógł to być też i ostatni skowyt przedśmiertny.

— Śniegi głębokie — mówił — wilków włóczy się sporo i rozstawiają się pod wiatr, tak, że pies, nim bestię poczuje, już zęby ma w karku.

Po czym jął się żegnać z Markiem i skoczył na kulbakę, ale Marek nie chciał go puścić.

— Dam ci człowieka z kagankiem — rzekł. — Co zrobisz, jeśli ci zastąpi stado?

— Ee! Jakoś się przejedzie — odparł Cywiński.

To powiedziawszy, ruszył klusem, ku lasom. Marek i Sęczek patrzyli czas jakiś przy świetle księżycy na biały zad konia i na ciemne plecy jeźdźca, nasłuchując zarazem zważania śledziona w podjezdku.

— Hej! — ozwał się po chwili ekonom — z pana Cywińskiego to byłby ułan jak malowanie.

— Może i będzie — odpowiedział Marek. — Dam wam jutro odezwę Dąbrowskiego.

II.

Różowe, wesole blaski kładły się na śniegu od jasno oświetlonych okien we dworze. Markowi, gdy minął kołowrót, zdawało się, że przez okno widzi, wśród innych osób, wdzięczną postać panny Klarybelli Wyróżębskiej, ale nie widział jej wyraźnie, gdyż mróz przysłonił szyby fantastycznymi kwiatami szronu. Niedaleko ganku stała podwójna karoca na saniach; obok niej czterech parobków konno, z długimi drążkami w ręku, do których przywiązane były żelazne koszyki, naładowane łuczywem. Dwaj z nich byli zajęci zapalaniem łuczywa, co oznaczało, że goście wyjadą lada chwila. Marek nie chciał się spotkać z paniami z Leźnicy, wszedł więc prędko do sieni, by udać się do swego pokoju na górze. Za ledwie jednak przeszedł pół drogi do schodów, gdy drzwi bawialnego pokoju roztworzyły się na rozcież i ukazała się w nich starościna Sokołowska pod rękę ze starym szambelanem, za nimi zaś Kajetan prowadził pannę Klarybellę. Wobec niespodziewanego spotkania, Markowi nie pozostało nic innego, jak zatrzymać się i przywitać. Ucałował więc rękę pani starościny, drobnej i chudej osobki trochę głuchej i zdziecinniałej, ale czutej jeszcze na względy towarzyskie, co pokazało się zaraz przy powitaniu, gdyż zapytała tylko zimno: »A Waćpan aż do nocy polował?« — i nie czekając na odpowiedź, przeszła. Natomiast inne było zachowanie się panny Klarybelli. Gdy Marek skłonił się przed nią, ujęła go lekko obu rękoma za skronie i ucałowała w czoło. Ponieważ przy poprzednich spotkaniach witała go i żegnała zawsze

obojętnie, więc chłopiec spojrział na nią pytającym i zdumionym wzrokiem. Ale na to nieme pytanie odpowiedziała milczeniem, tylko oczy jej stały się poważne i smutne. Była w niej jakaś powaga, której Marek nigdy przedtem nie widział, a w pocałunku, jaki złożyła mu na czole, pewna tklivość, której się nie spodziewał. Stał więc przed nią, nie umiając zdobyć się choćby na jedno słowo. Ogarnęło go nagle pełne niepokoju poczucie, że coś się stało, coś się zmieniło, coś zaszło. Ale był chłopcem tak młodym i niedoświadczonym, że na pytania, które mu napływały fałdą do głowy, nie umiał dać sobie odpowiedzi. Serce ścisnęła mu obawa, że czeka go bolesny cios, a jednocześnie, ponieważ dał w Leźnicy do zrozumienia, że odjeżdża na długo, zatliła mu się w sercu nadzieja, że to może jest tylko czułe pożegnanie i błogosławieństwo na drogę. Mącił mu przy tym myśli podziw dla piękności panny Klarybelli, który go chwycił zawsze, ilekroć ją zobaczył — podziw dla jej białej twarzy, dla czarnych loków, dla niebieskich oczu, dla całej postaci. Strojniejsza dziś, niż zwykle, przybrana w wąską, przepasaną tuż pod piersiami suknię pod którą wysmukłe jej ciało rysowało się aż nazbyt wyraźnie, różowa i powiewna, wydała mu się boginią, na którą olśnione, śmiertelne oczy jego nie były godne spoglądać.

Marek zapatrzył się na nią tak, że zapomniał o świecie bożym, i nie przyszło mu na myśl, że, stojąc tak z otwartymi ustami, a zarazem w rozterce dusznej, złożonej ze zdumienia, niepokoju i podziwu, miał minę gapia, który mógł boginię rozśmieszyć, gdyby nie to, że sama była nastrojona poważnie i smutno. Lecz nim ochłonął — przeszła, a za nią obojętny i zimny Kajetan, który po chwili począł ją otulać w ciepłe szale i puszystą lisią szubę. Służba wciągnęła następnie na jej trzewiczki i przewiązane na krzyż pończoszki ciepłe berlacje — i obie panie, wraz z starszym szambelanem i z Kajetanem znikły za oszklonymi drzwiami sieni. Marek dojrzał jeszcze przez szyby białą perukę stryja, pochylającą się kilkakrotnie nisko, po czym na dziedzińcu zabłysty

chwiejnym, krwawym światłem kafarki, parsknęły raz i drugi konie, zaskrzypiał śnieg pod płozami i karetą, zatoczywszy krąg wokół dziedzińca, wtoczyła się w bramę. Przez czas jakiś płomienie łuczycywa rozświecały coraz dalej i dalej pnie starej lipowej alei, po czym wszystko znikło za czworakami i kuźnią na zakręcie.

Stary szambelan wszedł z ganku do sieni, pocierając palcami końce uszu, spojrzął na stojącego, jak słup soli Marka, przymrużył oczy i rzekł:

— Dziwny to obyczaj polować, gdy w domu są goście. Ale tymczasem przebierz się i przyjdź potem do salonu.

Marek, który postanowił rozmówić się ze stryjem dziś jeszcze, zrzuciwszy na górze lisiurę i rękawice, zeszedł na doł — gdzie znalazł się w towarzystwie stryja Augusta i Kajetana.

Młodszy szambelan chodził miarowym krokiem po pokoju, a starszy siedział w fotelu przed kominkiem, i wyciągnąwszy nogi, przybrane w białe jedwabne pończochy, wydymał lekko wargi spoglądając na Marka z wyrazem jakby szyderczego współczucia. Przybrany w brzoskwiniowy aksamitny frak, w białej peruce, z twarzą powleczoną różową szminką, wyglądał trochę jak karnawałowa maska. Przez pewien czas namyślał się widocznie, jak zacząć rozmowę, wreszcie rozpoczął ją od przysłowia, które niegdyś sobie wymyślił i przyswoił, tylko dlatego, że w owej epoce wielu magnatów miało własne przysłowia:

— Sancta Pupa, Sancta Barbara!..

Po czym podniósł głowę i zamknął na chwilę oczy.

— Przybliź się, młodzieńcze — rzekł do Marka — i słuchaj. Możesz usiąść..

Marek przysunął krzesło i usiadł.

— Stryj chce mi coś powiedzieć?

— Tak jest i to coś ważnego, a zarazem coś takiego, co powinno cię ucieszyć.

— Słucham.

Szambelan nie od razu jednak zaczął mówić, albowiem uczuł w nogach nerwowy niepokój, więc pocierając dłońmi kolana, czekał, aż mu przejdzie.

Wreszcie utkwiał oczy w twarzy chłopca i zapytał:

— Czyś zauważył, że panna Klarybella pożegnała się dziś z tobą w sposób ekstraordynaryjny?

— Owszem, wyznaję, że w pierwszej chwili byłem zdziwiony.

— A więc w drugiej przestań się dziwić...

Tu znów na chwilę przerwał, po czym dokończył, kładąc nacisk na każdą sylabę:

— ...Albowiem panna Klarybella, to twoja przyszła stryjenka.

Marek zaczerwienił się, następnie pobłdł, a szambelan wydobyl tabakierkę, stuknął w nią z lekka, otworzył i, chwyciwszy końcami palców szczyptę tabaki, wpatrywał się wciąż w chłopaka, jakby chcąc dokładnie wysondować głębokość rany, którą zadał.

I w głosie jego drgała, jakby zwycięska, złośliwa radość, gdy, cedząc, zwolna wyraz po wyrazie, tak mówił dalej:

— Sancta Pupa, mój chłopcze... Na to nie ma rady. Pan Buffon, sławny pisarz francuski, powiada, że w Afryce, czy tam gdzieś, gdzie rośnie pieprz i rozmaite bakalie, skoro lew ozwie się w puszczy, wszystko milknie i ustępuje mu z drogi. Otóż, widzisz, pan Buffon ma słuszność, a ja jestem trochę taki lew, może już stary, ale bez samochwalstwa, dość jary. Czasem tak bywa... Książę Richelieu, marszałek, mówił, że do osmdziesiąciu ośmiu lat życia spisywał się jak muszkietier, dzięki burgundowi... Ale nie chcę obrażać twoich niewinnych uszu...

Tu zażył, strzepnął żabot, uśmiechnął się z zadowoleniem i ciągnął dalej:

— Widzę jednak, że nowina wzruszyła cię nie żartem.

Przypuszczam, że to radość... z tego, że będziesz miał tak piękną stryjenkę. Istotnie, piękna jest jak Junona. Wyrożeńbscy stracili całkiem fortunę... Ciotka starościna również ostatkami goni i, prócz małego dożywocia, nie ma ani szeląga. Ale wobec takiej niebianki, ktoby patrzył na posag. Tyś jeszcze za młody, byś zrozumiał moc uczuciów. Przyjdzie jednak czas, że zrozumiesz... przyjdzie taki czas, chłopcze, przyjdzie!...

Dalszą rozmowę przerwał Kajetan, który może z litości nad męczarnią Marka zbliżył się do kominka, wskazał ręką na ustawioną na nim saską figurkę, przedstawiającą Kupidyna — i począł deklamować:

*«Qui que tu sois, voici ton maître;
Il l'est, le fut, ou il doit l'être».*

Lecz wypowiedział wiersz głosem tak drwiącym, że szambelan odwrócił się zaraz ku niemu na swym szerokim fotelu.

— Co to ma być?

— Nic. Maksyma, która ostrzega młode baranki i usprawiedliwia jare lwy.

— Nikt cię o maksymy nie prosił, więc siedź cicho i dziękuj przeznaczeniu, żeś mi nie wchodził w drogę, bo i ty byłbyś odszedł z kwitkiem. Grzeb w książkach, tłómacz sobie Gesnera, walaj palce inkaustem, ale o miłości nie mów, gdyż w tych sprawach nie umiesz i nie nauczysz się nigdy: a, b, c.

— Znać, że nie papa zajmował się moją edukacją.

— Nie, nie ja. Byłbym tracił na próżno czas. Mogłem cię zrobić w dwudziestym roku życia szambelanem, ale amanta nie zrobiłby z ciebie nawet książę podkomorzy.

Tymczasem Marek ochłonął, lecz ozwał się drżącym jeszcze i wzruszonym głosem:

— Pozwoli stryj dobrodziej złożyć sobie życzenia szczęśliwości przez długie lata.

— Pozwołę. Szczęśliwości jestem pewien, a co do długich lat, to jak zechce natura. Jesień bywa chłodniejsza od

lata, ale trwa długo i przynosi owoce... He! bardzo trafnie. Tymczasem dziękuję ci i przechodzę do tego, o czym chciałem z tobą właśnie pomówić. Termin mego ślubu z Klarybellą nie jest jeszcze oznaczony, postaram się wszelako o dyspensę od zapowiedzi, gdyż chcę, by rzecz doszła jak najprędzej. Ale przychodzi kwestia rezydencji. Pałac w Birkowie, odbudowany po Konfederacji Barskiej, spalili po raz wtóry *messieurs les patriotes*, pod panem Kościuszką, a w Karpielach jest tylko mały dworek. Jedyłą przyzwoitą rezydencją są Różyce. Zapewne tedy nie będziesz miał nic przeciwko temu byśmy, aż do wyrestaurowania domu w Birkowie zamieszkali z twą przyszłą stryjenką w Różycach. Jestem twoim opiekunem i zdam ci ten majątek, gdy dojdiesz do pełnoletności, ale obecnie ja nim rozporządzam i mógłbym cię o nic nie pytać, jeżeli jednak pytam, to dlatego, by ci dać przykład dyskrecji i przywoitej delikatności, którą, jak sądzę, potrafisz nie tylko ocenić, lecz i kiedyś, w przyszłości naśladować.

— Mniemałem, że stryj zamieszka w Warszawie, ale Różyce są do jego rozporządzenia.

— W Warszawie? Nie. Pomijam, że szczęście we dwoje potrzebuje cichego gniazda, ale dzisiejsza Warszawa zanadto jest niepodobna do dawnej, by można w niej zamieszkać. Nie. Zbyt dobrze pamiętam dwór królewski i dwór księcia podkomorzego. Pustka robi się teraz w mieście coraz większa, a w pałacach gnieźdzą się łoże masonskie. Książę podkomorzy zestarzał się na dobre. Inni porozjeżdżali się na wszystkie strony. Komu nie smakują knedle generała Tawrata i kto lubi dystygowane towarzystwo i dobry ton, ten młodej żony nie zawiezie do Warszawy. Nawet książę Papi uciekł z Jabłonny do Wiednia. Tak! Niechże tedy na miodowe miesiące będą przed Birkowem Różyce...

— Właśnie chciałem...

— Pozwól mi skończyć i nie przerywaj. Myślałem już o tym poprzednio, że w razie, gdybym się ożenił i dla mnie i dla was byłoby lepiej na pewien czas się rozłączyć. Kajetan

już wojażował, a teraz mówił mi, że wybiera się znów do Heidelberga. Dla ciebie jakikolwiek wojaż, choćby niezbyt daleki, jest koniecznie potrzebny. Młody człowiek powinien poznać trochę świata, oraz przypatrzeć się jak ludzie żyją za granicą. Dobrze mówię!... Co prawda, nie w smak mi ten mądry Heidelberg... Zostać z młodego szambelana, starym studentem, to tylko Kajetanowi mogło przyjść do głowy... Ja proponowałbym wam co innego, a mianowicie: Berlin. Staliśmy się poddanymi króla pruskiego, i na to nie ma rady. Pierwszą mądrością prawdziwie rozumnych ludzi jest być dobrze z rządem, który nad nimi panuje. Zapewne, że dwór pruski, to nie dawny wersalski, ani nawet drezdeński. Pachnie tam trochę słodem, a szambelani noszą bawełniane pończochy, rękawiczki zaś tylko w niedzielę... To ich dawna maniera, z dodatkiem ciągłej czkawki...

Tu przerwał, zażył znów i uśmiechnął się, rad, że tak złośliwie scharakteryzował dwór pruski. Wiedział zresztą, że nie mówi prawdy, albowiem dwór ten zarzucił w tych czasach dawną tradycję oszczędności. Ponieważ jednak spotkało tam szambelana przyjęcie zupełnie chłodne, chciał przeto wmówić w Kajetana i w Marka, a może i w siebie, że przyczyną tego było prostactwo dworu.

Po chwili mówił dalej:

— Osobiście nie umiałem się z nimi zżyć, gdyż gusta nasze okazały się zbyt odmienne. Ale, bądź co bądź, jest to dwór, a zatem i przyzwoity pobyt dla ludzi wyższego urodzenia. W dzisiejszych czasach trzeba się z tym liczyć. Z drugiej strony, wiem, że młodzi Polacy, którzy się sami do dworu garną, mile są tam widziani. Jego Królewska Mość proponował przecie służbę nawet Dąbrowskiemu, choć na nim nie przyszła jeszcze krew pruska. Ale pan Dąbrowski woli służyć sankiulotom.

Marek uznał, że czas rozpocząć rozmowę.

— Ja — rzekł — chcę także służyć Francji i mam honor oświadczyć, wobec Kajetana, stryjowi, że wyjeżdżam do le-

gionów, które generał Dąbrowski utworzył we Włoszech...

— *Plait-il?*

— Jest nadzieja, że te legiony wrócą kiedyś do Polski, więc postanowiłem w nich służyć...

Szambelan August zamilkł i począł patrzeć na Marka, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, a zarazem poruszać ustami. Po chwili oparł dłonie na poręczach fotelu, przypodniósł się z pewną trudnością, ale zaraz siadł znowu.

— Sancta Pupa, sancta Barbara!

— Dawno już chciałem to stryjowi oznajmić i prosić go o pozwolenie i pomoc — ozwał się Marek.

Lecz szambelan odzyskał już zimną krew.

— Chciałeś? — zapytał. — I ja także czegośbym chciał, a mianowicie, chciałbym, aby dzisiejszego, szczęśliwego dla mnie dnia nie zachmurzyły rodzinne nieporozumienia, i aby śliwki, które wieczorem jadam, nie zaszkodziły mi na żołądek. Z tych przyczyn nie będę dziś z tobą o niczym mówił, powiem ci zaś tylko tyle, że jeśli spodziewasz się mego pozwolenia, pomocy i błogosławieństwa, to się mylisz.

— Czy stryj zna odezwę generała Dąbrowskiego do wszystkich Polaków, ogłoszoną w Mediolanie z dnia I-go Pluviose, V-go roku?

— Nie znam i nie życzę sobie jej znać, jak również waszego sankiulockiego kalendarza.

I począł przedrzeźniać, wykrzywiając usta:

— Wenlozy, Pluwiozy, Niwozy... Ach kanalia!...

Po czym zwrócił się do Kajetana:

— Zadzwon i każ mi podać śliwki.

Kajetan pociągnął za wyszywaną szklannymi paciorkami taśmę i po chwili wszedł kamerdyner Józef, przewzany przez szambelana Firminem. Usłyszawszy rozkaz, zniknął za drzwiami i niebawem wrócił z talerzem rozgotowanych śliwek, które stary szambelan jadł wieczorem dlatego, że miał ten zwyczaj król Stanisław August i jego brat, książę podkomorzy. Firmin postawił przed fotelem stolik, obwiązał pana serwetą, skłonił się w milczeniu i odszedł.

Szambelan zabrał się do jedzenia, przy czym broda schodziła się mu mocno z nosem. Chwilami przestawał żuć i patrzył, to na lustro przed kominkiem, to na stojące przed lustrem grupy saskich figurynek, to na szklanny ekran przed ogniem — i monologował:

— Ach, miłe czasy!... Zdawałoby się, że ludzie stojący u góry powinny się wreszcie porozumieć, tymczasem nieprawda! Mało im było jeszcze wojen, przemarszów wojskowych, rozbiorów i rewolucji... mało nieszczęść i zniszczenia... Jaki ten spokój teraz jest, taki jest, a oni chcą go zamącić... Miłe czasy!... Odezwy, legiony i generalny rozgardiasz... Pan marszałek Małachowski, o ile mu Austriacy pofolgują, będzie znów kokietował z Karlsbadu z rewolucją, która zamordowała króla... Pan Ignacy Potocki także... Pan hetman Ogiński światami goni... Bars i Mniewski w Paryżu konkurują o łaski sankiulotów. Dmochowski podciął habit i stał się jakobinem, a Dąbrowski formuje legiony. Na co? dlaczego? przeciw komu? I chodzi im niby o ojczyznę... Ale Polska leży w Polsce, nie we Włoszech, ani w Paryżu... Ojczyzna? Owszem! Nam też o nią chodziło... nie chcieliśmy się jednak porywać z motyką na słońce, bo tak czynią tylko tacy ludzie, którym brak piątej klepki...

Następnie przerwał monolog i począł znowu żuć, narzekając między jedną a drugą śliwką, że w niektórych są pestki, wreszcie odsunął talerz i mówił dalej:

— ...I tego ani trochę nie rozumiem, że dziś idzie o rzeczy ważniejsze... Przyszedł czas, że ludzie, lepszego urodzenia powinni we wszystkich krajach skupić się koło monarchów... Na potem spory, na potem porozbiorowe żale. Zapewne, że stało się nieszczęście, ale się stało i na to nie ma rady. Dziś trzeba myśleć o czym innym... trzeba ratować kapitalne pryncypia, które motłoch podeptał we Francji nogami... to główne zadanie... A co do nas, jeśli dwory spostrzegą się, że znajdują w nas podporę, to nie będzie nam źle... Nie tylko własna korzyść nakazuje trzymać się dziś dworskiej klamki, ale i patriotyczny obowiązek... I należy się z

tym śpieszyć, poki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą..

Tu zwrócił się do młodych i oświadczył stanowczo, że powinni udać się do Berlina, gdzie Kajetan znajdzie tylu uczonych, ilu sam zechce, a Marek może wstąpić do szkoły kadetów — i w ten sposób obaj znajdują się w obozie, w którym być powinni. Ale oni nie uważali na jego słowa, albo puszczali je mimo uszu, gdyż myśli ich były zajęte czym innym. Kajetan zbliżył się do Marka, ucisnął silnie jego dłoń i zapytał:

— Masz odezwę Dąbrowskiego?

— Mam na górze.

— Skądś ją wydobył?

— Łuczyński, gubernator u Golców w Trzebuchowie, otrzymał kilkaset egzemplarzy i rozsyła je po całej okolicy.

— Dlaczego doszła tu tak późno?

— Bo ją wyłapują po drodze.

— I naprawdę chcesz jechać do Włoch?

— Oczywiście, i nie ja jeden.

— Ach! Szczęśliwy!

Marek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Mówisz to szczerze?

— Tak. Ty mnie źle sądzisz dlatego, żeś uprzedzony, że nigdy nie zajrzałeś mi w duszę i nie pozwoliłeś zajrzeć mi w swoją. Mniejsza, czyja to wina, ale my żyjemy, nie jak krewni, tylko jak obcy.

— Kajetanie, jeśli tak jest, jeśli czułość na nieszczęścia ojczyzny nie wygasła w tobie, to co ci przeszkadza iść z nami?

— Mój wzrok.

— Prawda.

— Wiedz jednak, że serce moje jest z wami, tak jak było z Kościuszką, a teraz krwawi się również, jak wasze. Pokaż mi odezwę Dąbrowskiego.

Tyle było szczerości w słowach Kajetana, a Marek był tak młody i wierzący, że ani na chwilę nie posądził brata o komedię i z największą ochotą pobiegł na górę po odezwę.

Szambelan zaś snuł w dalszym ciągu wątek swych myśli:

— ...Bo panowie encyklopedyści — mruknął — prawili komplimenta królom i książętom. Pan Voltaire przesiadywał u starego Fryderyka, Diderot i Grimm mizdrzyli się do Katarzyny, a jednak pan de Pompignon miał w swoim czasie słuszność, przedstawiając filozofię *comme sapant l'autel et le trône*... Zupełnie słusznie. My przestaliśmy wierzyć i nam było wolno, ale gdy motloch przestał wierzyć, wówczas nie mogło się nic ostać. Nie to nasza wina, żeśmy panów filozofów czytali, ale to, żeśmy pozwolili ich czytać. Nowe pryncypia! Z początku wydawało się to, jako zabawa i igraszka, a potem zaczęło się rozlewać i szerzyć, jak tłusta plama.. Chwycili tę piłkę w lot gazeciarze i teraz przerzucają ją sobie z rąk do rąk... *Liberté, fraternité, égalité!* — co? Zapomnieli, że powszechność to jest drabina, a w drabinie muszą być szczeble wyższe i niższe..

— Drabinę można odwrócić do góry nogami — wtrącił Kajetan.

— Głupis — odpowiedział szambelan — albowiem wówczas będzie tylko ten skutek, że gbury będą na górze, a ludzie urodzeni na dole, ale równości nie będzie, jak i nie było...

Kajetan uznał w duchu, że istotnie nie powiedział nic zbyt mądrego, więc, by nie zapędzić się dalej, rzekł:

— U nas jeszcze do tego daleko...

— A w czasie waszego »wielkiego sejmku«, czy to potomkowie znanych rodzin nie zapisywali się do stanu mieszczańskiego?

— Nic i z tego nie pozostało...

— Owszem, mieliśmy przykład na insurekcji. Pan Kościuszko poruszył chłopstwo, a lud w Warszawie chciał wolności, więc wieszał...

Kajetan zmarszczył brwi i odpowiedział z goryczą:

— Teraz w Warszawie rządzi Prusak, a po wsiach biją chłopów w skórę po staremu.

— A cóżeś chciał? żeby ich uczono filozofii i odciągano od konfesjonatów?

— My sami zapomnieliśmy o konfesjonatach...

— *Quod licet Jovi, non licet bovi*. Ja nie miałem także gustu do konfesjonatu, alem pościł wigilie... To się wszędzie zachowało... Zresztą, przed ślubem muszę zapewne pójść i do spowiedzi...

Tu myśli szambelana wzięły widocznie obrót osobisty, gdyż powtórzył kilkakrotnie swe ulubione przysłowie, zażył, otrzepał żabot i począł mruczeć:

— Spowiedź przedślubna... W Warszawie możnaby się jakoś sianem wykręcić, na wsi trudno!... Pani starościna okrutna dewotka, a choćbym na nią nie zważał, co zrobię, jeśli zażąda ode mnie tego moja bogini?.. *Ma foi!* chyba odpowiem jej tak, jak stary Sainte-Aulaire księżnie du Maine...

I podniósłszy oczy i brwi w górę, jak czynią ludzie, którzy usiłują sobie coś przypomnieć, jął deklamować:

*Ma bergère, j'ai beau chercher,
Je ne viens sur ma conscience.
De grâce, faites-moi pécher,
Après, je ferai pénitence...*

Po czym rad, że wiersza nie zapomniał, uśmiechnął się, wyciągnął nogi i oddał się marzeniom...

Kajetan chodził po pokoju i rozmyślał. Przyszło mu do głowy, że gdyby generał Dąbrowski potrzebował kogoś do pisania odezw, do raportów dla dyrektoriatu, do korespondencji z władzami we Włoszech, to jednak możeby go użył w kancelarii, a on, nie nadając się z powodu krótkiego wzroku do szeregów, zmyłby swą gorliwą i patriotyczną służbą plamę, jaką na rodzinę rzuciła Targowica i zachowanie się ojca w czasie wojny Kościuszkowskiej. Miał zamiar wyjechać w każdym razie. Marzył o jakimś uniwersytecie zagranicznym, w którym mógłby nie jako szambelan jego ex-królewskiej Mości, ale jako zwykły słuchacz, oddać się studiom naukowym.

Szambelaństwo, które ojciec wyrobił mu za pomocą kobiet i księcia podkomorzego, jako całkiem niedowarzonemu kawalerowi, ciążyło mu od dawna, a od wojny Kościuszkowskiej stało mu się wprost wstrętne. To też po ukończeniu wojny, w czasie której ojciec wyprawił go do Londynu do Tadeusza Bukatego, wrócił do kraju i osiadł w Róźycach, gdzie, po spaleniu pałacu w Birkowie, mieszkał i stary szambelan. Marek był wówczas nieobecny, gdyż chodził do szkół w Kaliszu, a Kajetan wybrał Różyce dlatego, że we dworze znajdowała się od dawnych czasów spora biblioteka, uzupełniona nowymi dziełami przez księdza Lagrange'a.

Tam, w ciszy wiejskiego życia, oddał się naukom. Uczynił to z wrodzonego do nich zamiłowania i z jakiegoś niejasnego poczucia, że spełniony rozbiór kraju nadto jest przeciwny wszelkim prawom boskim i ludzkim, aby mógł zmienić się w trwałą stan rzeczy, że przyjdą jakieś wojny, wypadki, jakieś ocknięcie się sumienia, i wielkie ruchy ludów, które zmiotą jak huragan zbrodnie i frymarki gabinetów. W pobliżu nie zanosilo się na nic podobnego, ale na Zachodzie huczała już od dawna burza i pioruny biły jeden za drugim w stare gmachy, nie tylko we Francji. Kajetan chciał być gotów. Chciał osiąść jak najwięcej nauki, aby, gdy powstanie jakaś nowa Komisja Edukacyjna, mógł pracować nad odrodzeniem młodych pokoleń, w odrodzonej ojczyźnie.

Ale ponieważ na miejscu było do tego daleko, stał się mizantropem i pragnął uchodzić za mizantropa, albowiem zdawało mu się, że w ten sposób protestuje przeciw obecnemu stanowi rzeczy. Z Markiem jako z chłopcem zdolnym do poetycznych uniesień i aż nad miarę egzaltowanym, byłby się może zbliżył. Ale Marek, po śmierci księdza, wysłany był do szkół, a w Róźycach przesiadywał stale dopiero od lata — i zbyt jawnie okazywał sławnemu krewniakowi swą niechęć. Z ojcem stosunek Kajetana był zimny i z obu stron aż nadto szydery. Stary szambelan patrzył na niego z pewnym pogardliwym politowaniem i nazywał go: »povero Gaëtano«, a on, niepozorny syn świetnego dworaka, brał mu

za złe — i jego dawne triumfy alkowiane i niewygastłą żądzą nowych. Wmawiał i wmówił w siebie, że nie lubi kobiet, a jednakże, nie zdając sobie z tego sprawy, zazdrościł ojcu powodzeń. Przede wszystkim jednak brał mu za złe jego egoizm i cynizm. Pamiętał, jak po śmierci Markowego ojca, gdy szambelanowi doniesiono o rozpaczach pozostałej po bracie wdowy, ów rzekł: »Dziwna rzecz, z jaka ja rezygnacją znoszę nieszczęścia cudze«. Pewnego razu, przeglądając papiery pozostała po księdzu Lagrange-u, znalazł Kajetan list tegoż, pisany do Łuczyńskiego, do Trzebuchowa, a w liście ustęp z następującą charakterystyką starego szambelana:

»...Cały jego dowcip, to tylko czkawka, powstała z przejeżdżenia się maksymami Laroche-foucauld'a i Chamfort'a a w gruncie rzeczy, pod tą peruką jest wielka pustka. Ni głowy, ni serca. A w miarę jak się starzeje, żyje coraz bardziej tylko tą czkawką cudzych myśli i cudzych dowcipów. Zostały mu jedynie słabości i nowsze nienawiści. Nie ma on żadnych zasad, ma tylko nawyknięcia. Pozbył się wiary, a nie odrzucił jej form. Nie pozbył się natomiast przesądów. Nie zaczyna nic w poniedziałek, boi się trzech świec i, nie wierząc w Boga, pości wigilie. Czytuje Rousseau, a ekonomom każe bić chłopów w skórę. Jego przywiązanie do monarchii polega na tym, że boi się »sankiulotów«. Po ostatecznym upadku kraju złożył skwapliwie homagium rządowi pruskiemu. Temu człowiekowi nie żał ojczyzny, nie żał nawet tego nieszczęsnego króla, którego był szambelanem, żał tylko przyjemności dworskiego życia. I okropna rzecz pomyśleć, że wśród ludzi, otaczających Stanisława Augusta, było wielu rozumniejszych, mało lepszych. Ach! próżnobyś mi mówił, że lepsi stworzyli konstytucję 3-go Maja, gdy znalazło się dość gorznych, by ją obalić...«.

Dla Kajetana list ten był ciosem, tym cięższym, że czuł prawdę słów w nim zawartych, szambelan zaś od śmierci księdza aż do ostatnich czasów nie uczynił nic, by tej prawdzie zaprzeczyć. Nie było w nim ani żalu, ani skruchy, ani chęci pokuty. Po powrocie z Berlina, gdzie zrozumiano,

że z tego zaszarganego człowieka nie można nic na użytek polityki w Polsce wycisnąć — i przyjęto go obojętnie, oświadczył, że to jest dwór »mauvais genre« — wpadł w hipokondrię i osiadł na wsi. Ale po pewnym czasie otrząsnął się z nudy, zajął się własną osobą równie starannie, jak przedtem, i począł polerować sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadki. Wtedy to poznał pannę Klarybellę Wyrożeńską, córkę możnego niegdyś, ale zupełnie podupadłego domu, która przyjechała do swej, również podupadłej, ciotki, pani starościny Sokołowskiej. Panna była wytworna i rzeczywiście urodziwa, więc, na wiejskim bezrybiu, przypadła mu istotnie do serca. Widok jej przypominał mu lato młodości i minione dworskie czasy. Zbudził się w nim dawny szambelan August, przezywany na dworze po łacinie: »Papilio«. Zapragnął jeszcze jednego zwycięstwa w życiu. Był stary i przeżyty, ale posiadał metodę i wiedział, w jaki sposób ptasznik powinien zakładać sieci. Skutek był taki, że sam wpadł w te sieci i pokochał piękną pannę starczą, pożądliwą miłością, która nie ufa sobie, gdy chodzi o kobietę wogóle, ale łudzi się, że odnajdzie zapal młodości, gdy chodzi o jedną, wybraną. Łączyła się z tą miłością pewnością, że na razie będzie raj, a co dalej — mniejsza. Pochlebiała mu także myśl, że odsadził od panny okoliczną młodzież, a nawet i to, że zwyciężył Marka. Marek był wprawdzie jeszcze dzieckiem, ale szambelan już nim być począł.

Oblubieniec nie domyślał się tylko jednej prostej rzeczy, że panna oddaje mu rękę wyłącznie dlatego, by mieć kawałek chleba i dach nad głową. Próżność nie pozwalała mu tego dojrzeć, natomiast rozumiał to doskonale Kajetan i bolał nad tym, a ból ten zmieniał się w nim w niechęć i mimowolną ironię.

Przyszły »Pan młody« siedział obecnie przed kominkiem, z głową opartą o poręcz fotelu i z przymkniętymi oczyma, a syn spoglądał na niego z gorzkim politowaniem, odczu-

wając jednocześnie, że to jest stary, bliski grobu ojciec, którego mógłby kochać, gdyby obaj byli inni, a zarazem, że to jest przedstawiciel świata, który powinien zginąć, albowiem jest wyjałowiony, samolubny, zły i nędzny. Ludzkość budziła się do jakiegoś nowego życia, nowa rosa zaczęła padać na wyschłe ugory, ale tacy, jak ten starzec, nie mieli już nic do roboty w blaskach porannej zorzy.

Dalsze rozmyślenia przerwał Kajetanowi Marek, który wrócił z odezwą w ręku.

— Myślałem, że ją zostawił Cywińskiemu — rzekł — ale nie, masz, czytaj!

Kajetan począł obszukiwać kieszenie.

— Zostawiłem okulary w gabinecie. Przeczytaj ty.

Marek, wzięwszy odezwę, spojrzął raz i drugi na starego szambelana.

— Owszem, niech i ojciec słyszy — rzekł Kajetan.

I zdjąwszy z konsoli świecznik, zbliżył się do chłopca, a on począł czytać swym dźwięcznym, na wpół jeszcze dziecięcym głosem:

»Wierny ojczyźnie aż do ostatniej chwili, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona wprawdzie, lecz zostaje nam pocieszająca pamięć, żeśmy wylewali krew naszą za kraj naszych przodków, żeśmy widzieli nasze sztandary triumfujące pod Dubienką, Raclawicami, Warszawą i Wilnem.

»Polacy! nadzieja nas jednoczy. Francja triumfuje; walczy ona za sprawę narodów. Starajmyż się osłabić jej nieprzyjaciół; zapewnia nam schronienie, oczekujemy lepszych przeznaczeń dla naszego kraju. Stawajmy pod jej chorągwiami, są one chorągwiami honoru i zwycięstw.

»Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze towarzysze prac waszych i waszej waleczności są za mną! Już organizują się bataliony. Przychodźcie, towarzysze moi, rzućcie broń którą was nosić zmuszono. Walczmy za wspólną sprawę narodów pod walecznym Buonapartem, zwycięzca

Włoch. Trofea Rzeczypospolitej francuskiej są jedyną nadzieją; przez nią tylko i jej sprzymierzonych odzyskamy te drogie ogniska, które opuściliśmy ze łzami...«

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Kajetan odezwał się wzruszonym, cichym głosem:

— Więc to prawda? więc są nasze legiony?

— Są. Ta odezwa wydana, jak widzisz, jeszcze zeszłego roku. Ale przecie, nim ona nadeszła, przelatywały przez kraj wieści, że legiony nie tylko już istnieją, lecz się i biją.

— Te wieści słyszałem, jak każdy inny, tylko że nie było w nich nic pewnego. Gazetom nie wolno było o tym pisać: odezwę wyłapywały rządy, więc chyba dlatego dostaliśmy ją tak późno. Tym bardziej, że my siedzimy na wsi. Wszystko to rozumiem. Ale nie pojmuję jednej rzeczy: legiony biły się przecie, lub miały się bić z Austrią, a zatem co one mają teraz do roboty, skoro w Campo Formio został zawarty pokój — i czy nie zostały już rozwiązane?

— Nie — odpowiedział Marek. — Łuczyński i stary Cywiński mają przez tajne towarzystwa wiadomości, że to jest tymczasowy pokój i że wojna znów wkrótce wybuchnie. Dlatego, mówią, rząd francuski nie rozwiązał legionów, które stoją we Włoszech i rosną z każdym dniem. Kajetan! to nowa armia polska!...

— Nowa armia polska!

— Pod egidą zwycięzcy Buonapartego i pod chorągwiami z orłem białym...

— Która wróci kiedyś do kraju,

— Tak! nowa nadzieja! nowe życie!...

Dalszą rozmowę przerwał im silny stukot przed kominkiem. To złota, ciężka tabakierka wysunęła się z rąk drzemiącego szambelana i potoczyła się po posadzce.

A starzec ocknął się, uśmiechnął i na wpół rozbudzony począł mruzczyć:

»De grâce, faites-moi pécher!...

De grâce, faites-moi pécher!...« Ach!...

III.

Marek słusznie przewidywał, że ze strony stryja trudności nie będą zbyt wielkie. Zamiar młodzieńca oburzył wprawdzie w pierwszej chwili szambelana ze stanowiska »pryncypiów«, ale gdy zastanowił się nad sprawą w stosunku do własnej osoby, »pryncypia« poczęły przesłaniać się mgłą, zacierać się, błędzić i wreszcie poszły w ką. Różyce wraz z kilkoma przyległymi folwarkami stanowiły dość okazałą fortunę szlachecką, było zaś rzeczą oczywistą, że, gdyby Marek zawieruszył się gdzieś na świecie, lub zginął, cała ta fortuna przechodziła na jego najbliższych spadkobierców. Szambelan niby nie zgadzał się na wyjazd Marka i nie przestawał odmawiać go od wyprawy, ale miękko i coraz powolniej, tak, że widoczne było, iż chodzi mu tylko o zachowanie pozorów. W końcu omawiania sprawy i narady nad nią zeszyły do tego, jak rzecz urządzić, by uniknąć kłopotów z rządem pruskim, który, gdyby Marek zginął bez wieści, mógł uważać Różyce za kaduk i tym samym zabrać je na własność. Szambelan był głównym opiekunem, ale byli i dwaj inni, dodani, z którymi należało się porozumiewać. Byli to bliscy sąsiedzi, Rostkowski i Ważeński, obaj starzy ludzie, z tradycjami jeszcze poniekąd saskimi. Nie przechwalali ustawy Trzeciego Maja i nie brali udziału w insurekcji Kościuszkowskiej, gdyż wydawało im się, że »poruszać chłopstwo« jest rzeczą niebezpieczną. Ale nienawidzili Targowicy, nienawidzili »postronnych potencji« — i gardzili ludźmi, którzy przyczynili się do upadku kraju, nie rozumiejąc zgoła, że ów upadek

jest następstwem starego porządku, a raczej nieporządku rzeczy. Szambelanowi nie łatwo było z nimi obradować, gdyż wcale nie ukrywali przed nim swych uczuć. Natomiast zamiar Marka zyskał ich zupełną aprobatę. Wiadomo im było, że i w dawnych czasach różni panicze służyli dla wyćwiczenia się w sztuce wojennej w obcych wojskach, a przy tym radowała ich myśl, że tworzy się armia polska, która kiedyś policzy się z mocarstwami rozbiorowymi.

Na prośbę Marka rada opiekuńcza zgodziła się na fikcyjną sprzedaż Róžyc. Kajetan, który miał być podstawiony jako nabywca, przystał na to dopiero po długich naleganiach. Stosunki stryjecznych braci stały się w ostatnich czasach bliskie i serdeczne. Gdy raz otworzyli przed sobą serca, uprzedzenia ich znikły i zastąpiła je szczerza przyjaźń. Rozmawiali z sobą obecnie często i poufnie, układając plany na przyszłość. Z tych planów wypadło ostatecznie, że Kajetan wyruszy wówczas dopiero do Włoch, gdy otrzyma wiadomość od Marka, że znajdzie się tam dla niego jaka służba, a tymczasem uda się do jednego z niemieckich uniwersytetów. Obiecał też Markowi, że będzie strzegł dla niego Róžyc i zwróci mu je wiernie, jeśli Marek nie pozostawi gości na jakim pobożowisku we Włoszech lub gdzie indziej. Ułożono również, że po przeprowadzeniu fikcyjnej sprzedaży majątku, przyszły legionista wyjedzie za legalnym paszportem, by nie skompromitować stryja i Kajetana wobec rządu pruskiego, który, mimo zawartego w Bazylei pokoju z Francją, nie mógł pozwalać bezkarnie swym poddanym na ucieczkę do republikańskich szeregów.

Przeprowadzenie tych układów zajęło jednak sporo czasu. Tymczasem zima poczęła się przesilać. Powiały cieplejsze wiatry, pod których tchnieniem śnieg tajał na zagonach i tylko w bródach bielity się jeszcze długie i błyszczące, ale coraz cieńsze jego taśmy. Po przelotnych dżdżach rozbłyskiwało jasne słońce, a za chwilę nagnane wiatrem chmury sypały znów srebrną kaszę. Tylko w lasach było jeszcze kopno i chwytał chłód surowy, lecz dnie i noce przechodziły już bez

mrozów. Zapowiadała się wiosna i szła na podbój świata, a zimowe moce jęły się cofać zwolna na północ.

Jednego z takich dni przyjechał do Różyc Cywiński, razem wesoly i smutny: wesoly dlatego, że stryj jego, Leon Cywiński, przysłał mu umyślnym piętnaście czerwonych złotych, a smutny z powodu ciężkiej choroby starego nadleśnego Plichty, ojca Anusi.

Lecz Stanisław, nie przypuszczając, żeby Anusi groziło naprawdę sieroctwo, zajęty był przede wszystkim stryjowskimi dukatami i promieniał cały z radości.

— Jeśli będziesz marudził — mówił do Marka — to ruszę naprzód, bo tu już ziemia parzy mnie tak w podeszwy, że nie mogę wytrzymać. Poczciwy stryj! Ten ci wszystko rozumie. List jest krótki i ostrożny, bo to spod Austriaka. Posłuchaj, co stryj Leon pisze:

»Kochany Stanisławie, posyłam ci piętnaście dukatów, gdyż rozumiem to dobrze, że młody człowiek, któremu przykrzy się w domu, potrzebuje, jakiegoś grosza. U nas nic nowego, tylko Kosecki, syn pana Franciszka, zniknął już dawno z domu. Uściskaj ode mnie oboje rodziców, i niech cię Bóg błogosławi, amen!«

Na to rzekł Marek:

— Skoro ci stryj tak pisze, to muszą tam wiedzieć, że legiony nie rozwiązały się po Campo Formio.

— Ani im się śniło. Gdyby się rozwiązały, to Austriacy nie omieszkaliby tego rozgłosić. Stryj też domyślił się, że nie usiedzę, i dlatego przesłał mi zasilek. Bił się przecie pod Kościuszką... Tęgi stary! Żeby nie żona i dzieci, to możeby i sam jeszcze ruszył. No, a my kiedy?

— Jak najprędzej. Prawie wszystko już skończone. Pojadę jeszcze z pożegnaniem do Leźnicy, potem do opiekunów i będę gotów. Ale póki stary Plichta chory, to i ty nie możesz jechać. Tam prócz panny Anny nie ma nikogo w domu.

— Sprowadziłem wczoraj felczera. Ale i moja poczciwa matka pilnuje chorego. Może Bóg da, że się to przesili.

— Kiedy zapadł?

— W sobotę, ze zmęczenia za dzikiem.

— Jakże to było?

Cywiński, jak każdy myśliwy, lubił opowiadać obszernie o przygodach myśliwskich, więc rozpoczął:

— Było tak. Borowy dał znać, że znalazł bartóg odyńca. Plichta chciał iść zaraz, bo nazajutrz nie wypadało z powodu niedzieli. Pluta była okrutna i wicher. Anusia prosiła ojca, by nie chodził, a że ja zawsze robię to, czego ona chce, więc też perswadowałem, że dzik do poniedziałku nie uciecze. Ale gadajże ze starym, gdy chodzi o grubą sztukę. My swoje, on swoje. Uparł się i poszliśmy we dwóch z psami. Nie było daleko, więc psy, pomarudziwszy trochę, ruszyły na dzik. Ale on nie głupi kołować, tylko jak się puścił przed siebie, tak gnał prosto ku Świdrowym Jarom. Słuchamy, goni dalej.

Więc Plichta powiada: »Idźmy za gonem, śniegi jeszcze w lesie duże, zatknie się bestia, siedzie pod pnem i będzie się psom odcinał«. Jakoż tak się stało, ale nim doszliśmy, ruszył, odsapnąwszy znowu, i tak było ze trzy razy. Co my bliżej, to on w drogę. Zziajaliśmy się, jak nieboskie stworzenia, bo dołkami było kopno. Na szczęście poszedł dzik przez łąki ku zaliwskiemu ostępowi wprost ku strudze — i tam, że to oparzelisko — ulgnał. Gdyśmy doszli, z dzika i psów była jedna kupa. Strzelać nie sposób, proszę więc Plichty, by mi pozwolono go skłuć. Chciał zrazu sam, ale wreszcie pozwolił. Psy się już tak rozżarły, że gryzły się i między sobą. Doszedłem jednak, okraczyłem juchę i pchnąłem dobrze, bo aż po rękęjęć — a on mi się jeszcze podał na nóż. Próbowaliśmy go potem wyciągnąć z oparzeliska, ale ani rusz, bo nam samym nogi zapadały w bajoro. Gruba sztuka, funtów ze czterysta, albo więcej. Zamoczyliśmy się przy tym wyżej kolan i, nim doszliśmy do drogi, przejął nas chłód. Na drodze przysiedliśmy się na furę, co jechała z sucharami — i było jeszcze zimniej. Plichta zaczął zębami dzwonić i mówił że się zanadto zmęczył. W domu napił się raz i drugi wódki, ale nie chciał jeść. Pod wieczór pomiar-

kował sam, że z nim źle, bo nie mógł oddychać i kłuło go pod łopatkami.

Anusia uprosiła go, żeby się położył, i zgrzała mu wina z cynamonem, a on dodał jeszcze z pół naboju prochu i wypił. Ja, niedługo, myśląc, pojechałem do domu, stamtąd po felczera do Łęcznej i wieczorem przywiozłem go do Zagnania. Felczer puścił staremu krew i to mu trochę ulżyło. Przesiedzieliśmy przy nim z Anusią całą noc, a nazajutrz przyjechało matczysko. Anusia okropnie niespokojna, ale felczer ją pociesza. Powiada, że każdy inny poszedłby na księżą grudź, ale taki mocarz jeszcze się wykaraska. I ja też myślę, że się wykręci, dlatego też nie biorę tego tak bardzo do serca i cieszę się z moich dukatów, bo jak tylko Plichta stanie na nogi, ruszamy, co?

— Ja będę gotów — rzekł Marek — tymczasem pojedę z tobą odwiedzić starego żołnierza w Zagnaniu. Godzina jeszcze wczesna, więc tylko się przebiorę i chętnie będę ci towarzyszył.

— Bóg ci zapłać; po co masz się przebierać?

— Bo tam zastanę twoją matkę i pannę Annę, a przy tym pojedę stamtąd z pożegnaniem do Leźnicy. Szkoda, że Kajetan w Łęczycy. On żył w przyjaznych stosunkach z Plichtą, co mnie nawet w swoim czasie dziwiło.

— Plichta poznał się na Kajetanie wcześniej i lepiej od nas. Ale ty patrz, żeby ci się w Leźnicy duch nie stukł.

Marek wzruszył ramionami.

— Ktoby mnie tam miał odwozić od wyjazdu i dlaczego? Gdy odejdę, nikt nie spojrzy na ślady moje, które pierwszy wiatr zwieje.

— Bardzo to poetycznie powiedziane, ale tymczasem śpiesz się.

Jakoż w pół godziny później ruszyli obaj do Zagnańskiego Leśnictwa, w którym mieszkał Plichta. Przyjęły ich tam: pani Cywińska, matka Stanisława, niemłoda już, ale pełna życia kobieta, o dobrych i rozumnych oczach, oraz lniano-włosa Anusia, której twarzyczka wyglądała jak rumiane,

zroszone deszczem jabłuszko. Stary nadleśny miał się gorzej. Felczer puścił krew po raz drugi i bardzo obficie, z czego skutek był taki, że chory majaczył chwilami nie z gorączki, ale z osłabienia. Marka jednak poznał, natomiast Cywińskiego powitał pytaniem: »gdzie naczelnik?«, po czym jął spoglądać na własne palce, którymi zgarniał koło siebie koidrę. W alkierzu czuć było mdły zapach krwi; na oknie leżały pokrwa-wione bandaże. Anusia poita co chwila ojca odwarem ziółek, tłumiąc czkawkę, której jej nabawiło gwałtowne hamowanie łkań, a pani Cywińska wzięła obu młodzieńców do drugiego pokoju, i tam, ze łzami w oczach, ale zarazem z tą pewną skwapliwością, jaką kobiety, pilnujące chorych, okazują zawsze, gdy mogą zwiastować pomyślne lub niepomyślne nowiny, poczęła szeptać:

— Złe! może do wieczora nie dożyć; trzeba posłać po księdza.

Stanisław stropił się ogromnie.

— Jaki? To naprawdę?

— Niezawodnie, niezawodnie! — szeptała prędko pani Cywińska. — Przed chwilą poczał się rozglądać po pokoju, jakby czegoś szukał, i nos mu się robi coraz ostrzejszy. Ach, Matko wielkiego miłosierdzia! Anusia też to rozumie. Biedna dziewczyna zostanie sama jak palec, ale temu się zaradzi. Tymczasem trzeba księdza i to prędko.

— Ja — rzekł Marek — miałem i tak jechać do Leźnicy, więc wstąpię do proboszcza i wyślę go natychmiast.

— Bóg zapłać, tylko niech się waćpan pośpieszy, póki chory choć chwilami przytomny.

W kilka minut później Marek pędził już do Leźnicy, leśną, nie całkiem jeszcze rozmarzniętą drogą. Myślał przede wszystkim o tym, że stary nadleśny umiera, że trzeba mu księdza, ale zarazem przypominał sobie, że jedzie z ostatnim pożegnaniem do Klarybelli. Chciał ułożyć jakieś odpowiednie wzniosłe wyrazy pożegnania, w którychby cierpienie i tajone uczucie tak przebijało się przez powłokę słów, jak żar prze-błyaska spod popiołu. Ale mu nie szło, gdyż to, co widział

w Zagnaniu, płała mu wątek myśli. Tam było prawdziwe, nie zaś urojone nieszczęście; tam serce starego żołnierza miała przysypać ziemia, tam miały popłynąć szczere łzy sieroco, tam nie trzeba było wmawiać w siebie ni żalu, ni nieszczęścia. On zaś czuł, że musi w siebie trochę wmawiać żal i smutki — i to poczucie było mu nie w smak, gdyż towarzyszyła mu także myśl, że Cywiński kocha swoją Anusię daleko prawdziwiej i rzetelniej. Wszystko to razem wzięte sprawiło, że ogarnęła go niepohamowana chęć wyjechać jak najprędzej i zaciągnąć się do legionów, albowiem pojął w tej chwili, że tam rozpocznie się jakaś prawda i to prawda potężna, wobec której nie trzeba będzie wmawiać w siebie czegokolwiek, ani też poetyzować i przyozdabiać rzeczywistości.

Tak rozmyślając, dojechał do Leźnicy. Na plebanii opowiedział, o co chodzi, i rozstał się z dziekanem dopiero wówczas, gdy ów siadł na bryczkę i gdy rozległ się dzwonek, na którego głos ludzie klękali przy drodze. W kwadrans później był on we dworze.

Serce zaczęło mu jednak bić żywiej na myśl, że za chwilę ujrzy tę Klarybellę, która tak długo była przedmiotem jego marzeń i uczuć. Podczas ostatnich dni, głowę miał z powodu narad, układów i przygotowań tak zaprzętną, że panna Klarybella stała się dla niego poniekąd mniej rzeczywista i stopniowo poczęła się zmieniać jakby w dźwięczne imię, jakby tylko w pełne melancholii wspomnienie dziewiczej piękności, jakby w coś, co raczej było, niż jest. A teraz miał ją znów zobaczyć w cielesnej postaci, dotknąć jej ręki, słuchać jej słów, zapamiętać ją i pożegnać na wieki. Wobec tego ogarnęło go rozczulenie, chociaż sam nie wiedział nad kim i nad czym się rozczuła.

Panie nie ukazywały się dość długo, więc tymczasem chodził po bawialni i, chcąc ją sobie wbić w pamięć, spoglądał to na blado-niebieskie meble z powszywanymi na ukos gobelinowymi pasami, to na oszkloną »etażerkę«, pełną saskich figurynek, to na szpinet, to na złożony zegar, przedstawiający Dianę, ciągniętą przez jelenie, to na migotliwe kryształy w

zyrandolu. Salon był umeblowany dość wspaniale, a le Marek wiedział, że to jest pozostałość lepszej przeszłości i że pod tym zbytkiem kryje się ruina, że panna Klarybella, córka jeszcze bardziej zrujnowanych rodziców, biedniejsza jest naprawdę od Anusi Plichcianki. Mówił o tym Markowi i stary szambelan i Kajetan.

Na koniec drzwi się otworzyły i weszła panna Klarybella. Markowi wydała się w pierwszej chwili jakby starsza i mniej ładna, albowiem przedwiosenne powietrze opryszczyło jej czoło, a bielidło nie zdołało pokryć pryszczów należycie. Jednakże zadrgało w nim serce, gdy, pochyliwszy głowę, wyczuł ustami ciepło ręki. Podniósł też następnie na nią oczy ze szczerym wzruszeniem, ale nie powitała go pocałunkiem w czoło, jak wówczas w Różycach, lecz, wskazawszy mu ręką krzesło, siadła naprzeciw i czekała na pierwsze jego słowa.

— Przybyłem — ozwał się Marek przerywanym głosem — przybyłem do pani starościny i do waćpanny z ostatnim pożegnaniem.

— Wiem — odpowiedziała panna. — Ostatnim razem mówił mi o wyjeździe waćpana szambelan August.

— Przedtem była tajemnica, więc nie mogłem mówić otwarcie, ale teraz mogę: jadę do Włoch i zaciągam się do legionów pod Dąbrowskim.

Coś dziwnego przemknęło na te słowa po twarzy panny — ni to zmieszanie, ni wzruszenie — i dopiero po dłuższej chwili milczenia, odrzekła jakby z wahaniem:

— Słyszałam, że tam jest już wielu naszych dawnych wojskowych...

— Wielu po upadku insurekcji wyjechało do Francji. Ci przyjęli obywatelstwo francuskie i zaciągnęli się do armii republikańskiej. Ale teraz, gdy utworzyły się legiony polskie, wszyscy przeszli do nich.

— To waćpan spotka tam może...

Znów zawahała się, tak, że Marek spojrzął na nią ze zdziwieniem.

— Kogo? — zapytał.

— Znajomych — odpowiedziała, przymykając oczy.

— Być może. Kilku przyjaciół idzie wraz ze mną, a w każdym razie będę wśród rodaków.

— I wyjazd waćpana nieodmiennie już nastąpi. Czy trudy wojenne nie będą nad jego siły?

— Syn generała Dąbrowskiego jest znacznie młodszy ode mnie, a służy w szeregach. Wyjazd mój już jest postanowiony i nic nie zdoła mnie od niego odwieść.

Po chwili zaś dodał:

— Dlatego właśnie przybyłem pożegnać się i prosić o dobre słowo na drogę. Młody jestem, ale chcę ofiarować krajowi krew moją.

Pierś panny zaczęła falować żywiej. Widocznie rozmowa nie była bynajmniej dla niej obojętna, ale Marek nie umiał zdać sobie sprawy, co ją tak porusza — czy jego odjazd, czy to, że we Włoszech utworzyły się legiony polskie.

Klarybella wyciągnęła do niego obie ręce:

— Niech pana Bóg prowadzi, strzeże i pozwoli okryć się sławą wśród obcych.

Chłopiec pochylił się, przywarł ustami do jej dłoni i począł mówić zdławionym głosem:

— Dziękuję. Byłem dla pani i jestem... całą duszą oddanym jej przyjacielem.

Wierzył w tej chwili, że ją kochał nad życie, że ją kocha jeszcze, i byłby klęknął przed nią, byłby prosił ją o jaką pamiątkę, o wstążkę lub pukiel włosów, ale tymczasem w przyległym pokoju dały się słyszeć kroki pani starościny.

Drobna staruszka weszła do salonu z okularami na nosie, z koszyczkiem i kawałkiem pasa polskiego, który połyskiwał złotymi nitkami i purpurą. Po przywitaniu siadła przy okrągłym stoliku obok Marka, podniosła rękę ku głowie, dała w powietrzu prztyczka palcami, a następnie ogarnęła ucho dłonią na znak, że gotowa słuchać.

— Ciociu — ozwała się głośno panna Karybella — pan Marek Kwiatkowski przyjechał nas pożegnać, gdyż zaciąga się do wojska polskiego we Włoszech.

— A, chwałę! — odpowiedziała staruszka — ale to się na nic nie zdało. Kościuszko? co? On ze mną raz tańczył, kiedy jeszcze był kadetem... Nieszczególny był tancerz... Co za porównanie z generałem Komarzewskim, albo z Trembeckim... Ale teraz cały świat się Kościuszką zajmuje...

— Pan Kwiatkowski będzie służył pod generałem Dąbrowskim...

— Pod Dąbrowskim? Znałam także... Ostatni raz na obiedzie u Suwarowa. Sadzał go wyżej od generałów pruskich, o co się Niemcy bardzo gniewali. Dąbrowski?... Słuszny mężczyzna, trochę niezgrabny... Ale to już się na nic nie zdało...

To powiedziawszy, zaczęła wyciągać nitki z resztek pasa i po chwili rzekła:

— Z tamtego żałobnego było sześć łyżeczek srebrnych, a z tego będzie sześć złotych...

Po czym do Marka:

— Proszę?... Co waćpan mówi.

Marek niewiele miał do powiedzenia, tym bardziej, że wiedział, iż staruszka niezbyt go lubi. Po pewnym czasie pożegnał się i wyszedł. Gdy znalazł się w sieni, pojawiła się nagle przed nim panna Klarybella, której nie spodziewał się już widzieć. Odprawiwszy skinieniem służącego, który podawał Markowi płaszcz, czekała przez chwilę, póki nie opanuje wzruszenia, na koniec rzekła:

— Mam parę słów jeszcze do waćpana i prośbę, wielką prośbę...

Marek skłonił się w milczeniu.

— Waćpan spotka może we Włoszech oficera Bogusławskiego... Na imię mu Ferdynand Jakób... To mój przyjaciel z lat dziecinnych... Jeśli jeszcze żyje, oddaj mu waćpan ten oto pierścionek i powiedz...

Tu głos panny załamał się i ucichł. Marek wziął żelazną obrączkę, którą mu podała, i, poczekawszy kilką minut, zapytał:

— Co mam mu powiedzieć?

— ...I powiedz, by ten, który ma ode mnie, wrzucił w morze...

Na twarzy Marka odbiło się zdumienie, były to bowiem rzeczy całkiem dla niego niespodziane.

— Czy waćpanna nie powierzy mi jakiego listu? — zapytał.

— Nie. Nie umiem pisać po polsku, a nie chcę po francusku... Trudno mi i teraz mówić, ale niech mu waćpan powie, by mi nie złorzeczył, bo... bo i tak jestem dość nie-szczęśliwa...

Tu panna Klarybella przycisnęła powiekami oczy, by nie puścić wzbierających w nich łez, jednakże długie jej rzęsy operliły się nagle, po czym zawołała z pośpiechem:

— To wszystko! Adieu! Adieu! — i znikła w bocznych drzwiach sieni.

* * *

— Ach! — myślał Marek, wyjechawszy za dworską bramę — więc moje nadzieje, a raczej moje supiry, bo jakież mogłem mieć nadzieje, były od początku płonne... Nie wiedziałem i nie domyślałem się, że w jej sercu panuje kto inny... i teraz wywożę tylko tę obrączkę, którą muszę oddać we Włoszech...

I nie spostrzegł się na razie, że taki obrót rzeczy wywołuje w nim daleko więcej zdziwienia, niż smutku. Tymczasem wydobył obrączkę z kieszeni i począł jej się przyglądać. Była z emaliowanego na czarno żelaza, na którym widniały wye-maliowane na biało dwa wyrazy: »spes mea«. Marek odczytał je głośno powtórzył kilkakrotnie: »spes mea« i począł kiwać głową. Oto jak zawistne losy depcą po sercach i po nadziei! I wobec niedoli tych dwojga ludzi, znów nie pomyślał, że i jego spotkał przecież zawód. Ogarnęło go współczucie dla panny Klarybelli i dla tego oficera, który bił się tam gdzieś na drugim krańcu Europy. Panna Klarybella wyszlachtniała w oczach chłopca i okryła się nimbem poetycznej ofiary,

wiedział bowiem, że wychodzi zamąż dlatego, by zapewnić rodzicom kawałek chleba i dach nad głową. Był przy tym jeszcze takim dzieckiem, że to, iż ona wybrała go na powiernika i posła, napełniało go pewną dumą. Zrodziła się w nim chęć, by złożyć na ołtarzu ofiarnym własne uczucia i wyrzec się wszelkiej myśli o Klarybelli. Ale zrozumiał jednak, że byłoby to bardzo skromne poświęcenie, albowiem stałoby się wielkim tylko w takim razie, gdyby to on sam, a nie szambelan miał się z nią żenić. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl zapisania Róźyc na wypadek swej śmierci pannie Klarybelli, by ją uwolnić tym sposobem od małżeństwa ze stryjem, i postanowił wspomnieć o tem Kajetanowi, choć czuł i obawiał się, że Kajetan go wyśmieje.

Lecz dalszą grę wyobraźni zmącił mu widok zaprzęzonej w czwórkę karety, która nadjeżdżała z przeciwka. Siedział w niej, widny przez zwierciadlane szyby, szambelan August, w białej upudrowanej peruce, wyróżzowany, wystrojony, podobny do woskowej figury, odmłodzony, piękny. Jechał do Leźnicy. Spostrzegłszy Marka, przymrużył oczy, podniósł w górę dłoń, kiwnął nią protekcyjnie, uśmiechnął się z triumfem i przejechał. »Jaki wspaniały!« — pomyślał Marek — i na razie ogarnął go gniew, lecz w chwilę później zmienił się w złośliwe zadowolenie. »Cokolwiek się stanie jakkolwiek rzeczy się obróca, nie zazdroścę stryjowi ni jego triumfów, ni małżeństwa«. Nagle szambelan wydał mu się istotą godną politowania, a jego przyszłe życie, czy z Klarybellą, czy bez niej, jakąś śmieszna i zarazem smutną komedią.

Po spotkaniu stryja, chciał jechać do Zagnania, ale poczuwszy, że jest ogromnie głodny, pojechał do Róźyc. W Róźycach zastał Kajetana, który przed godziną powrócił z Łęczycy i który dowiedziawszy się o chorobie Plichty, oświadczył, że pragnie go także odwiedzić.

Stary żołnierz, od czasów Targowicy, a zwłaszcza od wojny Kościuszkowskiej, zerwał był wprawdzie wszelkie stosunki z Kwiatkowskimi, ale zdarzyło się, że gdy przeszłej zimy Kajetan zabłądził w czasie zamieci w lesie, Plichta, natknąwszy

się wypadkiem na jego sanie, przywiózł go do Zagnania na wół zmarzłego, odegrzał, posilił i przetrzymał w domu, póki zamieć nie ustała. W czasie tych mimowolnych odwiedzin, Kajetan potrafił widocznie rozprószyć uprzedzenia starca co do siebie, albowiem od tej pory witali się przy spotkaniach w kościele w Leźnicy, a nawet widywali się w Zagnaniu, gdzie młody szambelan składał kiedy niekiedy dziękczynne wizyty swemu wybawcy.

Obaj młodzieńcy postanowili wobec groźnego stanu Plichty wybrać się do niego zaraz — i po lekkim posiłku ruszyli w drogę małą zaprzężoną w parę koni kariolką. Miało się pod wieczór. Zanim wyjechali ze wsi, Marek opowiedział naprzód, jak wyprawił księdza z Panem Bogiem z Leźnicy, a następnie jął mówić o swej wizycie we dworze. Nie chcąc, by woźnica ich rozumiał, rozmawiali po francusku. W umyśle Marka zrodziła się wątpliwość, czy ma prawo powtórzyć to wszystko, co powiedziała mu panna Klarybella, ale ponieważ chodziło o Kajetanowego ojca, a panna Klarybella nie zastrzegła wcale tajemnicy, Marek pomyślał, że tak samo Kajetanowi powierzyłaby obrączkę, gdyby to on jechał do Włoch — i postanowił mówić otwarcie.

— Daj mi słowo — rzekł — że to, co ci powiem, pozostanie zawsze między nami.

— Daję najchętniej — odpowiedział Kajetan. — Wiesz przecie, że jestem z natury milczek.

— Więc naprzód zapytam, czy myślisz, że małżeństwo stryja dojdzie naprawdę do skutku?

— Nie mam żadnej wątpliwości. Ojciec chce, by ślub odbył się jak najprędzej. Wczoraj znów powtórzył, że jedzie po dyspensę od zapowiedzi do Warszawy. Namawiał mnie nawet, bym jechał z nim razem.

— I co dalej będzie? Pomyśl o różnicy wieku stryja ma siedemdziesiąt trzy lata. Jak się to obróci?

Marek zapomniał w tej chwili o tym, co w swoim czasie mówił Cywińskiemu, że Saturn nie ma skrzydeł, a Amor je ma i dlatego unosi się nad przestrzenią i czasem.

A Kajetan ruszył ramionami.

— Co będzie? — powtórzył. — Licho wie. Nie będzie nic dobrego, bo nie może być. Nie miałem i nie mam co do tego żadnych złudzeń.

— Skoro nie miałeś złudzeń, to czyś nie próbował perswadować?

— Perswadować poważnie na nicby się nie zdało. Próbowałem, jak wiesz, ironii, ale ojciec się tym tylko drażni, i kiedyś odpowiedział mi tak: »Masz po matce własny majątek, a jeśli mój rozdzieli się na kilka osób, to i w takim razie z głodu nie umrzesz«.

— W ostatnich czasach rozmawiałeś jakoś częściej z panną Klarybellą, czy nie zdarzyło ci się mówić i z nią o tym małżeństwie?

— Nie. Nie mamy wzajem do siebie sympatii, a to wyłącza ufność.

— Gdybyś jednak spróbował zbliżyć się z nią i przełamać lody...

— Lód jest i po tamtej stronie bardzo gruby..

— Mnie chodzi o Klarybellę — mówił Marek — i powiem ci otwarcie, że przede wszystkim o nią. Bo widzisz, małżeństwa między osobami w tak nierównym wieku nie są zwykle szczęśliwe, ale czasem mogą być spokojne..

— Mówisz roztropnie, nad twoje młode lata — przerwał Kajetan.

— Pozwól... Bywają czasem spokojne... Ale jeśli kobieta, która wychodzi za starca, kocha innego, wtedy życie jej staje się jednym męczeństwem.

— A czy panna Klarybella kocha innego? — zapytał zimno Kajetan.

— Tak jest.

— Tym gorzej dla papy.

I tu spojrział na Marka z uśmiechem pełnym wyrozumiałości i politowania dla jego młodzieńczej naiwności, a Marek zrozumiał, zarumienił się po uszy i odparł żywo:

— Ani mi się śniło myśleć o mnie. Ten, którego ona

kocha, jest oficerem w legii Dąbrowskiego i przelewa krew za wolność narodów. Może już nie żyje, ale prosiła mnie, bym w razie, gdy go spotkam, oddał mu tę oto obrączkę...

Tak mówiąc, oddał obrączkę Kajetanowi, a ów zbliżył ją do samych oczu, obrócił wokoło i przeczytał: »spes mea«.

Po chwili milczenia uśmiechnął się znowu, ale tym razem gorzkim i szyderczym uśmiechem.

— »Spes mea« — powtórzył. — Wszakże to Seneka powiada: »nie buduj domu na piasku, a szczęścia na sercu kobiecym«. Niezłą miał przecież żonę stary Seneka, bo Paulina straciła dla niego cerę, a jednak on to powiada...

— Ty się śmiejesz, Kajetanie?

— Prawie, albowiem myślę, że jeśli ów legionista żywi się tylko tą nadzieją, to nie musi być otyły.

— Gdybyś widział Klarybellę, tak jak ja ją widziałem, smutną, ze łzami w oczach, tłumiącą łkanie, nie szydziłbyś z jej nieszczęścia. Nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku i oddałbym nie wiem co, byle wrócić jej choć nadzieję.

— Której dobrowolnie się wyrzekła. Podziwiam cię tym bardziej, iż i tobie nie była obojętna. Nie umiałeś skrywać twoich młodzieńczych uczuć, które mogły mieć siedlisko tylko w wyobraźni, jednakże płonęły tak jasno, że wszyscy je widzieli: ja, ojciec i ona. A le współczucie unosi cię za daleko, bo ostatecznie, gdyby kochała tamtego legionistę, to nie zgodziłaby się na małżeństwo z moim ojcem.

— Ale czyż nie rozumiesz, że tam ruina i że chodzi jej o chleb dla rodziców.

— Tak się to mówi, bo to brzmi żałośniej i poetyczniej. Wyrozębscy to znaczny ród i między ich krewnymi są niezawodnie, nie tylko ludzie zamożni, ale i magnaci. Wiesz przecie, jak to bywa u nas w Polsce. Tacy bogaci krewni znajdują zawsze dla uboższych — choćby przez pychę rodową — czy to jaką rezydencję, czy jaki folwark dzierżawny, czy jakąś intratę, a w ostatecznym razie dadzą u siebie mniej więcej wygodny przytułek. Ludzie o znacznych nazwiskach nie umierają u nas dotychczas z głodu. Takie czasy może nadejdą, ale jeszcze

nie nadeszły. Nie, mój drogi! Tu nie o dach nad głową i nie o chleb chodzi, ale o wygody, o woskowane posadzki, o miękkie karła, o złoczone *trumeaux*, o służbę w liberii i zbytlowe pokoje. Klarybella do takiego życia przywykła i nie umie się z nim rozstać i dlatego, nie zaś dla chleba, poświęca swego legionistę. A przychodzi jej to tym łatwiej, że on może już i leży pod jakim cyprysem we Włoszech.

Marka uderzyły te słowa, gdyż wyczuł w nich niemiłosierną prawdę. Jednakże wystąpił jeszcze w obronie Klarybelli.

— Ona to czyni nie dla siebie — rzekł.

— A kto będzie mieszkał w pałacu różycykim, a potem w birkowskim?

— A jednak ja wierzę w jej szczerłość, w jej żal i w jej łzy.

— Gdy kobieta pokwituje łzami, uważa, że dług spłacony.

— Kajetanie, nie potępij jej z góry, bądź dla niej wyrozumiały, pozyskaj jej ufność. O to cię tylko proszę, bo czy ty słusznie mówisz, czy nie, ona jest naprawdę nieszczęśliwa.

— Nie chcę ci odmawiać, choć wątpię, by mogło przyjść między mną a nią do ufności.

Wjechali w las. Do Zagnania nie było już daleko. Na świecie mroczyło się.

— Jak się nazywa ten legionista? — zapytał Kajetan.

— Bogusławski.

— Ach!..

— Znałeś go może?

— Nie, ale to bardzo dzielny oficer. To nazwisko powtarzało się kilkakrotnie w biuletynach Kościuszki, które mam w domu i które ci pokażę. Nie wiem, czy to będzie ten sam, bo takie nazwisko nosi u nas wiele osób, ale pamiętam je dobrze.

Marek nie odpowiedział, gdyż byli już blisko leśniczówki. Począł teraz myśleć o chorobie Plichty. Mimo obaw pani Cywińskiej i mimo, że sam wyprawił księdza z Leźnicy, nie przypuszczał, żeby choroba starego żołnierza miała się źle skończyć.

W siedemnastym roku życia pojęcie o śmierci jest czymś jakby nierzeczywistym, nieokreślonym i niedopuszczalnym. Wie się, że ona gdzieś tam po świecie ludzi zabiera, ale się nie wierzy, by miała przykryć swym całunem nas samych, albo nam bliskich. Marek spodziewał się nawet, że może stan chorego przesilił się już i że zastaną go zdrowszym. Przypomniawszy sobie, że i Cywiński nie tracił ani na chwilę nadziei i że zapewnił go, że ich wyprawa nie ulegnie zwłoce.

Był jednak co do wyprawy innego zdania, więc gdy wjechali w opłotki i z dala widać już było oświetlone okna dworku, rzekł, idąc za biegiem własnych myśli:

— Stanisław, jako narzeczony panny Anny, nie będzie jednak mógł wyruszyć, póki kapitan Plichta nie wstanie z łóżka.

— A ty zapewne zaczekasz na Cywińskiego? Tym lepiej.

— Ja chciałbym jak najprędzej. Cywiński jest wprawdzie bardzo zaradny, ale beze mnie będzie mu trudno. Francuszczyzny liźnął trochę, jeszcze od księdza Lagrange'a, natomiast po niemiecku nie umie ani słowa, a to przecie podróż przez kraje niemieckie.

— Gdzie nieraz trzeba będzie się tłómaczyć, dokąd i po co jedziecie. Przy tym i tobie byłoby z Cywińskim różniej.

Jechali teraz noga za nogą po rozbloconej, ciężkiej drodze. Z prawej strony widać było zabudowania folwarczne, a bliżej studnię z żórawiem, przy której parobczak poił przybrane już w chomąta konie. Marek poznał człowieka Cywińskiego i, przechyliwszy się, zapytał:

— A kto to odjeżdża? starsza pani, czy młody pan?

— Młody pan, do Łęczycy po trumnę — odpowiedział furman.

Marek i Kajetan spojrzeli na siebie ze zdumieniem i przestraszeniem.

Po chwili wyskoczyli obaj z bryczki przed ganek. Na ganku stało ze strapiionymi twarzami kilku borowych, organista z Leźnicy i babka kościelna. Jeden z leśników, widocznie

dawny żołnierz, o białych długich wąsach, wyprostował się i potwierdził wiadomość:

— Pan kapitan Plichta umarł.

Weszli do sieni, a następnie do pokoju. Tam ujrzeni Anusię, opartą czołem o ścianę, szlochającą tak, że cała jej postać dygotała jak w febrze. Tuż za dziewczyną stał Cywiński, który, przechylając się to na prawo, to na lewo, powtarzał błagalnym głosem:

— Panno Anno, na rany boskie! panno Anno!..

Młodzi ludzie weszli do przyległego alkierza. Tam, na łóżku, pod kołdrą jeszcze, z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękoma leżał Plichta. Na powiekach położono mu dwa miedziaki, a szczękę podwiązano chustką, by nie pozostał z otwartymi ustami. W głowach łóżka paliła się gromnica, rzucając żółte blaski na czoło zmarłego, na obraz Matki Boskiej, na dwie oficerskie szpady i na dwie ryciny, przedstawiające Kościuszkę w sukmanie i Ksawerego Działyńskiego z czaplím piórem u czapki. Duże, krągłe miedziaki, przyciskające powieki, wygiędały jak oczodoły w trupiej czaszce. Brwi nieboszczyka były zmarszczone, twarz jakby stroskana, a zaciśnięte, z powodu podwiązania chustką, usta dawały mu wyraz pewnej zawziętości. Bliźna na policzku stała się już błękitna.

Przy łóżku klęczała ze spłakaną twarzą pani Cywińska. Kajetan i Marek nie należeli do ludzi głęboko wierzących jednakże uklękli obaj i poczuli szeptać: »wieczny odpoczynek«. Po chwili wstali i wyszli, a z nimi razem i pani Cywińska. W pierwszym pokoju Anusia wciąż stała z czołem opartym o ścianę, a Stanisław za nią. Lecz matka odsunęła go i, objawszy łkającą dziewczynę, przycisnęła ją do piersi rzekła: »Idź, kochanie, do ojca«. Po czym odprowadziła sierotę do drzwi alkierza. Cywiński poszedł, by modlić się z nią razem.

— Nie spodziewaliśmy się nie zastać już kapitana przy życiu — ozwał się Marek.

A pani Cywińska z taką samą skwapliwością, z jaką

przedtem wypowiadała swe obawy, poczęła teraz mówić po cichu i z wielkim pośpiechem:

— Spowiadał się i komunikował tak, że nie daj Boże gorzej nikomu z nas. Ale w godzinę później widać było, że już nie ma nadziei. Pottrzymał Anusię za skronie, powtórzył dwa razy: »moje dziecko«, a potem począł patrzeć w jedno miejsce na ścianie, jakby tam kogo widział. Chwilami tracił przytomność, chwilami odzyskiwał. Przypomniawszy sobie Racławice i wołał na mego Stacha, żeby prowadził chłopów z kosami. Pytał się kilka razy, gdzie naczelnik... I widocznie stanęły mu w końcu w oczach Maciejowice, bo nie schodził z radością z tego świata. Przeszkadzała mu już czkawka, ale słyszeliśmy jeszcze, jak powiedział: »Nieprawda! nie mówił: *finis!*« Oczywiście, że mówił o Kościuszcze. Anusia spostrzegła pierwsza, że już rozpoczęło się konanie, i uklękła przy łóżku, a ja zapaliłam gromnicę. W chwilę potem skończył.

— Co się stanie z panną Anną? — zapytał Marek.

— Anusię zabierzemy do nas, do Rudni — odpowiedziała pani Cywińska. — Męża mego nie ma: pojechał z ratą dzierzawą. Gdyby nie to, jużby tu był.. Ale Anusię zabiorę dziś jeszcze. Przy nieboszczyku zostanie służba miejscowa, organista i babka kościelna. Razem go ubiorą. Jeśli Stach znajdzie, to jutro nieboszczyk będzie już w trumnie. Trumna, to już wiadomo, że śmierć, ale póki ciało w łóżku, to wtedy najokropniej patrzeć. Trzeba będzie Stacha teraz wywołać, żeby jechał, a sama pójdę do tego kochanego biedactwa.

To rzekłszy, wywołała syna po czym sama weszła do alkierza. W kwadrans później Cywiński ruszył do Łęczycy, a Kajetan z Markiem na powrót do Różyca.

Przez jakiś czas nie mówili do siebie nic, obaj pod wrażeniem tej śmierci i tej troski, przywarłej do twarzy zmarłego. Dopiero, gdy z mroku leśnego wyjechali na czyste, obszerne pole. Kajetan począł mówić:

— Szkoda człowieka. Umarł dzielny żołnierz i prawy Polak, a takich teraz coraz mniej.

— I przyszło to tak niespodzianie. Byłem prawie pewny,

że się ta choroba przemoże. Ach, co to jest życie człowieka, jego zamiary, jego nadzieje! Pamiętam, jak kiedyś mówił mnie i Cywińskiemu: »Ciężko mi będzie umierać pod tą zmorą pruską, ale może Bóg da, że jeszcze dożyję zmiany...«

— I umarł pod zmorą pruską. Nam wszystkim siedzą teraz na piersiach zmory. Czyż zauważył, co mówiła pani Cywińska o ostatnich słowach nieboszczyka?

— Tak. Myślał o kraju i przeczył tym nędznym gadaniom, jakoby Kościuszek miał powiedzieć: *finis Poloniae*.

Kajetan podniósł swe krótkowzroczne oczy ku księżycowi, który zalewał pola białym światłem i srebrzył się na śniegach, leżących jeszcze tu i owdzie w bródach polnych.

— *Finis Poloniae, finis Poloniae!* — powtórzył. — Jest coś niepojętego w tych wyrazach. Przed kilku jeszcze laty był rozległy kraj, który zwał się: Polska, był król, senat, sejm, wojsko, szlachta, lud, miasta, wsie, miliony ludzi, wielkie polskie życie... A teraz wszystko znikło i zamiast tego są tylko Prusy, Rosja i Austria. Sterczą tylko jakieś nowe słupy graniczne — i więcej nic! Ja wprost nie mogę ogarnąć imaginacją, nie mogę zrozumieć, że się to stało, a jednak stało się. I nie mogło być inaczej, skoro pod Maciejowicami, gdy ginęło ogromne państwo, biło się nie sto, nie dwieście, ale sześć tysięcy ludzi. A dziś? — widzisz te pola, te lasy, te łągi, tę całą okolicę? — to wszystko już nie Polska! Widzisz ten księżyc? — i on nie świeci już nad polską, ale nad pruską ziemią. I to wszystko prawda! Ogień który rozniecił Kościuszek, zgasł. Zostały tylko zgłiszczca. Pod Maciejowicami rozległ się ostatni krzyk, na Pradze ostatni jęk, a teraz cisza. Czasem zdaje mi się, że to zły sen, albo że ja tracę zmysły.

Tu Kajetan, zwykle spokojny i zimny, zdarł prawą ręką z lewej rękawiczkę i rzucił ją na ziemię, po czym, sam nie wiedząc co robi, ściągnął drżącymi palcami z nosa okulary i jął mrugać rozpaczliwie a bezradnie!

A Marek objął mu ramionami szyję:

— Ach, jak ja cię dotychczas nie znałem!

Umilkli i przez czas jakiś słychać było tylko cmokanie błota pod kopytami koni.

— Bo — ozwał się znów Kajetan — choćby Kościuszko był zawołał pod Maciejowicami: *finis Poloniae*, toby jeszcze można zrozumieć, jako chwilową rozpacz. Ale co, mój drogi, jest okropne, co jest przerażające, to to, że te same słowa powtarzają sobie dziś po cichu ludzie w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie i w Wilnie, że uwierzyli, iż tak być musi, że zżyli się z tą myślą, że inaczej myśleć nie są zdolni i że niczego już nawet nie pragną... Intrat, folwarków, spokoju, ciszy, zapomnienia, snu, niczego więcej! Sam słyszałem takie słowa: »To trudno! ciężko nam było przeżyć Polskę, ale skoro już jej nie ma, to musimy tak postępować, by nam był jak najlepiej«. I akomodują się we wszystkich zaborach, i składają homagia, i bratają się z zaborcami, orzą, sieją, pożyczają pieniędzy, urzędują, żenią się, płodzą dzieci, bawią się i śmieją, albo, jeśli im nie dość wesoło w kraju, a mają trochę grosza, to jadą do wód zagranicznych. Ot, w czym jest *finis Poloniae*. Życie się toczy, a Polski nie ma. Kto dziś naprawdę chce jej rezurekcji? Powiesz mi, że są i były próby, że są jakieś tajne towarzystwa, że dążą do wolności łoże wolnomularskie. Ale ja ci odpowiem, że te próby są niedołączne, że w łożach więcej jest Niemców, niż Polaków, a tych ludzi, którzy należą do tajnych towarzystw, możnaby na palcach policzyć. Polski powinny chcieć miliony, a miliony śpią. Jest cisza i hańba. Przeżyliśmy Polskę, ale po wiek wieków nie przeżyjemy hańby, bo zginęliśmy i ginimy bez honoru!...

Przy ostatnich słowach Kajetana gruby obłok przesłonił tarczę księżycową i uczyniło się ciemno. Posępny, beznadziejny mrok ogarnął zarazem i duszę obu młodych ludzi. Ale trwało to tylko chwilę. Wkrótce wiatr przepędził chmurę i równia polna oblała się znów srebrnym światłem, a jednocześnie Marek zwrócił rozjaśnione oczy na brata.

— Kajetanie — rzekł — we Włoszech są legiony polskie.

I począł mówić z wielkim uniesieniem, że one ratują honor narodu, że są protestem wobec świata przeciw rozdarciu kraju, że, walcząc za wolność ludów, walczą zarazem za wolność Polski i że w nie wcieliła się dusza narodu, który chce żyć i żyć będzie.

IV.

Pogrzeb kapitana Plichty odbył się w Leźnicy Wielkiej. Zjechali się dość licznie księża i sąsiedzi, by uczcić starego żołnierza. Razem z Anusią przybyli starsi państwo Cywińscy i syn ich, Stanisław. Stawili się także opiekunowie Marka, Ważeński i Rostkowski, ludzie uczciwi i dobrzy patrioci, ale okrutnie zacofani, którzy dotychczas nie mogli zrozumieć, dlaczego króla pruskiego nie pozwano zaraz po sejmie grodzieńskim przed trybunał piotrkowski za bezprawny zabór ziem polskich. Utrzymywali, że choćby to nie zapobiegło przemocy, byłaby na przyszłość podstawa prawna. Był Łuczyński, gubernier od Gołczów, który miał stosunki z łożami masonskimi. Z Różyca przybyli Marek i Kajetan, oraz stary szambelan, który przez udział w pogrzebie oficera kościuszkowskiego chciał odzyskać trochę popularności w sąsiedztwie, a zarazem spędzić po skończonej ceremonii resztę dnia we dworze leźnickim. Była to jednak z jego strony duża ofiara, albowiem nie cierpiał pogrzebów. Za młodych lat miał dwa pojedynki o kobiety i nie uchodził za tchórza, ale nic nie napełniało go takim wstrętem, jak widok świeżo odwalonej na cmentarzu kupy żółtego piasku, i nic takim strachem, jak śpiewy pogrzebowe.

To też w czasie *requiem aeternam* nie patrzył wcale na trumnę, tylko na pannę Klarybellę i kilkakrotnie podnosił do wyróżzowanych nozdrzy flakon z solami. Panna Klarybella chwyciła za serce nawet Kajetana, gdyż zaraz po przysypa-

niu mogiły zbliżyła się z oczyma pełnymi łez do Anusi i, uściskawszy ją serdecznie, zaprosiła ją wraz z panią Cywińską do starościny Sokołowskiej. Pani Cywińska, ku wielkiemu oburzeniu i skrytej radości szambelana, odmówiła jednak, grzecznie, ale stanowczo, albowiem od śmierci kapitana uważała Anusię jakby za swą wyłączną własność i była przekonana, że prócz niej samej nikt nie ma prawa zajmować się nią, ani nawet jej pocieszać. Chciała też pomówić bez zwłoki z mężem o Anusi i Stanisławie, co do których miała gotowy plan, ułożony z wielkim wysiłkiem myśli w ciągu trzech dni, dzielących śmierć od pogrzebu. Plan ten, który miał uszczęśliwić oboje młodych, a zarazem zapewnić spokój do końca życia jej samej i mężowi, wydawał się zacnej niewieście ostatnim wyrazem macierzyńskiej polityki.

To też zaraz po powrocie z pogrzebu i po posiłku zabrała męża do jego własnej kancelarii, i zasiadłszy z robotą po drugiej stronie stołu, założonego rejestrami, poczęła w milczeniu nizać włóczkowe oczka. Cywiński domyślił się, że przysłała na dłuższą rozmowę więc nabił fajkę, zapalił i czekał.

Był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, pleczysty, silny, ale z uciętą lewą ręką i bardzo blady. Ta b'adość miała swoją historię. W czasie rzezi Pragi, gdy otoczyło Cywińskiego rozjuszzone żołdactwo, konny oficer rosyjski, chcąc go widocznie ratować, krzyknął: »Chwyć za strzemię« — ale Cywiński nie chciał tego uczynić i padł skłuty bagnietami. Odratowany cudem, stracił wówczas tyle krwi, że od tej pory twarz miał jak z białego marmuru. Ale zdrowie wróciło mu, a wraz ze zdrowiem żywość i energia. Siedział na małej dzierzawie w Rudni i pracą wydobywał z niej tyle, że rodzina nie marła z głodu.

Lubił wzniesąć obawę, choć w gruncie rzeczy posiadał niesłychanie poczciwe serce, o czym wiedzieli nie tylko żona i syn, ale i czeladź w Rudni. Gdy był wzruszony, lub gdy zaskoczyło go coś niespodzianie, miał zwyczaj ściągać jakby do gwizdania usta i marszczyć brwi, co bladej twarzy jego

nadawało wyraz zdumiony i groźny, zwłaszcza, że wytrzeszczał przy tym oczy. Nad górną wargą niewielkie, siwiejące już wąsy, spod których wyglądały dwa nieco przydługie, tak jak u syna, zęby, ale zdrowe i mocne. Mówił mało, wyrażał się krótko i węzłowato. W okolicy nazywano go »jakobinem«, albowiem od czasu jak pod Raclawicami obaczył chłopów, idących z kosami na armaty, głosił, że poddaństwo powinno być zniesione, wielu zaś okolicznej szlachty uważało, że byłaby to »obrazą boską i ludzką«. Miał jednak ów »jakobin« przyśłowia: »sto batów« i, zwłaszcza przy gospodarstwie, szafował tymi batami bez miary, na szczęście, jak mówiła czeladź: »jeno w gębie«.

Obecnie siedział za stołem i pykał, spoglądając na żonę, a gdy mu się wydało, że jejmość milczy zbyt długo, zapytał z pewną niecierpliwością:

— Co Kundzia mówi?

— Chciałam z tobą pomówić o Anusi — odpowiedziała pani Cywińska. — Bo jeśli kapitan zostawił jakiś testament, to niezawodnie ciebie mianował opiekunem. Więc myślałam, że najlepiej będzie zaraz zabrać do nas Anusię.

— Słusznie. Plichta był mi przyjacielem. Nie przewala się u nas złoto, ale kawałek chleba dla sieroty się znajdzie.

— Tylko, że to nie chodzi o czasową gościnę...

— Rozumie się.

— Jeśli tak mówisz, to rzecz skończona. Ale trzeba też spojrzeć na sprawę i ze strony Anusi. Boję się, że się będzie czuła na łasce, albo ciężarem dla nas.

— Jaki tam ciężar!

— Prawda, ale za każdą sukienką, jaką jej sprawimy, ona może coś podobnego pomyśleć.

— To będzie głupia.

— Pewnie, że tak. Trzeba wszelako i na to coś poradzić

— Co Kundzia ma na myśli?

— Gdyby tak nasz Stach... Bo oni się przecie kochają i myśmy dobrze wiedzieli, jak to się musi skończyć... Otóż... gdyby to przyspieszyć wcale z tym nie zwlekać...

Pan Cywiński wyjął z ust cybuch, usta złożył do gwizdania, zmarszczył brwi, spojrzął groźnie na fajkę i zapytał:

— He?

A pani Cywińska, wiedząc, jak małżonek lubi, by okazywano przed nim strach, powtórzyła nieśmiało:

— Gdyby nie zwlekać ze ślubem?

— Sto!... A legiony?..

— Niechby się ożenił, a potem ruszył. Jeśli Anusia zostanie przy nas, jako synowa, to będzie całkiem co innego... A choćby też i Stach posiedział w domu trochę dłużej!... On nasz jednak, legiony nie uciekną, a jak raz wyruszy z domu, to możemy go więcej nie zobaczyć..

— Polakowi tam teraz służba.

— A toż ja się nie przeciwię, tylko mi dziecka żal...

Cywiński, widząc, że oczy jej zachodzą łzami, spojrzal jeszcze groźniej na fajkę i począł chodzić po kancelarii.

Nagle przyszło mu coś widocznie do głowy, albowiem stanął przed żoną i rzekł:

— Kundzia tumani z tym ożenkiem...

— Ja? tumanię? dlaczego?

— Bo Kundzia myśli, że jak się Stach ożeni, to wcale nie pójdzie.

Pani Cywińska pochyliła głowę ku swojej włóczkowej robocie i zamilkła.

— Prawda — rzekła po chwili. — Z tobą trzeba mówić szczerze, bo ciebie nikt nie otumani. Oddałabym resztę życia, byle Stach nas nie opuszczał i jeśli Anusia potrafi go zatrzymać, to będę ją błogosławiła do śmierci.

— A on będzie od psa oczu pożyczał, co?

— Mój Telesforze, ja jestem też Polka i rozumiem, co człowiek powinien ojczyźnie. Pamiętasz, kiedyście szli na wojnę Kościuszkowską? Stach miał piętnaście lat. Co się ze mną działo, tego nie potrafię nawet wypowiedzieć. A czym mu broniała? Czym się spierała z tobą? Czym spazmowała? Nie! mówiłam sobie: on jednak, ja matka, ale i Polka. Ilem lez w skrytości wylała, Bóg jeden wie, alem Stachowi nie

broniała... Bo chodziło o ojczyznę i wojna była w kraju. Wszelako, co innego ojczyzna, a co innego Włochy. Gdyby mi tu był chłopak poległ, to przynajmniej wiedziałabym, że leży we własnej ziemi, mogłabym odnaleźć jego mogiłę choćby leżał we wspólnej, i modlić się na niej za jego duszę. Ale tam, broń Panie Boże czego, to i słuch o dziecku zaginie. Okropność pomyśleć, że pochowają Bóg wie gdzie, w niepoświęcanej ziemi, bo te niedowiarki Francuzy wcale o takie rzeczy nie dbają. Prawda! Ja mam szczerą nadzieję, że jak się ożeni, to od Anusi nie ucieknie, ale co w tym złego? Albo te legiony coś wywołują i przyjdą tu do Polski, albo nie. Jeśli przyjdą, niech się Stach zaciągnie, słowa nie powiem. Ale po co on ma zaraz tam lecieć i bić się za Włochów, czy za Francuzów? Sam powiedz, jako ojciec i jako obywatel.

— Oni się tam po to biją, żeby tu wrócić.

— Więc jak wrócą pójdziecie obaj, ale nie teraz.

Pan Cywiński począł przekładać mechanicznie rejestry, a chwilami spoglądać w okno. Nie byłby za nic w świecie odmawiał syna od udziału w walce za kraj, ale gdyby Stanisław został z własnej woli, nie chcąc opuszczać młodej żony, nie brałby mu tego bardzo za złe, nawet jako obywatel. Wydało mu się, że w tym, co mówi matka, jest dużo słuszności, — i ze względu na Anusię, której położenie byłoby inne, gdyby została u nich jako synowa — i ze względu na legiony. »Nasi emigranci — myślał — są wszędzie, i w Wołoszczyźnie, i w Konstantynopolu, i w Wenecji, i w Paryżu: oni to przed wszystkim powinni iść do legionów, a dezertery austriaccy dopełnią liczby«. Uderzyła go trafność żoninej uwagi, że jeśli legiony wrócą do kraju, to wówczas będzie wszelki czas zaciągnąć się do nich, a jeśli nie mają wrócić, to iść do Włoch nie ma wielkiego obowiązku, ani wielkiego sensu. Żal mu było przy tym syna, którego całym sercem kochał. Żołnierz, ale zarazem i domator, nigdy ani na krok nie wychylił się za granice kraju, więc i dla niego zgoła co innego było polec w Polsce i być przysypanym polską

ziemią, a co innego zaprzepaścić się gdzieś za górami i za morzami.

Na myśl, że to Stanisława może spotkać, brał go strach. W głębi duszy, był także pewien, że ów, ożeniwszy się zostanie co najmniej rok przy młodej żonie. W ciągu roku mogło się dużo rzeczy wydarzyć, mógł nawet i Dąbrowski znaleźć się w kraju.

Więc pan Cywiński złożył znów usta jak do gwizdania, a potem rzekł:

— Kundzia jest chytra jak liszka, ale ja Stachowi dałem pozwolenie i słowa nie cofnę, Anusia w żałobie, a już o tym, żeby on chciał czekać, aż jej się żałoba skończy, nie ma gadania.

— Anusi wyperswaduję, że to są okoliczności wyjątkowe, a Stachowi, niech Bóg broni mówić, że musi zostać. Powie mu się tylko, że przed wyjazdem powinien się ożenić, a co potem nastąpi, to już Anusina rzecz.

— A same zapowiedzi? a ślub? mało na to miesiąca.

— Od zapowiedzi można wziąć dyspensę. Przed samym pogrzebem dowiedziałem się, że Kwiatkowscy wybierają się do Warszawy. Mógłby Stach jechać z nimi i o dyspensę się postarać. Ja wiem, że ty nie chcesz znać starego szambelana, ale Marek to przecie przyjaciel Stacha, a Kajetan też dobry człowiek. Powiadał Marek, że — (jako to zwykle ludzie uczeni pisują do siebie) — tak i Kajetan pisał kilka razy do biskupa Krasickiego i miewał od niego odpowiedzi. Mógłby pomóc teraz Stachowi, i pewnie z chęcią to uczyni. Dyspensa to nie trudna rzecz. Możliwy ją i bliżej dostać, ale co wielki ołtarz to nie boczne.

— Z groszem trudno. Ja dopierom zapłacił ratę dzierżawną, a Stanisław wyda w Warszawie to, co mu stryj przysłał, i nie będzie miał za co jechać do Włoch.

A pani Cywińska, upuściwszy na kolana szydełkową robotę, złożyła ręce i poczęła powtarzać z nieukrywaną radością:

— Otóż to! otóż to! W Bogu nadzieja.

V.

Kwiatkowscy wybierali się rzeczywiście do Warszawy; stary szambelan również do »wielkiego ołtarza« po dyspensę — i po sprawunki; Kajetan dla towarzystwa Marka, a Marek po paszport za granicę do Fawratha. Panna Klarybella oświadczyła wprawdzie, że wolałaby, żeby sprawy ślubne odbyły się zwykłym trybem, ale szambelan chciał mieć na wszelki wypadek dyspensę gotową, a przy tym poczuwał się do obowiązku złożenia wizyt w kilku domach, spokrewnionych z Wyrozębskimi. Cywiński przyjechał do Marka zaraz na drugi dzień po rozmowie z rodzicami, rozradowany i szczęśliwy. W głowie mu nawet nie powstało, żeby mogło chodzić o co innego, jak o to, by Anusia mogła pozostać w domu jego rodziców, nie jako przytulona sierota, ale jako synowa. Pytał wprawdzie Marka, czy zaczeka na niego z tydzień, albo z dziesięć dni, ale zaręczał, że dłużej po ślubie nie zmarudzi. Marek, w prostocie ducha, nie wątpił wcale o szczeroci słów przyjaciela, ale innego zdania był Kajetan, który przy Cywińskim wzruszał tylko ramionami, ale zaraz po jego wyjeździe począł, jako uczony sceptyk, cytować wiersz Wirgiliusza:

» ...*Non illum nostri possunt mutari labores,
Nec si frigoribus mediis Hebrumque bibamus
Sithoniasque nives hiemis subeamus aquosae,
Omnia vincit amor et nos cedamus amori*«.

Po czym rzekł:

— Byłbyś naiwny, gdybyś liczył, że Cywiński pojedzie z tobą dalej, jak do Warszawy. Jeśli arcybiskup Krasicki bawi w Łowiczu, to on nie dojedzie nawet do Warszawy. Owszem, postaraj się, by ci w paszporcie umieszczono i słuzącego, gdyż nie wątpię, że znajdzie się jaki oficer kościuszkowski, który zechce się z tobą zabrać, ale stawiam w zakład wszystkie moje książki, a razem z nimi i okulary, że twój przysły towarzysz nie będzie się nazywał Cywiński.

Marka zaś uderzyła poetyczna strona sprawy.

— Ach, jakaż to prawda! — rzekł — że okrutne fatum każe człowiekowi wciąż walczyć z własnym sercem. Tu oto, ledwie poślubiona dziewica, tam ojczyzna. Co za temat do czulej tragedii i czemuż nie mamy poety, któryby umiał ją rzewnym wierszem napisać.

Było mu trochę żal, że to nie on sam znajduje się w podobnym położeniu, albowiem Cywiński wydawał mu się, jak na tę rolę, za mało posępny i nazbyt pełen prostoty. W braku bardziej poetycznego bohatera, postanowił i do niczego go nie namawiać, aby nie osłabiać jego walki wewnętrznej. Postanowił również wcale na niego nie czekać i, po otrzymaniu paszportu od pruskiego wielkorządcy, wyruszyć natychmiast po ślubie Stanisława przez Wiedeń i Wenecję do Włoch.

W kilka dni później ruszyli do Warszawy: stary szambelan z Kajetanem, a Marek z Cywińskim. W owych czasach podróżowano zwykle wolno, albowiem w każdym szlacheckim, nawet nieznanym dworze można było znaleźć gościnne przyjęcie i mniej więcej wygodny nocleg. Ale, pomimo że szambelana mocno utrudzała dłuższa podróż, nie zajeżdżał jednak do dworów, gdyż właśnie nie był pewien, w jaki sposób zostanie przyjęty. Ludzie w tej epoce przeżyli wprawdzie upadek kraju i aż nazbyt wielu pogodziło się z losem, lecz z nienawiścią patrzyli na tych, którzy wprost lub ubocznie przyczynili się do tego upadku. Nienawidzono szczególnie Targowiczan i tych, którzy zachowywali się nie-

przyjaźnie względem Kościuszkowskiego powstania. Nawet ludzie, którzy sami nie brali w nim udziału, okazywali pogardę jawnym przeciwnikom narodowej wojny. Szambelan August był zbyt małą figurą, by udział jego w Targowicy, jak również jego stanowisko podczas ostatniej wojny, były powszechnie znane, rozumiał jednakże, że, gdyby trafił na ludzi, którzy o nim zasłyszeli, mógłby się narazić na wyproszenie za drzwi, lub nawet na pojedynek, w którym krótkowzroczny Kajetan nie byłby w stanie go zastąpić. Nie przyznawał się wprawdzie do tych obaw przed synem, ani przed Markiem, zapowiadał nawet, że wstąpi do pana obożnego koronnego, którego w dawnych czasach widywał, ale nie wstąpił — i pod pozorem, że mu pilno jechać, a jeszcze pilniej wracać, zatrzymywał się tylko na krótkie popasy po zajazdach i śpieszył, ile mu sił starczyło, do Warszawy.

Ks. Ignacy Krasicki, dawny książę biskup warmiński a obecnie arcybiskup gnieźnieński, jakkolwiek z racji swego urzędu przebywał często w Gnieźnie, jednakże rad zaglądał do dawnej stolicy, co przychodziło tym łatwiej, że całymi miesiącami przesiadywał w Skierniewicach. Kwiatkowsy wstąpili nawet do Skierniewic, ale tam kanonik Mowiński oświadczył im, że arcybiskup wyjechał właśnie do Warszawy.

Kajetan widział przed dziewięć laty Krasickiego, ale był wówczas młodzikiem, więc nie śmiał się do niego zbliżyć. Natomiast obaj z Markiem czytali, częścią w »Monitorze«, częścią w wydaniach Grella, niemal wszystko, co wyszło spod pióra biskupa prozą, i umieli na pamięć mnóstwo jego wierszy. Obu też biło serce na myśl, że staną przed obliczem wielkiego człowieka, którego podziwiała nie tylko cała Polska, ale i zagranica, a którego dowcip zachwycał wykwitnego Stanisława Augusta i przypierał do muru starego szydercę, straszego Fryderyka II. Szambelan August liczył na dobre przyjęcie z tej przyczyny, że jeszcze w Skierniewicach ksiądz Mowiński powiedział mu, że książę prymas rad widzi ludzi, którzy przypominają mu dawniejsze lata, i że wogóle rad widzi gości.

Była to prawda. Arcybiskup, przywykły do gwarne go życia za czasów, w których dwór jaśniał jak słońce nad Warszawą, i w których rezydowało w niej wiele świetnych domów, bolał obecnie nad jej opuszczeniem i chętnie przyjmował wszystkich, którzy z jakiegokolwiek powodu odwiedzali stolicę. Mieszkał nawet w tym samym domu Wasilewskiego, na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ongi wydawał owe słynne wieczory literackie, na których bywał sam król, a wraz z królem ci z jego otoczenia, którzy błyszczeli nauką, talentem, lub dowcipem. Obecnie, nie wydawał już takich epikurejskich uczt, bo nie było na nie kogo prosić, drzwi jednak dla wszystkich dawnych znajomych, którzy przelotnie bawili w Warszawie, trzymał otwarte. To też stary szambelan, dowiedziawszy się o godzinach przyjęcia, postanowił pójść, nie jako interesant, ale jako znajomy z dawnych czasów, i, bez żadnej ceremonii, zabrał z sobą Kajetana, Marka, a nawet i Cywińskiego.

By wszelako mieć czas pogadać i o sprawach, które ich sprowadziły, przyszli wcześniej, więc z gości zastali tylko synowicę arcybiskupa, Annę, którą ów przezywał żartobliwie Marcybellą, a z nią razem starego jenerała Byszewskiego i niejakiego pana Chadzkiewicza.

Markowi, który pierwszy raz w życiu widział Krasickiego, wydał się on najdoskonalszym tworem ludzkim, jaki można na świecie zobaczyć; podziwiał więc z całej duszy jego klasycznie piękne rysy, jego rozumne oczy i jego arystokratyczną twarz, która, delikatna i blada sama przez się, wydawała się przy purpurze i koronkach jeszcze delikatniejsza i bledsza. Kajetan zauważył, że biskup w ciągu owych dziewięciu lat posunął się jednak znacznie. Cerę miał przezroczyłą, jak wosk kościelny, ręce białe jak opłatek i trochę już drżące, w ustach wyraz gorzkiej rezygnacji człowieka, który wiele widział i przeżył, a niczego się już nie spodziewał. Pamiętał widocznie, że nie tylko minęły jego czasy, ale minęła także i ojczyzna.

Starego szambelana Augusta spotkał na samym wstępie pewien zawód, albowiem, jakkolwiek książę przyjął go wraz z towarzyszami uprzejmie, jednak nie mógł go sobie odrazu przypomnieć. Przyczyna tego była prosta. Król Stanisław August mianował tuzinami szambelanów i mnóstwo ich kręciło się po zamku. Kwiatkowski, pochodząc ze starej ale miernej rodziny szlacheckiej, nie nosił takiego nazwiska, które mogło zostać w pamięci. Był wprawdzie w młodości, a nawet w wieku dojrzałym, nadzwyczaj urodziwy, ale ówczesny książę biskup warmiński wolał patrzeć na urodziwe damy, niż na urodziwych szambelanów. Co do zapożyczonych od Larochefoucauld'a i Champfort'a aforyzmów, i te nie mogły wysunąć na czoło szambelana Augusta, albowiem na królewskim dworze było wówczas wielu takich ludzi, którzy, jak sam książę biskup, jak Naruszewicz, Trembecki, Węgierski, Zabłocki, błyszczeli, nie pożyczanym, lecz własnym dowcipem. Ponieważ szambelan trzymał się był przy tym głównie brata królewskiego, księcia podkomorzego, więc to wszystko sprawiło, że książę prymas przypomniał sobie Kwiatkowskich, naprzód z powodu Kajetana.

— Ja waćpana niegdyś widziałem — rzekł — ale nie wiem, czy jesteś tym samym Kajetanem Kwiatkowskim, który przesłał mi swoje przekłady Gessnera?

— Do usług Waszej Książęcej Mości — odpowiedział, mrugając oczyma i kłaniając się nisko, Kajetan.

— Tom rad odnowić znajomość. Na Parnas droga stroma i miejsca na szczycie skąpo: łatwo zlecieć i szyję złamać. Ale waćpanu to nie grozi, bo przewodnikiem ci nie byle jaki, choć dziwny poeta. Jeniuszem Gessnera zachwyca się teraz powszechność w całej Europie... Czytałem z rozkoszą »Pierwszego żeglarza« i »Noc« i »Wizerunek Potopu«. Rytmów waćpana nie zaparłby się sam Trembecki...

Kajetan zarumienił się z radości.

— Dość mi, jeśli nie wzgardził nimi nieśmiertelny Krasicki.

Na to biskup pokiwał głową:

— Blżej mi do śmierci, niż do sławy, ale bogdaj moje utwory mnie przeżyły...

Lecz stary szambelan, którego korciło, że prymas nie zaczął z nim najpierwej rozmowy, przypomniał sobie medal, wybity niegdyś z rozkazu króla na cześć Krasickiego, i zacytował napis z medalu:

— *Musa vetat mori.*

Po czym, rad z siebie, wydobył tabakierkę i zażył.

A biskup wyciągnął także ku tabakierce swe przezroczyście palce, wziął szczyptę i powtórzył kilkakrotnie:

— Król świecił wówczas jak słońce nad krajem, ale nie wrócą te czasy, nie wrócą, nie wrócą!...

Tak mówiąc, popatrzył chwilę na strojnego starca i nagle mnóstwo znanych niegdyś postaci wychyliło mu się z mgły lat ubiegłych, a z nimi razem i osoba szambelana Augusta.

— Ach! — ozwał się — wszakże to waćpana, mości szambelanie, nazywano u króla i u księcia podkomorzego »Papilio?«

— Tak. Jestem August Kwiatkowski.

— Rysy pamiętam, tylko... tylko, czy mi się zdaje, czy też ów »Papilio« inne miał imię chrzestne?...

— To, które noszę, przybrałem na cześć króla, a potem i ludzie o dawnym zapomnieli i ja tak do nowego przywykłem, że nawet nie piszę się inaczej.

— Nie zawsze bywa *nomen omen*, bo nasz Augustus stradał dawnych dostojności i chwały — rzekł z goryczą biskup.

Lecz po chwili otrząsnął się z dawnych wspomnień i zapytał weselej:

— No, a Augustus-Papilio! jakże się miewa i jakoż mu się powodzi?

— Nieszczególnie — odpowiedział z uśmiechem szambelan — bo niegdyś latał sobie bez troski z kwiatka na kwiatek, a teraz samego złapano za skrzydełka.

— Proszę? Cóż to za spóźniona przygoda?

Szambelan zmarszczył lekko brwi, ale, chcąc odrazu za-

łatwić sprawę dyspensy, począł opowiadać, jak zdrajca Kupido, ukryty w oczach panny Klarybelli Wyrożeńskiej, przeszył mu serce grotem, jak odrazu ogarnęły go lube żądze i jak postanowił bez żadnej dłuższej zwłoki zapalić pochodnię hymenu. Ksiądz Krasicki wysłuchał cierpliwie tyrady, a wreszcie, dowiedziawszy się o właściwym celu wizyty, rzekł:

— Dyspensa to mała rzecz, trudniej będzie o rozwód.

— Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek mógł zgłosić się do W. Ks. Mości z podobną prośbą — odparł sucho szambelan.

Oczy prymasa błysnęły dawnym złośliwym dowcipem.

— Nie przypuszczam i ja. Tylko, widzisz, mości szambelanie, Papilio pierwiej bywa poczwarką, potem motylem, a człek wprzód motylem, potem poczwarką.

— Dziękuję Waszej Książęcej Mości.

A ksiądz Krasicki spojrział na zmarszczki szambelana, pokryte grubo różem i bielidłem.

— Ech! — rzekł — waćpan wyglądasz jak róża, więc nie gniewaj się. Dyspensa będzie gotowa choćby na jutro...

Podczas tej rozmowy generał Arnold Byszewski jął przypatrywać się spod nasuniętej na czoło peruki Cywińskiemu, którego nazwisko usłyszał przy prezentacji po czym zapytał:

— Czym dobrze słyszał? Waćpana nazwisko Cywiński?

— Tak jest — odpowiedział Stanisław.

— To zapewne krewny nieboszczyka Puchały Cywińskiego, podczaszego poznańskiego?

Stanisław wybierał się wprawdzie do demokratycznych szeregów we Włoszech jednakże pytanie, czy nie jest krewnym znakomitego dygnitarza wojewódzkiego, mile polectało jego próżność, zwłaszcza, że zapytano go wobec Kwiatkowskich. Więc zarumienił się tak samo, jak poprzednio Kajetan, i odpowiedział:

— Ojciec wspominał o nim, jak o krewnym, ale ja nie widziałem go nigdy w życiu.

— To był prawdziwie wielki pan, na staropolską modę.

Ja go pamiętam dobrze, bo, jako młodzian, bawiłem jakiś czas na jego dworze.

— Miłe wspomnienia młodości! — wtrącił po francusku pan Chadzkiewicz. I w głosie jego czuć było jakby pobłażliwą ironię, albowiem Chadzkiewicz, jakkolwiek dość młody jeszcze człowiek, znał tysiące ludzi w Polsce, i tysiące ich tajemnic; wiedział więc doskonale, że Byszewski nie bawił, lecz służył niegdyś, jako kawalkator, na dworze pana Cywińskiego i uciekł z tej służby, ponieważ pan podczaszy, za zabicie ulubionego ogara, obiecał mu sto bizunów — czywiście, jako dobremu szlachcicowi, na kobiercu, ale okrągło. Wprawdzie udobruchał się potem, obdarzył Byszewskiego i polecił go, jako sławnego ujeżdżacza późniejszemu królowi. Bądź co bądź, jednak te wspomnienia nie mogły być miłe generałowi, który przez łaskę królewską wyszedł na dygnitarza, a przez bogaty ożenek w rodzinie Skórczewskich — na bogacza.

Był to jednak niezły człowiek, więc, wspomniawszy, że bizunów nie dostał, a ostatecznie wszystko zawdzięczał protekcji podczaszego, zwrócił się znów do Stanisława:

— Co waćpan porabiasz w Warszawie? Ja tu tylko przejazdem, bo wracam znów do naszego nieszczęsnego króla, który dogorywa w Petersburgu, wszelako, jeśli bym mógł być w czym pomocny, to proszę mnie nie żałować.

— Dziękuję panu generałowi — odpowiedział Cywiński — ale ja także przyjechałem z prośbą o dyspensę od zapowiedzi.

— Co znowu! — zawołał książę prymas — a to, widzę, wszystkie pary schodzą się do mnie jak do arki. Czemu to waćpanu tak pilno? Rozumiem szambelanowi, bo *periculum in mora*, ale ty, młodzieńcze, mógłbyś nie tylko na zapowiedzi, lecz i na ślub parę lat poczekać.

Szambelan spojrział niezyczliwie na biskupa, a Cywiński począł wyłuszczać żywo i śmiało swe powody. Mówił, że chodzi o to, by córka kościuszkowskiego żołnierza została u nich w domu, nie jako przygarnięta z łaski sierota, ale jako

synowa, co bez prędkiego ślubu byłoby niemożliwe, gdyż on wyjeżdża na długą, może na zawsze.

— Jaktó? — zapytał ze zdziwieniem biskup — waćpan się żenisz i wraz odjeżdżasz na długą, może na zawsze?

A na to Cywiński, sądząc, że tajemnica jest zbyt cenna, rzekł:

— Tak jest, J. O. Książę Prymasie, gdyż obaj z młodszym panem Kwiatkowskim idziemy do legionów we Włoszech.

— Ach! — zawołał pan Chadzkiewicz.

Nastąpiła chwila milczenia.

Twarz prymasa przyoblekła się nagłym smutkiem. Potarł ręką czoło, a następnie spojrzął na swych gości i zapytał zmienionym głosem:

— Czy który waćpanów słyszał o Bellerophonie?

Nikt nic nie słyszał, z wyjątkiem Kajetana, który odpowiedział:

— To bohater grecki, zabójca Chimery.

A biskup począł kiwać głową:

— Otóż nieprawda. Bellerofon widocznie nie zabił Chimery...

Nastąpiła znów chwila ciszy.

— Ach! — ciągnął dalej biskup — żyła ona zawsze, a teraz żyje w głowach Dąbrowskiego, Wybickiego i tych wszystkich, którzy chcą zaszczerpić Polskę na ziemi włoskiej.

— Ci chcą wrócić do Polski! — rzekł Chadzkiewicz.

— I wrócimy! — zawołał z zapalem Marek.

Panna Anna Krasicka począła spoglądać na chłopaka ze współczuciem, wyobrażając sobie mimowoli, że ta cudna twarz lepiejby wyglądała w jakim chórze anielskim, niż wśród szeregu twardych żołdaków republikańskich. Książę prymas zwrócił się także ku niemu z widocznym współczuciem.

— Nadzieja i starość — rzekł — nie trzymają się za ręce, więc mi brak w sercu nadziei, ale niech cię Bóg błogostawi i ustrzeże, moje dziecko.

Marek wstał i ucałował jego dłoń, a biskup zrobił mu krzyż nad głową.

— Dąbrowski, to mój brygadier, z czasów gdy do-
wodził dywizja wielkopolską — ozwał się stary generał
Byszewski. — Ceniłem go jako służbistę i jedyne, można
rzec, między Polakami uczonego oficera. Strategik z niego
przy tym pełny pomysłów. On to w dziewięćdziesiątym trze-
cim roku obmyślił plan, bym cofnął się do Warszawy, po-
łączył się z warszawską załogą i uderzył na Prusaków Mol-
lendorfa. Ha! gdyby Gorzeński nie był rozgłosił rzeczy przed
czasem i gdyby król przesłał mi stanowczy rozkaz, nie stałoby
się może to, co się stało. Ja byłem gotów, Bóg widzi! ale
bez rozkazu nie mogłem. Potem było zapóźno, bo Igelström
wzmocnił załogę moskiewską... Nie moja wina! nie moja!

Stary generał mówił takim głosem, jakby się usprawiedli-
wiał przed tymi, którzy go słuchali, albo przed własnym
sumieniem. Czuł jednak, że, gdyby nie jego wahanie się w
dziewięćdziesiątym trzecim i nie oglądanie się na rozkazy
zniedołężniałego Stanisława Augusta, Prusacy nie panowaliby
w tej chwili w Warszawie, a król nie umierałby może jako
wygnaniec w Petersburgu.

— Jeden też Dąbrowski nie stracił wówczas głowy —
ozwał się Chadzkiewicz — i wraz potem poddał Wodzickiemu
myśl, by nasze wojsko przebiło się do Francji. Ale najbardziej
odznaczył się za ostatniej insurekcji. On to, nikt inny, pobił
Prusaków pod Warszawą, a później wziął do niewoli całą
dywizję okrutnika Sekulego. Suworów straszyl nim Pru-
saków, których zresztą nie cierpiał. Pamiętam, jak przy mnie
powiedział pruskim generałom: »Wy sławne dyplomaty, bo
inni nie zawsze umieją korzystać z własnych zwycięstw, a
wy umiecie — z cudzych...«

— I to prawda — potwierdził Byszewski.

Lecz prymas, który był człowiek ostrożny, a przy tym
obsypyany łaskami dworu pruskiego, pomyślał, że rozmowa
przybiera jednak charakter zbyt drażliwy i rzekł:

— Generał Dąbrowski jest wojskowym niezwyklej zdol-
ności, ale trzeba przyznać, że Jegomość król Fryderyk Wil-
helm potrafił go ocenić i nie tylko przyjął go najlaskawiej,
lecz ofiarował mu wysoki stopień w armii.

— Którego Dąbrowski nie przyjął — dodał Chadzkiewicz.

— Nie przyjął, bo pociągnęła go gwiazda Buonapartego...
Ale kto wie, czy ta gwiazda nie jest kometą, która, jak
pojawiała się, tak i przejdzie... Nadzieje już poniekąd za-
wiodły, bo przecie pokój z Austrią został w Campo Formio
zawarty, i generał Dąbrowski nie grozi teraz żadnej z tych
potencji, które rozebrały Polskę ale Rzymowi.

Prymas Krasicki mniej może brał do serca sprawy
Państwa Kościelnego, niż inni biskupi polscy, ale, jako prze-
zorny dyplomata, uważał za stosowne wypowiedzieć to, co
wypowiedział.

Lecz Chadzkiewicz, mimo iż ruchem głowy zdawał się
potakiwać słowom biskupa, odrzekł:

— Ani Dyrektoriatowi, ani Buonapartemu nie chodzi o
zabór Państwa Kościelnego, tylko o to, by papież nie
wchodził w układy z wrogami Francji. A co do pokoju w
Campo Formio, świeżo odebrałem wiadomość i podaję to za
rzecz pewną, że jest to raczej czasowe zawieszenie broni,
niż stały pokój.

Kajetan i Marek spoglądali z pewnym zdziwieniem na
Chadzkiewicza. Nigdy o takiej osobistości ani o takim nazwi-
sku nie słyszeli, a jednak ów pan zachowywał się u księdza
prymasa z całą swobodą dworaka, przywykłego do wytwor-
nych towarzystw, odzywał się z pewną wielkopańską niedba-
łością do generała Byszewskiego, a o sprawach publicznych,
choćby najważniejszych, mówił, nie tylko tak, jakby o nich
wszystko wiedział, ale jakby brał w nich udział. Posiadał
przy tym jakąś niezmierną łatwość w obejściu się z ludźmi
i zarazem, jakby łaskawą poufalość. Staremu szambelanowi
niezbyt się podobał, albowiem był od niego o jakie trzy-
dzieści lat młodszy, prosty jak trzcina, wesoły i urodziwy
— jednakże i szambelan nie mógł się oprzeć podziwowi na

widok jego manier i wprost nie zdawał sobie sprawy, skąd ten człowiek umiał się tak poruszać, tak podnosić lornetkę do oczu i tak się ubierać. Marka i Cywińskiego ujęło i uradowało to, co Chadzkiewicz mówił o pokoju w Campo Formio. To też, gdy po skończonej wizycie u prymasa, zaproponował im, by poszli z nim razem, zgodzili się na to z wielką skwapliwością.

Wyszedszy, udali się ulicą Miodową, ku Długiej. Po drodze, pan Chadzkiewicz począł mówić do nich tak, jakby ich znał od całych lat:

— Prymas nie martwiłby się także, gdyby Dąbrowski tu kiedyś wrócił, poparty całą potęgą Francji i jeniuszem Buonapartego. To w gruncie rzeczy dobry patriota, ale politykuje z dworem pruskim, bo musi... Szkoda tylko, że to przyjaciół jego smuci, a nieprzyjaciół oburza. Są tacy, którzy go posądzają o obojętność, nie tylko dla ojczyzny, ale i dla wiary. Wpadł mi niegdyś w rękę taki wiersz:

»Biskup Warmiński, gładysz gładkich sentymentów,
nie lubi mieć wiarę trudów i zakrętów...«

Dalej zapomniałem, ale było tam coś takiego, że dla zbytku i rozkoszy wszystkiego gotów odstąpić. A to nie jest prawda, nie! Ale na teraz mniejsza z tym. Chciałem z waćpanami pogadać o ich wyprawie, albowiem wybieram się także do Włoch i mogę wam być pożyteczny. Dla was, to wcale niełatwa podróż. Prusy zawarły wprawdzie pokój w Bazylei z Rzeczpospolitą francuską, gdyż, dostawszy cięgi, nie mogły uczynić nic innego. Ale rząd pruski czuje upokorzenie, jakie go spotkało, nienawidzi Francji i boi się, by pryncypia, jakie Rzeczpospolita głosi, nie poczęły się szerzyć między jego własnymi poddanymi. W Austrii rozstrzeliwają lub wieszają Polaków, którzy chcą przedrzeć się do legionów. Tu Fawrath wydaje z trudnością paszporty, a młodym ludziom odmawia ich stanowczo. Tyrańskie rządy zawsze potrafią się z sobą porozumieć i pomagają sobie nawet wów-

czas, gdy się nienawidzą, lub wzajem sobą gardzą. Na szczęście jest i inna władza na świecie, z którą każdy tyran musi się liczyć.

— Chyba władza boska — ozwał się Cywiński.

— Tak.. władza wielkiego architekta, który zbudował świat i ma na nim swe sługi. Ale o tym później..

Tu Chadzkiewicz przerwał, albowiem, spotkawszy jakiegoś znajomego oficera, zatrzymał go i rozpoczął z nim po niemiecku rozmowę, która trwała blisko kwadrans. Cywiński i Marek zauważyli, że nowy ich towarzysz jest człowiekiem ogromnie znanym w Warszawie, albowiem witało go mnóstwo osób, a między nimi i kilku oficerów pruskich. Niektórzy salutowali go po wojskowemu, niektórzy inaczej, niż w zwykły sposób, a jednak tak, jak podwładni witają zwierzchnika. On zaś odpowiadał na ukłony przyjaźnie, ale jakby z pewną wyższością. Jednym rzucił mimochodem kilka słów, innym pozdrowiał, kiwając wzniesioną do góry dłońią, do wszystkich uśmiechał się poufale i wesoło.

Po skończonej rozmowie z oficerem złączył się znów z nimi i prowadził ich dalej. Zatrzymali się na koniec na Długiej, gdzie Chadzkiewicz zaprosił ich do siebie. Zajmował on w kamienicy Lelewela wspaniały apartament na pierwszym piętrze, pełen zwierciadeł, kryształowych pajaków, dywanów, wygodnych sof i stolików do gry w karty. W pierwszym pokoju przyjął ich młody człowiek, ubrany modnie, ale niesłychanie piegowaty, którego gospodarz przedstawił jako obywatela Gromadzkiego, swego sekretarza.

— Czy obywatel Nurski czeka na mnie? — zapytał.

— Nie ma go, ale zawiadomił, że zaraz przyjdzie — odpowiedział cudzoziemskim akcentem Gromadzki.

Weszli do gabinetu, w którym służący podał im niebawem fajki. Cywiński przypiął się chciwie do bursztynu, a i Marek nie odmówił, wydało mu się bowiem, że przysłemu legioniście wstyd byłoby się przyznać, że nie pali. Chadzkiewicz pociągnął także z cybucha, puścił kilka regularnych kótek, po czym, wracając do przerwanej rozmowy, rzekł:

— Chciałem właśnie waćpanom powiedzieć, że wkrótce jadę do Wenecji. Pokój w Campo Formio oddał ją, jakoście słyszeli, Austrii. Ale Austriacy nie usadowili się w niej jeszcze na dobre, i być może, że nie usadowią się stale. Moja podróż ~~ma~~ między innymi i ten cel, by to utrudnić. Zachowanie się Wenecji względem Francuzów było nędzne i kara, która ją spotkała, jest słuszna, ale nie możemy pozwolić na wzrost potęgi tak tyrańskiego państwa, jak Austria.

Zdziwienie młodzieńców wzrastało z każdą chwilą gdyż Chadzkiewicz mówił wprost tak, jakby w jego ręku spoczywała jakaś władza. Nie rozumieli też zgłą, jakim sposobem ten nieznanym im, okazały się jego może pozwałać, lub nie pozwałać, by Wenecja przeszła w ręce austriackie, i w czym imieniu się odzywa. Spoglądali jednak na niego z coraz większym zajęciem i szacunkiem.

A on zapytał:

— Czy kawalerowie wiecie, że legiony już się biją? Strzałkowski pobił w górach insurgentów włoskich, a Libe-radzki dziś nie się spisał w Weronie, gdzie też i poległ. Mają mu tam wystawić pomnik. Wojska nasze zajmowały także razem z francuskimi Wenecję, którą do poddania się nakłonił Sułkowski. Tworzy się, a raczej jest już prawie sformowana i druga legia, którą ma dowodzić Rymkiewicz. Czy w kraju, po prowincjach o tym wiadomo?

— Mało co — odpowiedział Marek. — Doszło nas wypadkiem pismo Ogińskiego i wiedzieliśmy, że emigranci nasi zbierają się na Wołoszczyźnie. Wiedzieliśmy o Denisce i Ksawerym Dąbrowskim, ale o generale Janie Henryku prawie nic. Ani w »Korespondencie Warszawskim«, ani w »Gazecie Rządowej« nie można się było niczego doczytać.

— Rozumie się. Prusacy zabraniają o tym pisać. Najwięcej wiadomości podawał »Intelligenzblatt«, dlatego że wychodzi po niemiecku.

— Odezwę mediolańską jenerała Dąbrowskiego dostaliśmy dopiero przed miesiącem.

— A on ją wydał w styczniu, rok temu...

— I tylko z jej daty zmiarkowaliśmy, że legiony walczą już od roku.

— Tak nie jest, bo między odezwą a formacją pierwszych batalionów musiało upłynąć trochę czasu. Kosiński i Tremo jeździli po miastach we Francji, w których trzymano jeńców austriackich, i wybierali spośród nich Polaków. Z początku brak było oficerów, ale teraz jest już ich więcej, niż potrzeba, i, jeśli kawalerowie liczyć na stopnie oficerskie...

— Nie — przerwał Cywiński. — Zaciągamy się, jako prości żołnierze.

Chadzkiewicz objął oczyma wątlą a wykwintną postać Marka:

— Waćpan także, panie kawalerze?

— Tak — odpowiedział Marek — chyba, że się krwią dosłużyć wyższej rangi...

— Przedtem opali ci porządnie słońce panieńskie liczko, ale to mi się podoba. Bo przede wszystkim oficer powinien znać służbę. U nas jenerałem zostawał wielki pan, lub sprytny dworak, który o wojskowości tyle wiedział, ile o astronomii. *Exemplus* jenerał Byszewski, któregoście dziś poznali. Prawdziwi wojskowi to Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz i Zajączek, Inni, pozał się Boże. Wyjątek stanowi też książę Józef, który przeszedł szkołę austriacką i który ma przyrodzoną zdolność do wojny. Nie wiodło mu się pod Warszawą i powszechnie mają go za marnego jenerała, ale ja go przejrzałem lepiej od innych...

— Książę Józef nie mieszka w Warszawie? — zapytał Cywiński.

— Owszem. Są więzy, które tu trzymają naszego Alcybiadesa, lecz obecnie jest w Wiedniu.

Tu Chadzkiewicz począł się śmiać.

— Piękny książę — mówił dalej — ma dopiero trzydzieści pięć lat, ale mu włosy rzedną nad czołem, że zaś chciałyby je nosić à la Buonaparte, więc pojechał do Wiednia, do doktora Graffa, który wynalazł podobno sposób na porost czupryny.

Ma tam wszelako książkę i inne sprawy. Jeśli pojedziecie razem ze mną to po drodze przedstawię was.

— Radziibyśmy wyruszyć razem — rzekł Marek.

— Szczerze waćpanów na to namawiam, gdyż to droga niepewna i łatwo może zakończyć się w kazamatach Józefsztađu, gdzie siedzi obecnie ksiądz Kołłątaj Właśnie w jego sprawie zatrzymam się w Wiedniu, choć tam trudno będzie teraz coś zrobić. Tymczasem spróbuję dostać dla was od Fawratha paszporty jako dla moich domowników, i poproszę go o osobne, abyście mogli wyjechać później, jeśli na czas nie zdążycie...

Dalszą rozmowę przerwał im piegowaty Gromadzki, który wprowadził obywatela Nurskiego. Był to człowiek lat czterdziestu, ogromnie wysoki i ogromnie chudy, z wypiekami na twarzy i z czarnymi włosami, które na jego czaszce tworzyły jakby grzebień, podobny do koguciego. Gdy gospodarz przedstawił mu obu młodzieńców, nowoprzybyły podał im rękę, zaginając palce w tak osobliwy sposób, że obaj spojrzeli nań ze zdziwieniem.

Po czym zwrócił się do Chadzkiewicza.

W sprawie Kołłątaja? — zapytał — Myślałem, że Złoty Lichtarz.

— Nie — odpowiedział Chadzkiewicz — żadna łoża. To są przyszli legioniści, z którymi umawiałem się o wspólną podróż.

— Legioniści? Miło mi poznać was, obywatele.

I nagle nad głowami Marka i Cywińskiego otworzyły się upusty wymowy. Nurski z niezmierną obfitością słów i z takim pośpiechem, jakby sądził, że, jeśli się nie pośpieszy, to nie zdoła wszystkiego wypowiedzieć, począł mówić, naprzód o emigracji w Paryżu, o sporach między Barsem i jego stronnikami, a tym obozem, którego duszą był Dmochowski, a następnie o legionach. Dąbrowskiemu przyznawał wysokie zdolności wojskowe, ale wołałby widzieć na czele człowieka, głębiej przejętego duchem rewolucji francuskiej. Według jego zdania, Kościuszkę był zbyt miękki i Dąbrowski będzie zbyt

miękki, a tymczasem Polska potrzebuje pługą, któryby ją głęboko przeorał, tak, by wyższe warstwy poszły na spód, niższe na wierzch. Legiony uważał zresztą za ratunek dla narodowego ducha. Z rozgorzałymi wypiekami na twarzy i pryskając śliną, wołał w uniesieniu, że gdyby nie te zastępy, które uratują przyszłe generacje od spodlenia, to wołałby, żeby ziemia zapadła się pod Polską i żeby na miejscu, gdzie ona była, utworzył się zięjący ogniem krater.

Marek słuchał go z przestachem, Gromadzki patrzył na pułap, Chadzkiewicz podnosił dwuznacznie brwi, tak, że niewiadomo było, czy chwali, czy potępia, a Cywiński, któremu się wydało, że Nurski, mówiąc o kraterze na miejscu Polski, przebiera miarę, począł się niecierpliwie i pokazywać swoje przydługie zęby.

Suchotnik zaś mówił, póki się nie wyczerpał. Wówczas umilkł, ale ręką dawał znak, że jeszcze nie skończył i że zacznie na nowo jak odetchnie.

Jakoż po chwili ozwał się znów, ale cichszym już i zachrypniętym głosem:

— Wróćcie! wróćcie! Buonaparte to Samson, który zburzy świątynię tyraństwa, choćby sam miał zginąć pod gruzami. Wspiera go własny jenuusz, ale wspierają i takie siły, przeciw którym nie wskórają żadne austriackie zakazy, ani żadne ukazy po tamtej stronie Wisły. Musi zwyciężyć ten, który ma pomocników nawet we wrogich sztabach. A wam powiadam, że wróćcie, a wraz z waszym powrotem zrodzi się nowa Po'ska. Zacznie się od zagłady Austrii, a potem pójdzie dalej. Na imię wam: zwycięstwo. Ale czy myślicie, że zwycięstwo będzie waszą jedyną zasługą? Nie! Waszą drugą, równie wielką, będzie to, że przyniesiecie do kraju nowe pojęcia i zaprowadzicie nowy ład. Przyszła Polska nie ma być magnacką, ani, jak jeszcze niedawno była, jezuicką, ani szlachecką, jeno panem i zwierchnikiem ma być w niej, tak jak we Francji — Lud!.. Wolność, równość i braterstwo! Sejm Czteroletni, Ustawa Trzeciego Maja, to dopiero pierwsze litery abecadła. Trzeba pójść dalej, aż do końca, choćby

tę odrodzoną Polskę przyszło w krwi współobywateli wykąpać!

Tu podniósł chustkę do ust i odjął ją z czerwonymi plamami. Nastąpiło dość przykre milczenie. Cywiński i Marek słuchali słów Nurskiego z niechęcią, a bowiem ta kąpiel w krwi współobywateli, w której tak niedawno nurzała się Francja, napełniła cały świat przerażeniem i na myśl o niej wzdrygały się ludzkie umysły. W pojęciu obu młodzieńców legiony miały całkiem co innego do roboty, jak wprowadzać do Polski gilotynę, to też słysząc coś podobnego, zaniepokoił się tym szczerze.

Lecz uspokoił ich do pewnego stopnia Chadzkiewicz, który pochylił się z żartobliwą twarzą nad Nurskim i, klepiąc go o kolanach, począł mówić z taką pojednawczą wyrozumiałością, z jaką mówi się do chorego dziecka:

— Ha, Robespierre krajowej fabryki! Robespierre! No, dość tego! *Liberté, égalité i fraternité* można przeprowadzić, nie napełniając koszu głowami. Tymczasem uspokój się i odetchnij, nim zaczniemy mówić o Kołłątaju. Powtarzam ci, że dziś w Austrii to trudna sprawa, bo czasy naszych wpływów nie tylko tam minęły, ale trzeba się wprost ukrywać, więc mogą działać tylko prywatnie, jako polski hrabia, który nie żałuje grosza.

Marek i Cywiński, nie chcąc przeszkadzać dalszej rozmowie, wstali i poczuli się żegnać. Chadzkiewicz uścisnął przyjaźnie każdemu dłoń i w progę już rzekł:

— Zobaczmy się jeszcze u prymasa, albo u mnie. Przyjdźcie nawet do mnie koniecznie.

Po czym do Marka:

— Ha, stryj twój, panie kawalerze, nie przypadł jakoś prymasowi do serca, i wzajemnie. Poznałem to odrazu... Do widzenia!

Ponieważ na zapytanie, czy znają Warszawę, i Marek i Cywiński odpowiedzieli przecząco, więc uprzejmy gospodarz polecił jeszcze Gromadzkiemu odprowadzić ich do gospody, tym bardziej, że czynił się już wieczór, wieczorami zaś zda-

rzały się często awantury między pijaną młodzieżą a pruskimi rontami.

Zaraz gdy wyszli, piegowaty Gromadzki rzekł:

— Miło mi poznać przyszłych kamratów. Niech żyją legiony!

— To waćpan idziesz z nami? — zapytał Marek.

— A spodziewam się! Milszy mi karabin, niż pióro. Ale niech obywatel nie nazywa mnie waćpanem, tylko obywatelem. W legionach tak sobie wszyscy mówią.

— Powiedz mi tedy, obywatelu — ozwał się Cywiński — jakim sposobem masz nazwisko polskie, a mówisz jak cudzoziemiec?

— Bo mój dziad był przy królu Leszczyńskim, ojciec umarł w Lotaryngii, a ja się tam wychowywałem i do Polski przyjechałem dopiero na insurekcję.

— Biłeś się pod Kościuszką?

— Biłem się z Prusakami pod Dąbrowskim.

— Tośmy koledzy, bo i ja odbywałem tę wojnę.

— W takim razie proponuję wam co innego. Zamiast do waszej gospody, pójdziemy na Stare Miasto oblać dawną służbę i nową znajomość.

Cywiński spojrzał na niego przyjaźnie.

— Dobrze. Wyglądasz obywatel, bez urazy, jak indyjskie jaje, aleś tęgi chłop.

— Ba, to nic jeszcze! Żebyście wiedzieli, jak ja piegowaciej latem!

Na Stare Miasto nie było daleko, więc w kwadrans później znaleźli się w winiarni. Obszerna, sklepiona izba pełna była gości. Przy środkowych stołach siedziała szlachta. Tu i owdzie widać jeszcze było kontusze i podgolone głowy. Przy innych pili ludzie, ubrani po cywilnemu, w których z ruchów i twarzy łatwo było poznać byłych wojskowych polskich. Pod ścianami sadowili się mieszczanie. W głębi stół jeden zajęty był przez liczną kompanię oficerów pruskich, drugi, w samym końcu sali, przez tak zwanych »ptymetrów«, to jest

młodych elegantów, ubranych wedle najnowszej mody, ale pijących wedle dawnej.

Gromadzki, Cywiński i Marek znaleźli, jednak wolny stolik, więc kazali podać wina i poczeli pić. Stanisław i Gromadzki rozmawiali o insurekcji, udając przy tym starych weteranów, którzy zęby zjedli na wojnie. Marek przypomniał sobie w milczeniu, że tak długich rzęs i tak pięknych brwi, jak u panny Anny Krasickiej, nie widział nigdy w życiu. Tak myśląc, wzdychał. Po pierwszej butelce dusze poczęły im się rozweselać. Wyczerpawszy wojenne wspomnienia, Cywiński zwrócił rozmowę na Chadzkiewicza.

— Powiedzże mi, kolego — zapytał — co to jest za osoba, bo jak się go słucha, to zdaje się, że Bóg wie co od niego zależy.

— Od niego dużo istotnie zależy, gdyż ma pieniądze, a przy tym tyle stosunków i znajomości, jak chyba nikt z cywilnych. Zresztą, ponieważ on się sam tym nie kryje, więc nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy powiem, że to jest mason, a do tego dygnitarz w masonerii.

— Patrzałże go! — zawołał Cywiński.

— Jaką godność zajmuje, tego nie wiem, bo do żadnej łoży nie należę, ale myślę, że ma wysoką. Niedawno mówił mi, że mnie wprowadzi do Królewskiego Yorku Przyjaźni, lecz nie będzie już na to czasu, zwłaszcza, że i ja się zbyttno do tego nie zapalam. Od niego też wiem, że niegdyś był w Tarczy Północnej przewielebnym mistrzem Katedry, a potem piastował jakiś gruby urząd w Wielkim Wschodzie.

— Słyszałem, że to jest łoża polska.

— W Warszawie była polska, bo należeli do niej tylko Polacy. Ale po upadku Kościuszki Wielki Wschód Polski rozleciał się. Chadzkiewicz ma zamiar go wskrziesić i w tym celu jeździł porozumiewać się, bogdaj z wielkim mistrzem wszystkich łoż. Nie wiem, jak to wypadło, ale wiem, że był niedawno w Anglii i we Francji.

— Takież z niego peregrynat?

— On ciągle jeździ. Wróciwszy z ostatniej podróży, re-

formował jakoby w Berlinie »Królewski York Przyjaźni« i »Złoty Lichtarz«, a potem urządzał zmiany w tutejszych filiach. Bywa u niego mnóstwo wojskowych pruskich, którzy, jako masoni, są pod jego władzą. W Austrii łoża są teraz zakazane, ale swoją drogą wielu oficerów, a nawet i dworskich dygnitarzy do nich tajnie należy i z tego powodu Chadzkiewicz może i w Wiedniu więcej dokazać, niż każdy inny. Sypie przy tym pieniędzmi i jako »comte Chadzkiewicz« ma wszędy dostęp. Bez niego nie moglibyśmy pomyśleć o drodze przez Wiedeń, a z nim przejedziemy, śpiewając.

— Patriota zaś z niego dobry?

— Popiera ogromnie legiony, więc patriota jest i człowiek bardzo uczynny, tylko...

— Tylko co?

— Tylko nie grywajcie z nim nigdy w karty.

— O! — zawołał Cywiński — szachruje?

— Boże uchwaj! gra przywoicie, a jednak wyłuskał okrutnie bogatszych oficerów pruskich, i dziś prawie nie ma takiego, któryby nie pożyczal od niego pieniędzy. Szczęście to, czy zimna krew, nie wiem.

— A że to go nie posądzają?

— Pewno, że baczą na jego grę, ale dotychczas nikt nie mógł mu nic zarzucić. Ha przy tym maniery wielkiego pana i w razie czego umie tak pokazać zęby, że lepiej go nie zaczepiać, i niejedyn ciężko to już przypłacił. Między maso- nami nie uchodzą pojedynki, ale jemu wszystko uchodzi.

— Że też waćpan tyle wiesz o masonach — zauważył Marek — wcale do nich nie należąc?

— Bo się ciągle o nich ocieram i jestem blisko ich robót. A że do nich dotychczas nie należę, to powiem wam otwarcie dlaczego. Bo, jeśli zaciągnę się na przykład do legionów, to pomogę tłuc kajzerlików, potem, kogo Bóg zdarzy, i wiem, że jak wszystkich wytłuczemy, to będzie Polska. Tam nie potrzebuję sobie głowy nad niczym łamać. A masoneria, to jedna zagadka. Jużci starszy brat wie więcej od młodszego, ale czy myślisz, że i taki Chadzkiewicz wie wszystko? Nie!

młodych elegantów, ubranych wedle najnowszej mody, ale pijących wedle dawnej.

Gromadzki, Cywiński i Marek znaleźli, jednak wolny stolik, więc kazali podać wina i zaczęli pić. Stanisław i Gromadzki rozmawiali o insurekcji, udając przy tym starych weteranów, którzy zęby zjedli na wojnie. Marek przypomniał sobie w milczeniu, że tak długich rzęs i tak pięknych brwi, jak u panny Anny Krasickiej, nie widział nigdy w życiu. Tak myśląc, wzdychał. Po pierwszej butelce dusze poczęły im się rozweselać. Wyczerpawszy wojenne wspomnienia, Cywiński zwrócił rozmowę na Chadzkiewicza.

— Powiedzże mi, kolego — zapytał — co to jest za osoba, bo jak się go słucha, to zdaje się, że Bóg wie co od niego zależy.

— Od niego dużo istotnie zależy, gdyż ma pieniądze, a przy tym tyle stosunków i znajomości, jak chyba nikt z cywilnych. Zresztą, ponieważ on się sam tym nie kryje, więc nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy powiem, że to jest mason, a do tego dygnitarz w masonerii.

— Patrzajże go! — zawołał Cywiński.

— Jaką godność zajmuje, tego nie wiem, bo do żadnej łoży nie należę, ale myślę, że ma wysoką. Niedawno mówił mi, że mnie wprowadzi do Królewskiego Yorku Przyjaźni, lecz nie będzie już na to czasu, zwłaszcza, że i ja się zbytnio do tego nie zapalam. Od niego też wiem, że niegdyś był w Tarczy Północnej przewielebnym mistrzem Katedry, a potem piastował jakiś gruby urząd w Wielkim Wschodzie.

— Słyszałem, że to jest łoża polska.

— W Warszawie była polska, bo należeli do niej tylko Polacy. Ale po upadku Kościuszki Wielki Wschód Polski rozleciał się. Chadzkiewicz ma zamiar go wskrziesić i w tym celu jeździł porozumiewać się, bogdaj z wielkim mistrzem wszystkich łoż. Nie wiem, jak to wypadło, ale wiem, że był niedawno w Anglii i we Francji.

— Takież z niego peregrynata?

— On ciągle jeździ. Wróciwszy z ostatniej podróży, re-

formował jakoby w Berlinie »Królewski York Przyjaźni« i »Złoty Lichtarz«, a potem urządzał zmiany w tutejszych filiach. Bywa u niego mnóstwo wojskowych pruskich, którzy, jako masoni, są pod jego władzą. W Austrii łoża są teraz zakazane, ale swoją drogą wielu oficerów, a nawet i dworskich dygnitarzy do nich tajnie należy i z tego powodu Chadzkiewicz może i w Wiedniu więcej dokazać, niż każdy inny. Sypie przy tym pieniędzmi i jako »comte Chadzkiewicz« ma wszędzie dostęp. Bez niego nie moglibyśmy pomyśleć o drodze przez Wiedeń, a z nim przejedziemy, śpiewając.

— Patriota zaś z niego dobry?

— Popiera ogromnie legiony, więc patriota jest i człowiek bardzo uczynny, tylko...

— Tylko co?

— Tylko nie grywajcie z nim nigdy w karty.

— O! — zawołał Cywiński — szachruje?

— Boże uchowaj! gra przyzwoicie, a jednak wyłuskał okrutnie bogatszych oficerów pruskich, i dziś prawie nie ma takiego, któryby nie pożyczał od niego pieniędzy. Szczęście to, czy zimna krew, nie wiem.

— A że to go nie posądzają?

— Pewno, że baczą na jego grę, ale dotychczas nikt nie mógł mu nic zarzucić. Ha przy tym maniery wielkiego pana i w razie czego umie tak pokazać zęby, że lepiej go nie zaczepiać, i niejeden ciężko to już przypłacił. Między maso- nami nie uchodzą pojedynki, ale jemu wszystko uchodzi.

— Że też waćpan tyle wiesz o masonach — zauważył Marek — wcale do nich nie należąc?

— Bo się ciągle o nich ocieram i jestem blisko ich robót. A że do nich dotychczas nie należę, to powiem wam otwarcie dlaczego. Bo, jeśli zaciągnę się na przykład do legionów, to pomogę tuc kajzerlików, potem, kogo Bóg zdarzy, i wiem, że jak wszystkich wytluczemy, to będzie Polska. Tam nie potrzebuję sobie głowy nad niczym łamać. A masoneria, to jedna zagadka. Jużci starszy brat wie więcej od młodszego, ale czy myślisz, że i taki Chadzkiewicz wie wszystko? Nie!

wszystko wie jakaś najwyższa rada, jakiś wielki mistrz, jakiś Hiram, nie Hiram, który diabeł wie, gdzie jest i co myśli. Tymczasem bierze mnie ktoś za łeb i posuwa mną jak pionkiem na szachownicy, a ja się ruszam i nie wiem, co z tego wypadnie. Rozumiecie, że ja nie robię im żadnych zarzutów, tylko powtarzam, że nic nie wiem, i że to mi nie w smak. Powiem szczerze, że nie w smak mi także i te ich wszystkie ceremonie. Bo to schodzą się, przebierają, zasiadają w jakichś ciemnych salach, przyjmując nowego brata, straszą go trupimi głowami, przykładają mu miecze do serca, a on z góry wie, że to wszystko komedia. W Wiedniu jest, czy też była, jakaś loża Mopsa, w której ten, kogo przyjmują, musi podobno pocałować mopsa pod ogon. Powiedźcież sami, co byście powiedzieli, gdyby wam ktoś podobną rzecz zaproponował?

— Jabym mu dał w pysk — odpowiedział Cywiński.

Lecz Marek, który wiedział, że do łóż należeli znakomici ludzie Polacy i należeli jako patrioci, zapytał:

— A czy waćpan myślisz, że masoneria, jako znamienita siła, nie może nam pomóc do restauracji kraju?

— Nie wiem — odpowiedział Gromadzki — siła to jest istotnie duża. Niewątpliwie też popierają prawa człowieka, wielką rewolucję i sprawę uciśniętych narodów, ale...

— Jeśli tak, to niech żyje masoneria — przerwał Cywiński.

— A niech żyje! — odpowiedział, trącając się z nim, Gromadzki. — Tylko, na mój prosty rozum, to jest tak: któż tu należy głównie do łóż? oficerowie pruscy. A cóż ci oficerowie niedawno uczynili? Mordowali na wspólną z sąsiadami Polskę. I ja mam wierzyć, że ci sami ludzie będą ją wskrzeszać?

— Prawda jest. Tego nie rozumiem.

— I ja także.

Dalszą rozmowę przerwał im coraz większy gwar. w sali. Gromadzki, Cywiński i Marek mieli już trochę w głowach, ale i siedzący najbliżej nich obywatele więcej poczęli się rozrzewniać i wykrzykiwać. W głębi, od stołu modnych »pty-

metrów« jęły padać szydercze i wyzywające spojrzenia w stronę oficerów pruskich, co widząc, Gromadzki rzekł:

— Nie wyobraźcie sobie, ile teraz pojedynków odbywa się w Warszawie. Szczególniej tacy właśnie eleganci szukają zaczepki z oficerami. Ale oni nie czynią tego przez patriotyzm, tylko z próżniactwa i chęci do awantur. Nie ma reduuty, żeby się coś nie wydarzyło, a to samo w restauracjach i nawet na ulicach. Patrzcie, już się coś zaczyna.

Cywiński i Marek podnieśli głowy i ujrzeli dwóch »ptymetrów«, którzy, zbliżywszy się do stołu, przy którym siedzieli oficerowie, poczęli im się w sposób wyzywający przypatrywać przez lornetki, podobne do nożyczek, odwróconych kółkami do góry.

— Jeden, to Śniechowski, drugi, Próchnicki — rzekł -- Gromadzki — obaj staroścoice i znani awanturnicy.

— Poszliby lepiej z nami do legionów — ozwał się Marek.

Tymczasem od stołu wojskowego podniosło się dwóch oficerów, ludzi młodych i pięknych, o energicznych twarzach, z warkoczami po obu stronach policzków i z harcapani, spadającymi na plecy. Ci, stanawszy »ptymetrom« do oczu, poczęli z nimi rozmowę, lecz bynajmniej nie kłótliwą i nie głośną. Owszem, pytania i odpowiedzi zamieniano prawie szeptem, pochylając w lekkich ukłonach głowy. Śniechowski i Próchnicki uśmiechali się uprzejmie, ale oczy ich stały się połyskliwe i zimne jak stal.

— Mają, czego chcieli — rzekł Gromadzki.

— I jabym choiał coś mieć — odpowiedział Cywiński.

Tak mówiąc, począł patrzeć wilczym wzrokiem na oficerów, przy tym dwa przydługie przednie zęby wychyliły mu się spod lnianych, rzadkich wąsów.

Ale Marek Kwiatkowski, lubo szumiło mu już w głowie, położył mu dłoń na kolanie.

— Stanisławie, ciebie czeka w Rudni panna Anna.

— Prawda! prawda! Kpem byłbym, gdybym o niej zapomniał.

Tymczasem, przy najbliższym stole, stary szlachcic z

siwymi wąsami i podgolonym łbem uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczało szkło, i mówił rozmazanym, pijackim głosem:

— Słuchaj sąsiad. Ja, panie, złożyłem homagialną przysięgę, bo obiecali nas szanować i otworzyć kredę dla szlachty. Ale... słuchaj sąsiad!

— Słucham.

— Ale, jeśli nam mają całkiem odebrać prawo sądu i kary nad chłopem, to, jak Pana Boga kocham, sprzedam majątek i przeniosę się pod Moskała...

— Z deszczu pod rynnę, co?

— Nieprawda! Tam przynajmniej człowiek wie, kogo ma nad sobą, a kogo pod sobą... Ale żeby mi kto miał odjąć prawo... tego..

— A ustawa Trzeciego Maja? albo ta tego nie odjęła?

— To też wszystko diabli wzięli.

— Nie dlatego.

— Mówię, że dlatego!

Trzeci rozrzewnił się.

— Oj, ciężkie czasy i szkoda tego, co przeszło...

— Ale na to nie ma rady.

— No, a Buonapart?

— Pan Bóg bliżej.

Po czym pili dalej, obcierając łzy, wzywając od czasu do czasu zmiłowania Bożego, lub kłnąc. Ich żale mieszały się z językiem niemieckim wojskowych i złą francuszczyzną »ptymetrów«. W sali czynił się gwar coraz większy, tak, że w końcu nie można już było nic dosłyszeć. Powietrze w izbie przesłoniło się dymem z fajek. Marek czuł zawrót głowy; Cywińskiego drażnił coraz bardziej widok oficerów pruskich, co zauważywszy, Gromadzki zapłacił za wino, a następnie przewodniczył im do teatru narodowego, w którym, mimo nieobecności Bogusławskiego, dawano co pewien czas przedstawienia.

Obaj młodzieńcy odetchnęli pełną piersią, zanim jednak doszli do teatru, piegowaty ich towarzyszy zatrzymał ich i rzekł:

— Widzieliście, jak na jeden dzień sporo; widzieliście prymasa i Chadzkiewicza i Nurskiego i masonów i tę szlachtę, która żałuje prawa nad chłopem, i »ptymetrów«... W Lotaryngii nauczyłem się od tamtejszych Polaków przysłowia: »Jeden do Sasa, drugi do Lasa«. I to się nie zmieniło. Dziwny kraj. Dlatego idę do legionów, bo tu łatwiej stracić głowę, niż tam.

Lecz Cywiński i Marek myśleli w tej chwili o czym innym. Młodziankowi nie schodziły z pamięci długie rzęsy panny Krasickiej, a Cywińskiemu wzbierała w duszy ochota przetrzepania skóry jakiemu Prusakowi.

— Mnie się oni jednak podobali — ozwał się, biorąc Gromadzkiego za guzik.

— Kto ci się podobał?

— A te eleganty...

— Ach, *les petits maîtres!* Pojedyunki, karty, kobiety, hułatyka na pogrzebie!

— Na jakim pogrzebie?

— Ojczyzny.

* * *

Nazajutrz Cywiński i Marek, przyszedłszy o wczesnej godzinie do Kajetana, zeszli się z młodym klerykiem, który przyniósł kopertę od prymasa.

W kopercie były pożądane dyspensy, jednakże szambelan August, obejrawszy swoją, wpadł w jak najgorszy humor, gdyż mógł wprawdzie na mocy tego dokumentu wstąpić w związek małżeński z panną Klarybellą wnet po powrocie do Różyca, ale zarazem znalazł na odwrotnej stronie dopisek, który go dotknął do tego stopnia, że, zamiast rzecz utaić, rzucił dokumentem o podłogę. Stojący najbliżej Marek podniósł ze zdziwieniem kartę, przeczytał ją, nim szambelan zdążył mu ją odebrać, i skutkiem tego dopisek stał się wiadomy.

Ksiądz biskup Krasicki przypomniał sobie widocznie na

chwile dawne wesole czasy, pełne konceptów, przymówek i dowcipów, albowiem pozwolenie na ślub bez zapowiedzi opatrzył złośliwym czterowierszem, którego nie zawahał się, dzięki ówczesnej foldze obyczajów, umieścić na dokumencie kościelnym:

»Posyłam ci dyspensę, mości szambelanie,
A ty — wierz mi — pośpieszaj, póki sił ci stanie,
Boć i graszka to losu okrutnie niemiła,
Gdy żądza pozostaje, a odchodzi siła«.

Cywiński i Marek poczęli się uśmiechać, lecz Kajetan zmarszczył brwi, bo chociaż szło mu a dobre stosunki z biskupem i chociaż sam uznawał niestosowność spóźnionych amorów, jednakże zabolalo go mocno szyderstwo z ojca. Samego szambelana ogarnęło takie rozdrażnienie, że nos i broda poczęły mu się schodzić zupełnie i trzęsły mu się ręce, gdy, stukając tabakierką, mówił:

— Dowcip mu zwietrzył, ale nie wywietrzył, a jego biskupią reputację dawniej psy zjadły, niż mój wigor. Bo ja widziałem swego czasu kopersztych, a na nim księźda biskupa warmińskiego przy ołtarzu i dwie damy w rogówkach, służące mu do mszy. Zawsze był zgorszeniem dla ludzi i taki sam pozostał. Gotów zongłować cnotami teologicznymi, jak kuglarz, albo grać nimi w bilbokieta... Jeśli księźda Łuskina nie napadał na niego w swoim »Monitorze«, to tylko dlatego, że mu drogo sprzedawał wino francuskie na Starym Mieście... Ale dzisiejsza jego purpura pokrywa tak samo siedem grzechów głównych, jak wczorajsze fiolety... Tylko odgrzewane koncepta mniej są warte od dawniejszych. Nie pójdę do niego z wizytą, ale mu to napiszę. Zdobędę się i ja na takie rymy...

I z wielkiej irytacji zaciął się, a w ogóle słowa przychodziły mu z pewną trudnością, tak nawet wyraźną, że Kajetan spojrział nań kilka razy ze zdziwieniem. Rozdrażnienie nie opuściło go aż do obiadu, a wino, którego wypił więcej niż zwykle, spotęgowało tylko jego gniew na biskupa. Uspokoił

się nieco dopiero po poobiedniej drzemce, ale zbudziwszy się, dał jednak rozkaz Firminowi, by pakował rzeczy, i powtórnie zapowiedział, że jutro odjeżdża. Pod wieczór siadł do pisania odpowiedzi prymasowi, lecz nie mógł się na nic zdobyć i list odłożył do powrotu na wieś. Dwaj młodzi Kwiatkowsy poszli jeszcze tegoż samego dnia do Chadzkiewicza, Kajetan bowiem chciał się z nim o wielu rzeczach rozmówić, a Marek ułożyć się ostatecznie o termin wyjazdu do Wiednia. Chadzkiewicz, załatwiwszy się prędko z Markiem, zatrzymał Kajetana, gdyż chodziło mu o to, by wykształconego i zamożnego młodzieńca pociągnąć do masonerii. Kajetan nie miał nic przeciw temu, ale sprawa jego przyjęcia nie mogła być na razie załatwiona. Tymczasem dowiedział się wiele rzeczy o stanie kraju i sprawach politycznych za granicą, o których, siedząc na wsi, nie mógł mieć dokładnego pojęcia. Jakoż, w odwrotnej drodze do Różyc, przyznał się Markowi, że to, co mówił o stanie umysłów, wówczas, gdy po śmierci Plichty wracali do domu, było poniekąd mylne. Po insurekcji kościuszkowskiej i ostatecznym rozdrapaniu kraju, ogarnęło ludzi istotnie jakby jakieś omdlenie i obojętność, nie wszyscy jednak pogodzili się z losem. Trwała aż do 97 roku praca nad zwaleniem jarzma. Nie pomogąło prześladowanie i srogie kary na spiskujących. Tworzyły się tajne towarzystwa we Lwowie, Krakowie i Warszawie. Nie usnęli patrioci cywilni i wojskowi, nie usnęło mieszczaństwo, pomimo uwięzienia Kriegera. Wrzała praca w kraju i na obczyźnie, aż wreszcie wszelkie czyny i wysiłki zbiegły się we Włoszech i znalazły swój wyraz w legionach. Obecnie zadaniem patriotów było rozbudzić ducha w narodzie i przygotować go do wielkich wypadków, które wkrótce miały nastąpić.

Kajetan, zważywszy to wszystko, porzucił ostatecznie myśl jechania do Włoch, albowiem przekonał się, że i na miejscu znajdzie się dla niego ważna służba.

Marek byłby chętnie nie wracał już do Różyc, ale przyrzekłszy Cywińskiemu, że będzie na jego ślubie, musiał słowa dotrzymać. Chcąc jednak wcześniej stanąć na miejscu, i on

i Stanisław porzucili po drodze starszych Kwiatkowskich, którzy jechali bardzo wolno. Szambelana Augusta droga męczyła nadzwyczajnie. Był ciągle rozdrażniony i nie czuł się wcale zdrów. Chwilami wracała mu trudność mowy, a raz zaciął się nawet przy wymawianiu imienia panny Klarybelle jakby nie mógł go sobie przypomnieć.

VI.

Ślub Stanisława odbywał się cicho w leżnickim kościele i przy małej ilości świadków. Prócz rodziców Cywińskich, Marka i Kajetana, oraz dwóch duchen panny młodej, nie było w orszaku weselnym nikogo więcej. Przyszło trochę czeladzi z Rudni, kilku borowych, dawnych żołnierzy z kompanii piechoty, którą nieboszczyk Plichta dowodził, a w głębi kościoła zasiadła w ławce panna Klarybella Wyrozębska, w towarzystwie starej szafarki dworskiej.

Godzina była południowa, dzień nie dżdżysty, ale chmurny bardzo, tak, że kościół pogrążony był w mroku, który rozpraszały tylko świece, płonące przy ołtarzu. Przed ołtarzem klęczeli Cywiński i Anusia. Ona, w wianeczku zwitym z doniczkowej ruty, ale w czarnej, żałobnej sukni, przy której włosy jej wydawały się w blasku świec niezmiernie jasne, i ze łzami, staczającymi się zwolna po jej różowych policzkach, wyglądała jak polny kwiat, mokry od rosy. Stanisław, ogromnie wzruszony, spoglądał na nią, odchylając górną wargę, nie tylko jak oblubieniec na oblubienicę, ale takim pocziwym wzrokiem, jakim się patrzy na ukochane, a rozżalone dziecko. Przed nimi stał ksiądz Wysocki, przybrany w biały ornat, i w ciszy wielkiej wymawiał sakramentalne słowa: »Ja biorę ciebie sobie...« itd. Stanisław powtarzał je głośno, mocnym głosem, Anusia, chlipiąc z cicha. Lecz gdy ksiądz włożył im na palce obrączki, a na chórze organista zaintonował: »Veni Creator«, dziewczyna podniosła swe modre oczki ku Ukrzyżowanemu w ołtarzu, jakby dziękując Mu za te serca, za

tę opiekę, którą u dobrych ludzi znalazła, i za to młode, dzielne ramię, na którym mogła się wesprzeć. Kochali się przecie już przedtem, a Stanisław kochał ją w tej chwili nad życie.

Stary Cywiński składał przez cały czas usta jakby do gwizdania, marszczył brwi, wytrzeszczał oczy i minę miał tak groźną, jakby się gotował do jakichś nieludzkich czynów. Matka popłakiwała w ciągu ceremonii bez przestanku, ale łzami szczęścia, była bowiem pewna, że jej jedynak nie porzuci teraz tego jasnowłosego dziecka dla wojny dziwnej i dalekiej...

Z kościoła poszli nowożeńcy na cmentarz, gdzie wśród zrudziałej zeszłorocznej trawy i leżących tu i owdzie w dołkach płatów śnieżnych zółcił się jeszcze piasek na mogile Plichty. Tam klękli oboje i Anusia pytała ojca, czy ją widzi i błogosławi, a Cywiński przyrzekał mu, że mu dziecka nie skrzywdzi i nie zmarnuje. Marek rozczulał się widokiem młodej pary, klęczącej na mogile, i myślał, że w ich rozmowie z tą duszą, która w tej chwili krążyła może wśród mgły nad nimi, w ich pamięci, w ich przysięgach i w ich wzajemnej miłości jest szczerłość i prawda, taka, jakiej w jego dotychczasowych sentymentach nie było. Zrozumiał, że on tylko roił i do tych rojeń chciał naciągać rzeczywistość, tu zaś życie samo rozkwitało tak poezją, jak wiosną pokrywają się kwieciami łąki.

Po skończonej nagrobnej modlitwie, Stanisław Cywiński wstał z klęczek, a gdy wstała i Anusia, wziął obie jej dłonie i podniósł je do ust z wielką tkliwością, a zarazem i z taką powagą, jakiej się Marek po nim nie spodziewał. Po nim wzięta dziewczynę w objęcia matka, a gdy i pan starszy Cywiński uronił łzę spod zmarszczonych brwi na jej ruciany wianek — pojechali do Rudni.

Marek, jako drużba, pojechał z nimi. Kajetan, który mało znał Cywińskich, wycofał się jeszcze przedtem z orszaku, rozumiejąc, że taka uroczystość weselna, w którą wpleciona jest świeża żałoba, powinna się odbyć tylko w gronie ludzi najbliższych. Więc wprost sprzed kościoła udał się wraz z

panną Klarybellą do dworu w Leżnicy, gdzie czekała ich starościna i szambelan.

Szambelan bywał tam teraz codziennie i przesiadywał do późna z narzeczoną i z panią Sokołowską, prawiąc pannie komplimenta i odczytując jej madrygały, zapożyczone od Lainez'a i Moncrifa, które tłumaczył Kajetan. W chwilach wolnych od czułych oświadczeń układali też pasjanse. Tym razem jednak panna przywiozła z kościoła migrenę, więc wrócili do Różyce nieco wcześniej. Po upływie godziny nadjechał i Marek, a ponieważ Kajetan jeszcze nie spał, więc obaj, pod wrażeniem zdarzeń dnia dzisiejszego, poczęli rozmawiać o ślubie i nowożeńcach.

— Co to za czuły poemat — mówił Marek — Rodzice oddali im oficynkę, a w niej dwa pokoje, wymalowane na biało. W oknach są firanki, a na oknach doniczki z fuksjami i geranium. Gniazdo jest małe, ale szczęście może być w nim wielkie.

— I pewno będzie — odpowiedział Kajetan. — Ona jest stworzona dla Cywińskiego.

— To jeszcze dziecko. Po wieczerzy wziął ją Stanisław na ręce i nosił po pokoju; wydała mi się wtedy trzynastoletnią dziewczynką, choć wiem, że skończyła szesnaście.

— Sielanka Teokryta!

— Tak. Cudniejszej pasterki nawet jego imaginacja nie stworzyła.

— Za to Cywiński mniej podobny do sycylijskiego pasterza...

Po czym Kajetan spojrział, przymrużając oczy, na Marka i zapytał:

— Kiedy Chadzkiewicz ostatecznie wyjeżdża?

— Od dziś za dziesięć dni.

— I ty myślisz, że Cywiński zdobędzie się na to, by po dziesięciu dniach przerwać sielankę?

— Nie. Wcale już na to nie liczę i nie będę na niego czekał. Wszystko ma swoje granice. Nie będę nawet już u

nich z pożegnaniem, by Stanisław nie wziął tego za przypomnienie, lub za wymówkę.

— A ty kiedy chcesz jechać?

— Pojutrze, by w Warszawie poczynić przygotowania i sprawunki. Nie mam tu już nic do roboty... Ale chciałem cię prosić o jedną rzecz, jako właściciela Różyce.

— Wiesz, że jestem tylko nominalnym.

— Jak chcesz, jednakże, jeśli zginę, staniesz się nie tylko nominalnym. Otóż proszę cię, byś pomyślał o tym, czyby Stanisławowi nie można puścić Różyce w dogodną dzierżawę. Ja go kocham, bo to szczerzy człowiek, i przez długi czas, nim nauczyłem się kochać i cenić ciebie, był to jedyny człowiek, przed którym mogłem otwierać serce. Stryj nie gospodarz, ty również wolisz książki, a Cywiński ma energii za trzech i zna się na rzeczy, więc Różyce na tym nie stracą... A ja takbym chciał zrobić coś dla nich obojga!

Kajetan uściskał go serdecznie.

— Ty jesteś poczciwy z kośćmi chłopak, i stanie się wedle twej woli.

Na trzeci dzień po tej rozmowie Marek wraz z Kajetanem wyruszyli do Warszawy. Nad wszelkie spodziewanie stary szambelan pożegnał bratanka z pewnym wzruszeniem, a nawet uczynił nad nim krzyż tabakierką i podarował mu zegarek, który w swoim czasie wygrał w zakład od hetmana Braniczkiego. W Warszawie Chadzkiewicz nie zmienił zamiaru wyjazdu, a ponieważ lubił jeździć wygodnie i dwornie, więc przygotowania do podróży były już rozpoczęte. Gromadzki i Marek mieli jechać jako sekretarze »hrabiego«, Cywiński, dla którego paszport był także, na wszelki wypadek, wyrobiony — jako masztalerz. Tydzień, który pozostawał do wyruszenia w drogę, zeszedł obu młodym Kwiatkowskim na wizytach i na odwiedzaniu narodowego teatru, a prócz tego Chadzkiewicz wprowadził Kajetana do łoży, noszącej nazwę »Złoty

Lichtarza», do której, w oczekiwaniu na odnowę Wielkiego Wschodu polskiego, zapisywali się dość licznie Polacy.

Nadszedł na koniec termin wyjazdu. Dzień był chmurny i tak ciemny, że w stacjach trzeba było do dziesiątej rano palić świece. Marek i Kajetan przyszli wcześniej jeszcze do mieszkania Chadzkiewicza, które wypełnione było walizkami i tobołkami, a zresztą puste, gdyż gospodarz, wyjeżdżając na długo, sprzedał jednemu ze znajomych »ptymetrów« meble. Ludzie poczęli wynosić rzeczy do karety i do bryk węgierskich, stojących przed domem. Gromadzki pilnował rzeczy. Chadzkiewicz wyszedł przed samym wyjazdem, by odwiedzić chorego Nurskiego, a obaj Kwiatkowscy, siedząc w oknie, wzruszeni do głębi serca, rozmawiali z sobą tak, jak rozmawiają przyjaciele przed rozstaniem.

Kajetan trzymał rękę brata i, mrugając oczyma, wpatrywał się w niego po raz ostatni. Niedyś obojętny dla krewniaka, pokochał go teraz całą duszą. Z ojcem stosunek jego był zawsze dość daleki, a z powodu zamierzonego ojcowskiego małżeństwa, miał się stać jeszcze dalszy, więc od czasu zbliżenia się z Markiem samotny mizantrop pokochał go głęboko. Sercem nie tylko braterskim, ale rodzicielskim. Młody chłopak stał się dla niego istotą, która jedynie wiązała go z życiem. Czuł, że po jego wyjeździe pozostanie jeszcze bardziej samotny i że po prostu nie będzie miał się z kim podzielić żadną myślą. Może po raz pierwszy poczuł, że nauka nie może wszystkiego zastąpić i że jeśli umysł okręca się naokoło wiedzy, jako chmiel lub bluszcze naokoło pni drzewnych, to i miłość musi znaleźć także jakąś podporę.

Patrzył też z ogromnym przywiązaniem w oczy Marka, patrzył na jego prawie dziewczęcą, jasną twarz i ze ściśniętym sercem myślał, że może szabla jakiego pandura rozorze ją i zeszepeci te szlachetne rysy; gładził ręką obfite włosy chłopca i widział w wyobraźni, jak obetną je żołnierskie nożyce. Z każdą chwilą wzbierał w nim żal coraz większy, tak, że w końcu objął Marka ramionami i, przycisnąwszy go do serca, mówił przerywanym głosem:

— Tyś za młody na obozowe życie. Gdybyś przynajmniej miał tam kogoś bliskiego... Gdyby Cywiński!... albo gdybym ja mógł jechać, a ty zostać.

A Marek oddał mu serdecznie uścisk i odpowiedział:

— Ja nie mogę, Kajetanie. Ty wiesz, że nie mogę. Tam obowiązek, tam służba krajowi, tam pole uczynków i pole spłaty krwi...

— Ta spłata, to mój obowiązek.

— Nie. Tobie tu świeci jak pochodnia nauka i tą pochodnią będziesz oświecał rodaków, a ja, powiedz sam, co ja mam tu do roboty? Tylko jakieś szukanie celu w życiu, tylko jakaś nieprawda rojeń i marzeń, i nic więcej, a naokół pustka.

Kajetan pociągnął dłonią po czole.

— Nie mów tak. Przed tobą wszystko stoi otworem i na nic ci jeszcze nie zapóźno. Ale moja wina, że się tobą wcześniej nie zajął, że nie wzbroniał odbierać cię ze szkół, że nie otoczył cię braterską opieką, moja wina!

— Kajetanie, ja ci będę wiecznie wdzięczny za to serce, któreś mi w ostatnich czasach okazał...

— Pójdzie ono za tobą wszędzie...

Dalszą rozmowę przerwał im plusk deszczu o szyby i głośnie rozmowa w sieni. Ktoś się tam o coś spierał, ktoś dopytywał widocznie o gospodarza i gniewał się na służbę, która twierdziła, że nie ma go w domu. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i ukazał się w nich Cywiński.

— Stanisław! — zawołał ze zdumieniem Marek.

A ów cisnął na kufer mokrą burkę i zwrócił ku niemu twarz, jakby zawziętą.

— I jedziesz z nami? I znalazłeś dość sił, by odjechać żony?

Na to Cywiński nie odrzekł nic, tylko wciągnął nozdrzami powietrze i wielkie łzy poczęły mu spływać z oczu.

Z ulicy dochodziło szczękanie podków końskich o bruk.

CZEŚĆ II.

POD DĄBROWSKIM

I.

Cywiński, lubo pilno mu było do obozu, zgodził się jednak na żądanie Marka, by kilka dni spędzili w Wenecji. Zgodził się, raz dlatego, że sam chciał poznać miasto, a po wtóre, że oficer Drzewiecki, z którym obaj młodzieńcy poznali się zaraz po przyjeździe, zapewnił ich, iż nie potrzebują się zbyt śpieszyć, gdyż legie od czasu pokoju zawartego w Campo Formio stoją w Rimini i gotują się do wyprawy na Rzym, ale na razie nie mają nic do roboty.

Drzewiecki był gładki i rozmowny oficer, a przy tym trochę beletrysta. Bywał on już poprzednio w Wenecji i poznał nieźle osobliwości miasta, więc, jako chętny przyszedł kolega, pokazywał je młodemu rodakom od kilku dni i od rana, aż do zachodu słońca. Obiecał też towarzyszyć im do Padwy, którą także chcieli po drodze zobaczyć.

Owóż, w wigilię wyjazdu, zasiedli przed kawiarnią na placu Św. Marka, by nieco przeciągnąć strudzone nogi, popatrzeć na ludzi i porozmawiać o wrażeniach zebranych w ciągu dnia. Lecz po chwili zbliżył się ku nim młody jeszcze, ubrany po cywilnemu mężczyzna, z odciętą częścią wąsa i wyszczerbioną wargą. Przybyły powitał Drzewieckiego, a ów przedstawił go Markowi i Cywińskiemu, jako kapitana Nadolskiego.

— Byłem w twojej kwaterze — rzekł do Drzewieckiego Nadolski — a teraz wypatrywałem cię na placu, gdyż mam dla ciebie rozkaz.

— Wiadomo, że w Wenecji każdego można znaleźć wicczorem na placu — odpowiedział Drzewiecki.

Po czym wziął list, przebiegł go oczyma i zwrócił się do Cywińskiego.

— Niestety, nie mogę jechać jutro z waćpanami do Padwy, albowiem otrzymałem od jenerała Kniaziewiczza rozkaz powrotu.

Młodzieńcom przykro było rozstawać się z miłym towarzyszem, ale ponieważ nie było na to rady, więc Marek wyraził tylko swój żal z powodu rozłąki, a Cywiński ozwał się, ważąc rzecz na dwoje.

— To może i my pojedziemy z waćpanem wprost do obozu, a nie do Padwy.

— Do Padwy warto jechać — odpowiedział Drzewiecki — raz dlatego, że blisko, a po wtóre, że tam w uniwersytecie jest dużo wmurowanych tablic z polskimi nazwiskami i herbami. Magnaci nasi w wieku XVI często piastowali godność rektorów padewskich... Możecie też dotrzeć do Werony, a stamtąd dopiero jechać do Rimini.

— A jeśli tymczasem wojsko nasze ruszy ku Rzymowi?

— Nie ruszy — przerwał szorstko Nadolski — bo żołnierzowi brak butów, koszul i portek. Czekamy, by nam to przysłano z Mediolanu, ale Dyrektoriat cyzalpiński marudzi, a może i sam nie ma złamanego szeląga.

— Więc zawsze stara bieda? — zapytał Drzewiecki.

— A stara. Dąbrowski wysła list za listem. Gdym wyjeżdżał, on i Kniaziewicz chcieli wysłać Tremona, ale że Tremona teraz potrzebny na miejscu, więc miał jechać Dembowski i podobno Bogusławski.

— Bogusławski? Czy nie Jakób Ferdynand? — zapytał Marek.

— Tak. Waćpan go znasz?

— Nie, ale słyszałem o nim w kraju...

Umilkli na chwilę i poczęli przypatrywać się rzece ludzkiej, która przepływała od Św. Marka w stronę San Moisè i spowrotem. Wieczór, mimo wczesnych dni wiosny, był nadzwyczaj

ciepły i pogodny. Nad placem widać było niebo nabite gwiazdami, a zręby prokuratorii i siwe kopuły kościoła srebrzyły się od miesięcznego blasku. Sam plac gorzał od światła. Na środku grała na wzniesionej estradzie wojskowa muzyka czeska. Tłumy mężczyzn i kobiet przesuwaly się wzdłuż prokuratorii, a gwar ich rozmów mieszał się z dźwiękiem instrumentów muzycznych i z furkotaniem skrzydeł gołębi, płoszonych przez nagłe głosy trąb i bębnow. Przed kościołem paliły się w żelaznych koszykach wiązki pochodni, rzucając różowe blaski na jasne mozaiki, na złożony wnek i na wielkie żółte chorągwie, zawieszzone na masztach przed świątynią.

— Wśród tych cudów — ozwał się Marek — ludzie powinni żyć tylko imaginacją i rozrzuconych serc zachwytem...

— Mój towarzysz jest poetą — przerwał mu Cywiński. — Ale istotnie pięknie tu i rojno. Czy to tak zawsze bywa?

— Miarkuję od kilku dni, że pan Kwiatkowski pija z Kastalskich źródeł — odpowiedział Drzewiecki. — Wenecja, nawet gdy w niej pusto, może poruszyć czułe struny w duszy poety. Wszelako teraz nastały czasy wyjątkowe. Stoi tu liczna załoga austriacka, lecz że Austriacy nie rozgospodarzyli się jeszcze na dobre, a pokój został zawarty, przeto uważają ludzie Wenecję jakoby za grunt neutralny. Rozumiesz waćpan, że tak osobliwe miasto musi wszystkich pociągać, więc oficerowie francuscy z fortec cyzalpińskich biorą setkami urlopy i przyjeżdżają tu na oględziny i zabawę. Anglicy wszędzie się znajdują, a nie brak też tu i naszych, gdyż Austria uznawszy Rzplitą Cyzalpińską, musi uznawać i jej paszporty. Są tedy Niemcy, Węgrzy, Wołosi, Anglicy i Polacy. Istna *colluvies gentium!* Ale po prawdzie, to na nas Polaków, nie patrzą tu teraz życzliwie.

— Dlaczego? — spytał z odcieniem żalu Marek.

— Bo z woli Buonapartego wzywał Wenecję do poddania się Sułkowski, a potem brązowe konie z kościoła Św. Marka kazano zdejmować naszym żołnierzom, co ludność miejscowa

bardzo wzięła do serca, gdyż oni tu okrutnie zawsze kochali Św. Marka i jego złocone rumaki.

— A co się z nimi stało?

— Poszły do Paryża, jak wiele, wiele cennych łupów. Ale Włosi nie rozumieją, że żołnierz musi słuchać rozkazu, i powiadają, że konie zabrali »Polacchi«.

— Wartoż ich było żałować? — zapytał Cywiński.

— Zmiłuj się waćpan. Toć przecie arcydzieło...

— Nie ma co! walnych mają rzeźbiarzy. Bo i ten rycerz na koniu, którego widzieliśmy przed kościołem św. Piotra i Pawła... Jakże on się zowie?...

— Colleoni. To robota Verrocchia.

— Rycerz, jak rycerz! Bez wąsów i brody wygląda na babę, ale szkapa tęga: pęcina krótka, więź dobra, zad szeroki...

Uśmiechnął się na to pan Drzewiecki i rzekł:

— Waćpan patrzysz na dzieła sztuki jak kawalerzysta.

— Bom pod Kościuszką w jeździe służył.

— A ile miałeś wówczas lat?

Cywiński wskazał na Marka.

— Tyle, ile on ma dziś, a nawet mniej, ale na koniach znałem się od dzieciństwa.

— Te, które nasi zdjęli z kościoła, pochodziły z Konstantynopola, więc nie były włoskiej roboty. Ciężkie było to zdejmowanie i żołnierz nie rad się do tego brał, zwłaszcza, że mu zlorzeczono.

— A że to Włosi odróżniają Polaków od Francuzów? — ozwał się Marek.

— Odróżniają nas po mowie, po kwadratowych czapkach i po niebieskich oczach. Przy tym, od czasu jak Buonaparte pokarał Weronę rękoma naszych żołnierzy, boją się nas.

— To wtedy poległ Liberadzki?

— Tak, ale lepiej wam to opowie Nadolski, bo osobiście był w ogniu.

Na to Nadolski pociągnął ze szklanki wina, zmarszczył się i rzekł:

— W Weronie motłoch wymordował nie tylko załogę, ale i rannych w szpitalach, których było kilkuset, Francuzów i naszych. To też odwet był srogi i łaźnia krwawa.

Tak mówiąc, podniósł palec do ust.

— Patrzenie. Odstrzelono mi wówczas wąż i część wargi. Warga się wygoiła, ale wąż już nie odrośnie, i tego tym szelmom baurom nigdy nie daruję.

— Jakto, baurom?

— Bo między tymi, którzy powstają przeciw Francuzom, najwięcej jest chłopów, więc nasi nazywają wszystkich bau-rami. Należy bestiom przyznać, że się diablo biją. W Weronie trzeba było zdobywać ulicę za ulicą, dom za domem. Nasi bardzo się przy tym odznaczyli i od tej pory żołnierz polski budzi w tych okolicach postrach i nienawiść.

— Jednakowoż nie wszędzie — objaśnił Drzewiecki — bo tam, gdzie jest pokój, wolą nas od Francuzów i nawet podziwiają skromność żołnierza. W Rimini, na przykład, szczerą nam okazują życzliwość. Posłuchajcie, jakie to kantaty komponują na naszą cześć i chwałę.

To rzekłszy, począł nucić:

*»La libertade Italica
Che tanto deve a Voi,
Bravi Polacchi, volgevi
Lieta gli sguardi suoi...«*

Po czym tak mówił dalej:

— Prawda jednak, że czasem i noże bywają w robocie, zwłaszcza, gdy chodzi o kobiety. Ach, Włoszki! pod ich oczyma topnieją serca nie tylko naszych żołnierzy i oficerów, ale nawet i generałów.

— Bestyjki wabne, że aż człowieka biorą ciągoty — zauważył Cywiński.

I przeciągnął się, jakby morzony snem.

— Strzeż się waćpan Włochów — odpowiedział Drzewiecki.

Następnie popatrzył przez chwilę na anielską twarz Marka i dodał:

— A waćpan Włoszek. To słodka wprawdzie niewola, ale zawsze niewola.

Marek zarumienił się jak panna, i już chciał wyznać, że jeszcze w kraju marzył o włoskich dziewczicach, ale w obawie, by oficerowie nie poczytali go za roztkliwionego niedorostka, zwrócił rozmowę na tory polityczne.

— Wyznaję — rzekł — że nic z tego nie rozumiem. Bo ja myślałem, że Włosi co do jednego stoją przy Buonapartem, który dopomógł im zrzucić obce jarzmo.

— Tak i my myśleliśmy — odpowiedział Drzewiecki — ale w tym kraju dzieją się dziwne rzeczy. Francuzi biją kajzerlików, przewracają małych tyranów i niosą Włochom wolność. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że zarazem depcą świętości, które ten naród czci... Więc tam, gdzie zawiął wiatr rewolucyjny, w wielkich miastach, gdzie zagnieżdżyła się masoneria, gdzie wychodzą gazety, a ludność rwie się do swobody, tam radośnie witają trójkolorowy sztandar. Ale inni, a bogdaj tych więcej, nie chcą o nim słyszeć.

— Zwłaszcza, że Dyrektoriat nasyła złodziei dostawców, którzy krzywdzą wojsko, a ludność obdzierają ze skóry — wtrącił Nado'ski.

— A Rzeczpospolita Cyzalpińska? — zapytał Cywiński.

— Rzeczpospolita Cyzalpińska, to poprostu prowincja francuska. Francuzom ona potrzebna, bą z niej grożą całej Italii. Oczywiście i we Włoszech chodzi o nią patriotom, chodzi ludziom oświeconym, chodzi tym, którzy piastują urzędy, chodzi nieprzyjaciołom Austrii, a przyjaciółom wolności. Natomiast, spytaj waćpan chłopów, co o niej myślą, posłuchaj co mówi motłoch, taki właśnie, jaki w Weronie wycinał Francuzów i naszych po szpitalach, spytaj księży, spytaj arystokratów, a obaczysz, co ci odpowiedzą. Wolność to dobra potrawa, ale gdy się ją gwałtem wpycha w gardło, prędko obrzydnie. Były już insurekcje chłopskie, które tłumił Strzałkowski, była insurekcja w Weronie i będą jeszcze inne. Po-

zał się Boże tej krwi, a i nam żał ją rozlewać... Lud przywykł do swego jarzma, do swych małych tyranów, ba, nawet do Austriaków. Myśl o wielkiej, wolnej ojczyźnie włoskiej może tu całkiem nie umarła, ale usnęła i śpi...

— Budzi ją generał Buonaparte! — zawołał Cywiński.

— A mnie tymczasem chłop odstrzelił wąż — mruknął Nadolski.

Drzewiecki zaś powtórzył:

— Budzi ją Buonaparte, ale tymczasem oddał tę oto Wenecję Austriakom.

Umilkli i zwrócili się ku kościołowi, albowiem w tej chwili orkiestra zaczęła grać hymn austriacki i przed fasadą zapalono ogień bengalskie. W oślepiających blaskach rozbłysły tym bardziej złocenia i mozaiki. Kolumny kościelne zdały się być uczynione nie z marmuru i porfiru, ale z czerwonego i zielonego światła. Zabarwiły się też na różowo i zielono zestrachane gołębie, latające nad świątynią. W różnych stronach placu kilkanaście głosów zakrzyknęło: »Evviva l'Austria!« ale tłum pozostał posępny, głosy nie znalazły echa i umilkły, jakby zawstydzone.

— Jakiż to cios był dla patriotów, to oddanie Niemcom Wenecji — ozwał się Marek.

— Był i dla nas — odpowiedział Drzewiecki. — Myśleliśmy, że gdy Buonaparte zgniecie Austrię tak, jak zgniótł jej armię, to pójdziemy do Galicji. A tymczasem, on dał Austrii, czego przedtem nie miała. Waćpanowie nie potraficie sobie wyobrazić, jaka była między nami konsternacja. Dąbrowski, Kniaziewicz i Wielhorski puszczały sobie krew. Nie tylko oficerowie, lecz nawet żołnierze pytali się wzajem, co my mamy do roboty i po jakiego lichaśmy tu przyszli?

— I na to pytanie nie ma dotąd odpowiedzi.

— Jest nadzieja, że pokój będzie krótki. Dąbrowski i Kniaziewicz muszą mieć o tym jakieś pewne wiadomości, gdyż nabrali znów ducha i pomnażają legie.

— To znaczy, że pójdziemy do Galicji — zawołał z radością Cywiński.

— Byle prędko. Słyszałem niedawno, jak Kniaziewicz mówił do Wielhorskiego tak: »W Buonapartem płynie przecie krew włoska, więc nie mógł oddać na długo Wenecji Niemcom i chciał ją tylko pokarać za jej zdrady w ostatniej wojnie«. I to może być prawda.

— Mniejsza o Wenecję — mruknął znów Nadolski. — Nie zastąpi nam pomarańcza rzepy.

— Nie, kolego — odrzekł Drzewiecki — o Wenecję nie mniejsza, bo jeśli Buonaparte nie zostawi jej na stałe Niemcom, to ją musi odebrać, a jeśli ją zechce odebrać, to musi znów Niemców pobić.

— Austria sama wypowie wojnę, bo jej żal fortec.

Marek Kwiatkowski, który oczarowany był Wenecją, wtrącił się z kolei do rozmowy.

— Czy podobna pomyśleć — rzekł — żeby ten jeniusz, na którego wszystkie narody patrzą jak na wybawcę miał poddawać w niewolę tę królowę mórz, ten cud świata. Co do mnie, nie uwierzę w to nigdy.

— A jednak tymczasem tak jest. Co zaś do królowania nad morzami, to stare dzieje. Tak!... Do ostatnich jeszcze czasów doża rzucał pierścień w morze, lecz to jest tylko czcza ceremonia, a dawna potęga to jeno wspomnienie, pod którym kryje się próchno, a nawet gędza.

Tu Drzewiecki machnął ręką.

— Co było w skarbie milionów, to je wydano na przekupienie tych tam złodziei adwokatów z Dyrektoriatu, co dziś rządzą Francją. Na Canale Grande stoją dotychczas stare pałace i przeglądają się w wodzie, ale czy dacie wiarę, że ich mieszkańcy nie zawsze mają co jeść. Spodek polenty, filiżanka czekolady, raz na dzień... Widzicie te kobiety, które tu płyną jak fala? Koronki na głowach, jedwabie, wachlarze! a założę się, że połowa ich przynajmniej nie ma koszuli pod spodem.

— Nie noszą ci koszul? — zapytał z nadzwyczajnym zajęciem Cywiński.

Marek spuścił oczy, a Drzewiecki, który wiedział, że

Cywiński zostawił w kraju niedawno poślubioną żonę, począł się śmiać i przekomarzać.

— A waćpanu co do tego! To tam w domu za tobą płaczą, a ty się tu dopytujesz o włoską bieliźnę? Proszę!...

Twarz Cywińskiego przesłoniła się natychmiast chmurą smutku i rozczulenia. Nie odpowiedział też ani słowem na żarty Drzewieckiego, tylko pochylił głowę i pochyłał ją coraz niżej, by ukryć łzy, zbierające mu się pod powiekami. Myślał uciekł do kraju, do dworku w Rudni, a głos wielkiej tęsknoty wołał mu w duszy:

— Hanuś, moja jedyna, kiedy ja cię zobaczę? Hanuś!... Hanuś!...

Towarzysze potrzyli na niego z głębokim współczuciem, albowiem każdy z nich zostawił jakieś kochanie w dalekiej ziemi.

Przez dłuższy czas trwało milczenie, po czym Cywiński otrząsnął się jak ze snu, przetarł dłonią czoło, spojrział weselej i rzekł:

— Ha! trudno!...

I gdy w tej chwili zbliżyła się do nich młoda, przystojna »fioraia«, od której zaatywał zapach sasek i żółtego kwiecica mimozy, uśmiechnął się do niej tak szczerze, że dwa jego przydługie przednie zęby rozbłyły prawie całe spod jasnego wąsika, i chwyciwszy dziewczynę za rękę, jął powtarzać:

— Bella, co? bella?

Był to pierwszy wyraz włoski, którego nauczył się w Wenecji, i jedyny, którym się począł posługiwać.

Uczyliło się późno. Kapela zesła ze wzniesienia, a wkrótce potem przeredziły się szeregi, przesuujące się wzdłuż placu. Drzewiecki, który, stosownie do rozkazu, miał jeszcze tej nocy wyruszyć do Rimini, pożegnał wkrótce młodych towarzyszków, a wraz z nim odszedł i Nadolski. Marek i Stanisław wsiedli na Piazzet'cie do gondoli, chcieli bowiem zobaczyć »Canale Grande« przy księżycu.

Zaledwie wyruszyli, ogarnęła ich po gwarze, panującym przed Św. Markiem, cisza. Tam biły w oczy tysiące lamp i

krwawo płonących pochodni, tu jedynie światło miesiąca spalo cicho na gzymsach pałaców i kładło się długą srebrzystą taśmą na wodzie. Koło Santa Maria della Salute, gdzie zwykle zbierały się barki ze śpiewakami i gdzie co wieczór dźwięki mandolin rozsypywały się drobnym deszczem po wodzie, było już pusto. Od czasu do czasu tylko, z bocznych wąskich kanałów wysuwał się czarny, wydłużony kształt gondoli i odzywało się przeciągłe: »a — oe!« gondoliera. Okna były prawie wszędzie ciemne, ale w jednym z pałaców dziwny widok przedstawił się oczom młodzieńców. Wysokie dolne okno w nieoświetlonej komnacie było otwarte, a w nim bielita się jakaś postać kobieca z rozwiązanymi włosami. Na gondoli z powodu pogodnej nocy nie było budki, więc Markowi i Cywińskiemu nie przesłaniało nic widoku. Kobieta — raczej młoda dziewczyna — głowę trzymała przechyloną w tył i opartą o ramę okna, a twarz jej skąpana była w blasku miesięcznym. Zdawała się być uśpiona, gdyż oczy miała zamknięte i cień od długich rzęs zachodził głęboko na jej policzki. Lecz usta jej, nieco otwarte, podane były ku księżycowi, jak gdyby w lunatycznym upojeniu piła jego srebrne promienie. Marek zatrzymał gondolę i patrzył. Nie był on muzykalny i wyraz »nokturn« był mu zapewne obcy. A jednak odczuł coś takiego, co tylko muzyka może wyrazić, jakąś symfonię złożoną z białych, drgających na wodzie blasków, z sennego bełkotania fali pod dnem łodzi, z milczących pałaców, z ich ukojonych linii, z tej białej postaci i z tej twarzy, przechylonej ku niebu, a pogrążonej w śnie, w marzeniu, czy też w omdlałym zachwycie...

— Nie budźmy jej! — szepnął do Cywińskiego.

A ów popatrzył także przez dłuższą chwilę i odpowiedział również szepem:

— Ona się całuje z księżycem...

Zapadła wielka cisza. Słyszać było tylko łagodny plusk wody o marmurowe progi pałacu.

Markowi wydało się, że jest w krainie czarów. Tak też i było od pierwszej chwili przybycia do Wenecji. Od błękitnych

lagun, od blasków słonecznych na rozlewach, od różowych marmurów zamku dożów, od pałaców, jakby zamyślonych nad wodami, od kościołów i tęczyowych mozaik bazyliki padało na duszę młodzieńca radosne olśnienie. To, co niegdyś czytał o tym cudownym mieście, co o nim wiedział i co wyobrażał sobie jako daleką poezję, zmieniało się w bliską rzeczywistość. Życie traciło tu zupełnie swą powszedniość i zdawało się szeregiem świąt, pełnych uroczystości i wesela. Marek czuł się jakby pijany pięknością. Wszystkie jego władze duchowe rozszerzyły się, jak nigdy dotychczas, i stały się mocne, a zarazem wrażliwe, jak struny harfy.

Nawet i Cywiński nie oparł się urokowi, chociaż ów urok zmieniał się w nim głównie w zdumienie. Wiedział jeszcze ze szkół, że Wenecja stoi na wodzie, ale wiedzieć, a widzieć jest co innego. Teraz, gdy patrzył na nią, nie chciał oczom wierzyć. Jeżdżąc gondolą, wybuchał często śmiechem lub wykrzykiwał: »niech diabli wezmą!« nie umiając inaczej swych podziwów wyrazić. Miasto wydawało mu się czymś przechodzącym wyobraźnię, a zarazem i czymś niedorzecznym, albowiem szlachecki jego rozum nie mógł pojąć, żeby »ludzie żyli jak kaczkii«. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że jego zdziwienie graniczy z radością i zachwytem, w którym, bardziej świadomie, tonął jak w morzu Marek.

Ale tej nocy, pod niebem nabitym gwiazdami, w tajemniczym potoku srebrnych blasków, w milczeniu śpiących pałaców i przed tym otwartym oknem, w którym biała dziewczyna podawała jakby w omdleniu usta księżycowi, czar owładnęła Markiem z większą niż kiedykolwiek mocą. Przez myśl przeleciało mu szybko, jak błotnia błyskawica, wspomnienie »Nocy Younga«, które czytywał jeszcze w Róźycach. Ogarnęło go poczucie, że żyje w jakichś lazurowych przestrzeniach i że dusza jego pławi się na rozłożonych skrzydłach gdzieś w zaświatach, gdzie wszystko składa się ze świetlanych toni, cichej muzyki, z westchnień, z błogiej melancholii, z łagodnych ukojeń, z pół snu, pół jawy, z zapachu kwiatów, z nadziemskich zachwytów i z księżycowych pocałunków. A potem wy-

dało mu się, że jego jestestwo zmienia się całe w jedno daseńko miesięcznego światła, że pada na twarz uśpionej dziewczyny, dotyka jej włosów, rozświeca czoło, dotyka zamkniętych oczu, zatrzymuje się na otwartych ustach, które wysuwają się ku niemu, wnika przez nie do jej serca, zaślubia je i w niepojętym szczęściu tuli się w nim, jak w kielichu lilii białej.

Długo trwało milczenie. Marek ocknął się z upojenia dopiero, gdy znów jakaś gondola wysunęła się z bocznej uliczki i gdy wśród nocnego spokoju rozległ się przeciągły głos gondoliera:

— *Sia di lungo!*...

Wówczas zwrócił się do Cywińskiego.

— Stanisławie — szepnął — ja muszę ją poznać, ja... tu wróće...

Lecz Cywiński, strudzony całodziennym zwiedzaniem miasta, wyciągnął się wygodnie na poduszkach gondoli i spał jak zabity.

II.

Trzeciego dnia obaj młodzieńcy znaleźli się w Padwie. Jeszcze przed południem pokłonili się św. Antoniemu Padewskiemu, którego cześć była od wieków tak i w Polsce rozpowszechniona, że Cywiński, dowiedział się z pewnym zdziwieniem, że ów wielki Święty nie był Polakiem. Potem odczytywali pod kolumnami w uniwersytecie nazwiska polskie i rozpoznawali polskie herby, a w końcu »cicerone«, niedorosły jeszcze chłopak, zaprowadził ich przed posąg Gattamelaty i jął opowiadać o jego czynach rycerskich, tak przewracając oczyma, jakby był ich uczestnikiem. Ale oni obaj byli już ogromnie wygłodniali, wskutek czego, ani więź, ani pęciny donatelowego konia nie zdołały zatrzymać dłużej uwagi Cywińskiego. Jakoż, w chwilę później, odprowadzając chłopca, znaleźli się w »trattorii«, na placu dei Frutti.

Zwykła pora obiadowa, bardzo wówczas we Włoszech wczesna, już minęła, więc tylko w głębi obszernej, ale dość ciemnej sali siedziało kilku cywilnych i dwóch księży, bliżej zaś od wejścia czterej oficerowie francuscy zajęli okrągły stół, na którym sterczało kilka oplecionych słomą fiaszek. Dwóch było huzarów, jeden dragon i jeden grenadier. Przybyli tu za urlopami, może z Mantui, a może tak jak Marek i Cywiński wracali z Wenecji. Wojskowi w podróży przywdzieli zwykłe strój cywilny, lecz ci nie zrzucili wcale mundurów, licząc widocznie na urok i poszanowanie, jakie uniform francuski wzbudzał w tych krajach, w których był symbolem zwycięstw i bohaterstwa. Dwaj młodzi Polacy usiedli w pobliżu, spoglądając z sympatią na ich rozochoczone twarze i żywiąc w duszy chęć zapoznania się z nimi natychmiast. Powstrzymał ich tylko widok wypróżnionych butelek, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że muszą być mocno podchmieleni. Dowodziła tego również ich zbyt głośna rozmowa i ustawiczne wybuchy śmiechu, rozlegające się głośnym echem w pustej sali. Nie mając nic innego do roboty, drwili ze starego zezowatego »camcriere«, który znosił to z wielkim spokojem.

Tymczasem wszedł nowy gość, który zwrócił na siebie uwagę i obu młodzieńców i Francuzów, a zwrócił ją, raz dlatego, że w tej stronie sali nikogo więcej nie było, a po wtóre, że wyglądał dość osobliwie. Był to człowiek lat około trzydziestu, szczupły, niewielkiego wzrostu, wygołony starannie, o rysach twarzy wybitnych, a zarazem jakby skamieniałych. Włosy nosił ówczesnym zwyczajem długie, związane z tyłu czarną wstążką. Oczy miał dziwnej barwy, zielonkawej, przypominającej śnieź na brzęcie.

Była to twarz prawie piękna, ale tkwił w niej jakiś skrzępy smutek i lodowaty spokój. Zdawało się, że jego wąskie, blade usta mogą tak wiecznie milczeć, jak milczą usta posągów. Przybrany był w długi, ciemno-czerechowy surdut i w czarne pończochy, co czyniło go podobnym do Anglika, a nawet do angielskiego księdza.

Wszedłszy, wniósł z sobą jakby zamróz, co odczuli zupełnie wyraźnie zarówno Cywiński i Marek, jak i oficerowie francuscy. Przy czym nie spojrzął na nikogo i, wydawszy ciche polecenie służącemu, wy dobył z kieszeni książeczkę i począł w niej coś notować.

Oficerowie wzięli go widocznie za Anglika i przypatrywali mu się bacznie, robiąc jednocześnie do siebie pocieszne miny. W chwilę później, huzar kichnął rozgłośnie, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

— Dostałem naraz kataru! — zawołał huzar. — Hej tam! jeszcze butelkę wina. Trzeba się rozgrzać. Czy czujecie, jak tu nagle ochłodziło?

— Brr! czujemy, czujemy — odpowiedział oficer od grenadierów. — Pamiętajcie Alpy! Nie zimniej było na świętym Bernardzie.

— Który oto przyszedł widocznie z wizytą do św. Antoniego.

— Z bryłą lodu w kapturze.

— Albo w żołądku.

— I oziębził nam trattorię.

— Do diabła! Zgasła mi fajka.

— Zapewne zmarł w niej ogień.

— Święty Bernardzie, zmiłuj się nad nami!

Ostatnie słowa zwrócone były już wprost do przybysza, lecz ów nie słyszał ich, lub udawał, że nie słyszy.

To podnieciło jeszcze oficerów.

— Święty Bernardzie, czyś głuchy? — zawołał młody huzar.

— Nawiało mu śniegu do uszu.

— Święty Bernardzie!

— Święty Gotardzie!

Tu nastąpił nowy wybuch śmiechu i nowe wyzywające spojrzenia, które z wesołych stawały się coraz bardziej nieprzyjemne, albowiem nienawiść do Anglików przechodziła wówczas wśród Francuzów wszelką miarę. Oficerom wydało się, że przybysz umyślnie nie zwraca na nich żadnej uwagi,

aby okazać im pogardę. Poczęli tedy przedrzeźniać Anglików i powtarzać pojedyncze angielskie wyrazy, przekręcając je najokropniej.

Na koniec dragon ukręcił gałkę z chleba i rzucił ją na nieznajomego. Młody gołowąsy huzar poszedł natychmiast za jego przykładem, ale obie gałki chybiły.

Na młodzieńczej twarzy Marka odbiło się przykre zdziwienie.

— Co im ten człowiek zawinił i czego oni od niego chcą? — zapytał cicho Cywińskiego.

A ów ruszył ramionami.

— Chcą awantury i jeśli to nie jest jaki kapłan, to ją znajdą.

Tymczasem trzecia gałka poleciała w stronę przybysza.

— Koledzy z jazdy gorzej strzelają od nas piechurów — ozwał się oficer od grenadierów. — Ot jak się powinno to robić!

I to mówiąc, wypuścił spomiędzy palców gałkę tak zręcznie, że trafił nią w czoło nieznajomego.

— Brawo piechota! — zawołałi trzej inni.

Lecz trafiony podniósł się, schował książeczkę z notatkami i począł ku nim iść. Twarz jego pozostała tak samo zimna, a oczy zamyślane. Nie śpieszył się, szedł powolnym krokiem, przy czym stało się coś dziwnego. Oto w sali powiało istotnie jakby mrozem. Jakieś nieokreślone, ciężkie wrażenie niepokoju ogarnęło nie tylko Marka i Cywińskiego, ale i wesołych przed chwilą oficerów. Rozmowa i śmiechy umilkły. W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko spokojne kroki nieznajomego, jak kroki przeznaczenia.

Oficerowie podnieśli się, przybysz zaś stanął przed nimi i począł mówić, nie podnosząc wcale głosu.

— Jestem kapitanem z legii polskiej, stojącej obecnie w Rimini. Nazwisko moje jest Jakób Ferdynand Bogusławski...

— Rodak! — zawołał, zrywając się z krzesła Cywiński.

Marek podniósł się także. Nadolski wspominał wprawdzie w Wenecji o tym, że Bogusławski ma wyjechać z Rimini,

chłopcę jednak nie przyszło nawet do głowy, że może spotkać go tak prędko.

Lecz Bogusławski spojrział na nich tylko przełotnie, po czym mówił dalej do oficerów, z coraz to większym naciskiem na każdym słowie:

— Poprzednio służyłem pod Masseną i biłem się pod Rivoli. Nie dałem żadnego powodu do zaczepki, ale rozumiecie panowie, że po tym, coście uczynili, rzeczy muszą pójść dalej.

Na twarzach wojskowych odbiła się wielka przykrość. Żadnemu ani do głowy nie przyszło, że mogą mieć do czynienia z kolegą oficerem, a do tego należącym do legii polskiej, dla której nieli szczerą sympatię i wysoki szacunek. Wymienili jednak kolejno swe nazwiska, po czym najstarszy wiekiem, grenadier, rzekł:

— Kapitanie, wzięśmy cię za Anglika. Jesteśmy w każdej chwili na twoje rozkazy, poczytujemy jednak za obowiązek oświadczyć ci w każdym razie, że zaszła pomyłka, za którą szczerze cię przepraszamy.

Rysy Bogusławskiego pozostały spokojne, lecz odpowiedział jakby z żalem:

— Jako żołnierze i ludzie honoru rozumiecie, że zniewaga była zbyt ciężka i że odpowiedzią na gałki chlebowe, mogą być tylko ołowiane.

— A zatem służymy ci obywatelu, natychmiast.

— I my również, jako świadkowie, a w razie czego i w inny sposób — zawołał, zbliżając się, Cywiński.

— Dziękuję wam, rodacy — odpowiedział po francusku Bogusławski. — Zwyczajem jest w armii, że, gdy sprawa między oficerami, świadkami bywają zawsze żołnierze...

Po czym do oficerów:

— Obywatele, jesteśmy w mieście, należącym do Austrii. Po spotkaniu sądziłby nas sąd austriacki, na co wraz ze mną nie zechcecie się zgodzić. Ale w Weronie forty za Adygą są jeszcze w rękach Francuzów, a ja prócz tego mam do komendanta zlecenie od mojej władzy. Jeśli woła, to udamy się

do Werony, a tam komendant wyznaczy świadków mnie i wam.

— Chcieliśmy, obywatelu, to samo ci zaproponować.

To rzekłszy podnieśli palce do kapeluszy i wyszli. Cywiński i Marek przedstawili się Bogusławskiemu, który uściskał im dłonie, po czym przysiadł się do ich stolika i rzekł:

— Raz jeszcze przepraszam waćpanów, że nie przyjąłem ich jako sekundantów. Jesteście ludzie młodzi i zapewne porywcy. Przy układaniu warunków, które, niestety, muszą być ciężkie, łatwo mogłoby przyjść do kłótni między wami a świadkami moich przeciwników. Wówczas sprawa przybrałaby charakter zajścia między Polakami a Francuzami. Tego trzeba uniknąć. Stosunek między naszą legią a armią francuską jest jak najlepszy i powinien taki pozostać. Ja zniewagi nie daruję jako Polak, i zapłacę za nią, albo ich krwią, albo życiem własnym, ale wystąpię tylko jako wojskowy, którego znieważyli inni wojskowi. W Weronie zażądam od komendanta fortu, by sam wyznaczył mi sekundantów, i oczywiście wyznaczy mi Francuzów. Wobec tego, co się ma stać, tak będzie lepiej.

Ostatnie słowa wypowiedział Bogusławski jakby ze smutkiem, ale drgała w nich i pewna groźba. Marek, patrząc na jego twarz, doznał wrażenia, że jest w niej coś nieubłaganego, i zrozumiał, że zajście z takim człowiekiem musi się źle skończyć dla niego samego, lub dla jego przeciwników. Uznając też za rzecz zupełnie słuszną, że kapitan chciał mieć świadków Francuzów, był z tego prawie rad.

Cywiński zaś rzekł:

— Mieliśmy i tak jechać do Werony, więc pozwolisz waćpan, że będziemy mu towarzyszyli w drodze.

Bogusławski zgodził się, po czym, dowiedziawszy się, że dążą do legii Dąbrowskiego, okazał im natychmiast więcej zajęcia i przychylności. Gdy oświadczyli, że dopiero przed kilku dniami przybyli do Włoch, jął ich wypytywać skwapliwie o to, co się w kraju dzieje.

Markowi kilkakrotnie przychodziła chęć powiedzieć mu, iż

ma dla niego polecenie i przesyłkę z kraju, kilkakrotnie imię Klarybelli zawisło mu na ustach, ale się powstrzymał, powodowany uczuciem litości i obawą, że gdy w tułacza uderzy ten nowy cios, wówczas straci zimną krew, straci panowanie nad sobą, może umyślnie narazi się na śmierć, a w każdym razie tym pewniej zginie. To też rad był, że nie zwierzył się z niczym w tej sprawie Cywińskiemu, który niezawodnie nie potrafiłby opanować wrodzonej żywości i nie powstrzymał porywczego języka.

Bogusławski wypytywał tymczasem dalej o Polskę, o stan umysłów w niej, o postępy rządów zaborczych, o znajomych ludzi o stosunki, słuchając błahych nawet odpowiedzi tak łakomie, że gdyby Cywiński i Marek mieli więcej doświadczenia, zrozumieliby, że to jest człowiek chory na ciężką nostalgię która toczy go jak robak drzewo, napełniając mu serce próchnem żalu i rozpaczy. Zrozumieliby także, jak taki desperat mógł być okropnie niebezpieczny, gdy lada kropla przelała kielich gorczy. Ale oni, nie zdając sobie z tego sprawy, chcieli raczej wiedzieć, czy i ten oficer podziela wiarę innych, że pokój w Campo Formio będzie krótkotrwały i że nowa wojna otworzy legionom drogę do Galicji. Bogusławski też, rozumiawszy w końcu, że nie dopyta niczego więcej o ludziach w kraju, zwrócił rozmowę na legię i na Włochy.

— W Rzymie źle się dzieje — rzekł. — Były rozruchy, w których zabito francuskiego generała Duphot. Dwór papieski odmówił satysfakcji, której Dyrektoriat zażądał, więc Józef Buonaparte, brat naczelnego wodza i nasz ambasador, opuścił wieczne miasto. Wiem to napewno, gdyż Dąbrowski dawał mu od Rimini eskortę. Legia nasza ma ruszyć za kilka dni do Rzymowi, a potem — mówią, że grozi wojna z Neapolem.

Na to Cywiński, który miał prosty, chłopski rozum, ozwał się z nieukrywanym żalem:

— A co nam, co Polsce z tego przyjdzie? Bo słyszałem to już i w kraju, i w Wiedniu i tu, że kto bije się za wolność narodów, ten służy tym samym Polsce... Ale, na mój głupi sąd,

to jest tak, jakby kto powiedział, że jeśli we Włoszech spadną deszcze, to i u nas nie będzie suszy. Gdzie Neapol, a gdzie Warszawa?

Bogusławski przyknął oczy i milczał, więc Cywiński, sądząc, że nie ma na jego pytania odpowiedzi, mówił dalej z coraz wzrastającym rozdrażnieniem:

— Co mnie Neapol? — Ja nie dla makaronu, jeno dla ojczyzny młodą żonę w Rudni porzucił.

Zdjęła go chwilowa niezmierna tęsknota, jaka zdejmowała go zawsze, gdy wspomniał Anusię.

I aż łzy zaświeciły mu w oczach.

— Miałem ci ją przy sercu wszystkiego dziesięć dni — mruknął.

Bogusławski otworzył oczy i począł patrzeć przed siebie w zamyśleniu.

— Każdy — rzekł — rzucając kraj, oddał kawał serca, więc to, co mu zostało i co ze sobą tu przyniósł, krwawi. Każdy zostawił drogą istotę, a nikt nie wie, czy je jeszcze w życiu zobaczy. Wojna nie rodzi ludzi, tylko ich gubi, a żołnierz jest jako ów pierścień, który doża wenecki rzucał w morze. Gdzie padnie, tam piasek go pokryje...

— Śmierć na obczyźnie, nie pociecha — mruknął Cywiński.

— Ja też nie chcę was pocieszać — odpowiedział kapitan — chcę jeno powiedzieć, że gdyście tu szli, toście wiedzieli, że idziecie na wojnę z nieprzyjaciółmi Francji i że możecie zginąć. Ale i w tym się waćpan mylisz, bo dla nas jest wszelako pociecha. Oto, gdy zginiecie wy obaj, gdy zginę ja, gdy zginą nas setki i tysiące, przyjdą po nas inni i polska siła się ostoi i legia nas przeżyje. Po świecie mówią: nie masz już Polski! a Polska tu jest. Nie było już wojska polskiego, a ono tu jest. I może Bóg da, że nie dziś to jutro, bagniet nasz przewierci przez Austrię drogę do ojczyzny. Rzeczpospolita francuska głosi pryncypia nie tylko nowe, ale tak przeciwne dawniejszym, że między nią a monarchiami musi być wojna na śmierć i życie. To siła rzeczy i nieuchronna konieczność.

A jeniuszowi i męstwu Francuzów żadna siła się nie oprze... My jeno po kościołach śpiewamy: »niech ustąpią z Testamentem nowym prawom już starzy«, a Francuzi nakazują to światu z armat. Tyraństwo musi ustąpić wolności, a wtedy ci z nas, którzy nie zginą, wrócą do kraju i odrestaurują ojczyznę.

— Dałby to Bóg! dałby to Bóg! — zawołał z zapałem Marek.

Bogusławski zaś tak po chwili milczenia mówił dalej:

— Na każdy czas muszą być inne sposoby, a teraz jest czas wojny. Trzeba tylko wytrwać, póki nie nadejdzie nasz dzień. Nic nam do Rzymu, nic do Neapolu, ale to jednak sprzymierzeńcy Austrii. Więc pójdziem, gdzie pójdą Francuzi, ale pójdziem pod naszym sztandarem, który okryjem sławą, a sławy nigdy nie możemy kupić zbyt drogo. Bo czy wiesz waćpan, co ona rozgłosi światu? Rozgłosi: »Jeszcze Polska nie umarła!« Świeżo Wybicki ułożył dla nas pieśń, która się od tych słów poczyna, i żołnierz śpiewa ją w obozie, śpiewa w pochodach, wśród trudów, nieraz o głodzie i krzepi nią swą polską duszę.

Marek i Cywiński słuchali ze wzruszeniem tych słów, gdyż odpowiadały one temu, co leżało na dnie ich serc, a zatem czerpali w nich otuchę i nadzieję. A czyniły tym większe wrażenie, że Bogusławski wypowiadał je widocznie nie pod wpływem chwilowego uniesienia, ale spokojnie, jak człowiek, który doszedł do tego, co mówi, przez głęboki ból i przez głębokie nad położeniem rzeczy rozmyślanie. Zrozumieli też i naukę z tych rozmyślań płynącą: że kto chce prawdziwie i całą duszą służyć, ten musi pokwitować z własnego szczęście, zaniechać wszelkich trosk o własne dobro, a służyć w tej myśli i w tej nadziei, że gdy go zasypią piaskiem tam, gdzie padnie, to jednak coś go przeżyje.

Więc Cywiński jakby chcąc się usprawiedliwić, rzekł:

— Gdybym ja nie był na wszystko gotów, tobym tu nie przyszedł, i Bóg da, że legia się mnie nie powstydzi, ale nie tęsknić trudno!...

— A któż waćpanu broni, i na co zdałoby się zabraniać — odpowiedział kapitan. — Tęskno wszystkim. Ot, teraz, gdy wiosna nadeszła, żołnierze kręcą z wierzby fujarki i, zamiast spać, grają nocami, jak u nas koniuchy na łąkach. Jeden gra, a drugi imaginuje sobie, że widzi tę wieś, w której się urodził, i płacze... Obaczycie to w obozie.

To rzekłszy, wstał i począł się żegnać, lecz, zanim się rozeszli, Marek, którego bliższa rozmowa z Bogusławskim chwyciła mocno za serce, rzekł:

— Kapitanie, chcielibyśmy służyć w batalionie i w kompanii, którą waćpan dowodzisz.

A ów uśmiechnął się i ruszył lekko ramionami.

— Zapominasz, kawalerze, że ja mogę nie wrócić z Werony.

— Oni waćpana niechybnie przeproszą i Bóg da, że się ta sprawa załagodzi.

Na to ożywiona nieco poprzednio twarz Bogusławskiego stała się znów jakby kamienna.

— Nie chcę — rzekł — by ten pojedynek zrodził między dwoma wojskami niezgodę, ale waćpanom powiem prywatnie, że kto polskiego oficera znieważy, ten musi albo go zabić, albo sam krwią zniewagę przyplaci.

III.

W forcie werońskim zgromadziło się wielu oficerów wszelkiej broni. Pojedynki między wojskowymi były wówczas rzeczą aż nadto zwykłą, wszelako pojedynek jednego przeciw czterem wzbudził powszechne zaciekawienie. Wiedziano o nim od rana, albowiem Bogusławski już się był widział z pułkownikiem komendantem i, spełniwszy polecenie, jakie miał od swej władzy, opowiedział o zajściu w Padwie i prosił go o wyznaczenie sekundantów Francuzów. Komendant, któremu to pochlebiło, zgodził się chętnie na prośbę kapitana i wyzna-

czył mu dwóch oficerów artylerii, a dwóch innych jego przeciwnikom.

Kwiatkowski i Cywiński zjawili się w forcie tylko jako przygodni znajomi Bogusławskiego i naoczni świadkowie zajścia.

Przyjęto ich z uprzedzającą grzecznością. Widoczne było, że to rzucanie gałek chlebowych na oficera nie podobało się Francuzom i że sympatie ich przechylały się raczej na stronę pokrzywdzonego. Komendant nie czynił też tajemnicy z tego, że ów pokrzywdzony był obywatelem francuskim, że służył poprzednio w armii Masseny i że po bitwie pod Rivoli otrzymał szpadę honorową od Dyrektoriatu. Życzono sobie, by spotkanie nie było zbyt krwawe i by skończyło się na jakich lekkich ranach. Jednakże skupiona a zimna twarz polskiego legionisty i jego spokój napępiały serca pewną obawą; znać bowiem było, że to jest człowiek, który awantur nie szuka, ale który, zaczepiony i zelżony, nie poprzestanie na byle jakim zadośćuczynieniu. Cywiński i Marek odczuwali również, że jest w nim jakby coś żelaznego i jakaś taka siła, która, raz poruszona, działa nieubłaganie. Jednakże na czole jego nie było żadnej zmarszczki gniewu i nie tylko na oficerów, zgromadzonych w forcie, ale nawet i na przeciwników spoglądał prawie obojętnie.

Marek myślał, że czyni go takim ciężka tęsknota i że, mając dość tułaczki, dość życia, może w duszy życzy sobie zginąć. Ogromny niepokój ogarnął obu chłopaków i zapierał im prawie dech w piersiach, tym bardziej, że obecnie stał przed nimi, nie człowiek cywilny, ale oficer polski w mundurze, taki, jakich Marek widywał w dzieciństwie i pod jakimi służył w czasie insurekcji w dziewięćdziesiątym czwartym roku Cywiński.

W bastionie, w obrębie pierwszego dziedzińca oficerowie utworzyli dwie grupy, w środku których przechadzał się z Bogusławskim pułkownik-komendant, stary żołnierz o poczciwej twarzy, o długich, jak u bociana, nogach, ale zbyt krótkim kadłubie i ramionach tak wysokich, jak u ludzi garbatych.

W rozmowie z kapitanem pochylał się ku niemu, co chwila zaś zatrzymywał się i, biorąc go za guzik, odzywał się głosem klarnetowym, w którym jedne wyrazy brzmiały zbyt głośno, drugie zbyt cicho. Widocznie czynił mu jakieś przedstawienia, na które ów potrząsał tylko głową.

W grupie bliżej bramy stali czterej oficerowie, którzy się nie mieli strzelać. Twarze ich nie zdradzały bynajmniej obawy; spojrzenia skierowane na przeciwnika były zuchwałe, lecz towarzysze, bliżej stojący, mogli odczytać w nich pewne zniecierpliwienie i jakby zawstyżenie, że postąpili względem człowieka, który im w niczym nie zawinił i który był ich kolegą wojskowym, nie tylko jak paliwody, ale i jak grubianie. Widoczne to było szczególnie na poblądłej nieco twarzy młodego oficerka od huzarów, który marszczył brwi, chcąc pokryć w ten sposób przykrość i pomieszanie.

Dzień, jak często zdarza się we Włoszech, był niezmiernie wietrzny i zginał kity na kapeluszach. Cywiński, jako doświadczony myśliwy, wiedział, że przy takiej pogodzie trudno jest trafić nawet ze strzelby, która przecie opiera się silnie o ramię, a cóż dopiero z pistoletu, gdy uderzenia wichru szarpną za rękę i lufę. Przypuszczał więc, że strzały będą chybione. Komendant i inni oficerowie podnosili także oczy ku obłokom, przelatującym po niebie, jak spłoszone tabuny koni. Tymczasem z drugiego, przyległego dziedzińca wyszli sekundanci, którzy odmierzali tam płac i metę. Na ich widok pułkownik pochylał się, nad Bogusławskim i począł mu znów coś mówić swym klarnetowym głosem. Lecz Cywiński i Marek spostrzegli, jak ów potrząsnął po raz ostatni głową na znak przeczenia i, uściskawszy podaną mu rękę skłonił się świadkom.

Ci zaś rozdzielili się na dwie pary, z których jedna zatrzymała się przy Bogusławskim. Wówczas siwy oficer piechoty, z plastrem na lewym oku, rzekł:

— Obywatele, prosimy z sobą.

Potem ruszyli ku bramie, która wiodła na ów mniejszy, przyległy dziedziniec.

Bramę zamknięto za nimi natychmiast. Rozmowy w grupach oficerskich umilkły. Marek pobił tak bardzo, że pułkownik, który miał może syna w jego wieku, zbliżył się ku niemu, położył mu rękę na ramieniu i zapytał z dobrocią:

— Czy to twój bliski krewny?

— Tyłko rodak — odpowiedział Kwiatkowski. — Poznaaliśmy się dopiero w Padwie i byliśmy, ja i mój towarzysz, świadkami zajścia, do którego kapitan nie dał najmniejszego powodu.

— Wiem. Przyznali to i jego przeciwnicy. Licho to wszystko nadało... ale teraz nie ma rady!

To rzekłszy, zwrócił wzrok ku bramie. Oczy wszystkich były również w nią utkwione, jedne z niepokojem, drugie z niecierpliwością. Nastąpiła chwila oczekiwania, która obu młodym ludziom wydała się długą jak wieczność. Pułkownik wydobyl zegarek i począł głośno rachować. Kilku oficerów poszło za jego przykładem.

Lecz nie doliczyli jeszcze do dziesięciu, gdy gruchnął strzał, odbijając się przeciągłym echem w kamiennych załamaniach fortu. Potem, nim zgromadzeni zdolali spojrzeć po sobie, rozległ się drugi.

Marek drżał teraz, jakby go chwyciła febra. Do głowy cisnęło mu się pytanie za pytaniem. Kto strzelał pierwszy? Kto drugi? Czy nastąpią dalsze strzały? I myślał, że jeśli nastąpią, to będzie okropne, jeśli zaś nie, to brama otworzy się na chwilę i wyniosą Bogusławskiego. Tak więc, można być żełżonym, a następnie zabitym? Na tę myśl serce chłopca zawrzało oburzeniem, goryczą i gniewem. Opanowała na nagła i paląca chęć wyzwać na wypadek śmierci kapitana tych samych oficerów i pomścić rodaka, lub zginąć. Oczekiwanie, dłuższe jeszcze niż poprzednio, stało mu się po prostu męką. W tej chwili jednak Cywiński zwrócił się ku niemu i począł mówić z cicha:

— Gdyby był zginął, jużby otwarto bramę i tamci zarazby wyszli. To kapitan strzelił drugi i strzelił celnie. Nabijają pistolety. To będzie zaraz...

Jakoż nie skończył jeszcze mówić, gdy runął trzeci strzał, a po nim czwarty.

— Dwóch! — zawołał Cywiński.

Nastąpiła po raz wtóry chwila niepewności. W dziedzińcu, wśród zgromadzonych oficerów podniósł się szmer głosów, ale zgłuszył go wiatr, który zerwał się nową siłą, zawył w blankach, porozpraszał żołnierską bieliznę suszącą się na sznurach pod murami, i podniósł tuman białego kurzu ze szpar w kamiennych płytach. Brama, wiodąca do mniejszego obrębu, w którym odbywał się pojedynek, pozostała zamknięta. Ogromny i nieznośny niepokój zaciężył kamieniem na wszystkich piersiach. Oficerowie nie mogli ustać na miejscu i wśród poświśtów wiatru słyhać było brzęk ostróg kawaleryjskich.

Zagrzmiał piąty wystrzał, a za nim szósty.

Zrozumiano teraz, że ofiarą spotkania padają oficerowie francuscy. Twarz pułkownika spoważniała. Inne skurczyły się i zmierzchły również, tym bardziej, że przelatujący obłok przesłonił na chwilę słońce i pokrył mrokiem cały dziedzińec.

Rozległ się siódmy strzał.

Wszystkie głowy zwróciły się ku bramie. Pułkownik podniósł znów szybko zegarek do oczu. Poprzednio, po każdym pierwszym strzale drugi następował bardzo szybko, tym zaś razem sekunda płynęła za sekundą w głuchej ciszy i wśród niecierpliwości ludzkiej tak napiętej, że prawie graniczącej z bólem.

Lecz po upływie niespełna minuty huk wystrzału targnął znów powietrzem i potoczył się złowrogim echem wzdłuż murów.

— Osmy! — zawołał jeden z oficerów.

A drugi odpowiedział jednocześnie:

— To nie pojedynek, to egzekucja.

Pułkownik popatrzył przez chwilę na mówiącego, zmarszczył brwi i rzekł:

— Proszę się liczyć ze słowami.

Potem skierował się ku mniejszemu dziedzińcowi, ale wtem otworzyła się wiodąca do niego furta i ukazał się Bo-

gusławski, a za nim dwaj jego sekundanci, bladzi jak płótno. Kapitan szedł wolno, bardzo posępny, ale z kamiennym spokojem na twarzy. Zapadła cisza tak grobowa, że słychać było każdy jego krok na granitowych płytach. Zbliżywszy się do oficerów, na których czele stał pułkownik, podniósł palce do czoła i salutował.

Odsalutowali mu wszyscy, on zaś wśród tej samej ciszy uściśnął dłonie swym świadkom, a następnie skierował się ku wyjściu ¹⁾).

Cywiński i Marek udali się za nim. Warta przy głównej bramie sprezentowała broń i po chwili znaleźli się na zewnątrz fortu.

Tymczasem starszy z sekundantów stanął przed pułkownikiem i meldował:

— Dwóch zabitych, trzeci śmiertelnie ranny, ostatni obie nogi przestrzelone.

— Kto zabity, kto ranny?

Sekundant począł cytować nazwiska.

— Jak się wszystko odbyło?

— Kapitan, po zabiciu pierwszego przeciwnika, oświadczył, że poprzestanie na przeproszeniu przez trzech pozostałych, ale oni nie chcieli się na to zgodzić.

— Rozumie się. Co dalej?

— Dalej, wytrzymał każdy pierwszy strzał i czterokrotnie strzelał drugi.

— Tak. Inaczej nie byłoby ośmiu strzałów.

— Straszny człowiek — ozwał się stary major od saperów.

Wszyscy udali się teraz na plac spotkania, gdzie okrutny widok uderzył ich oczy. Oficer od grenadierów, ten, który Bogusławskiego trafił gałką chlebową, leżał na wznak, z rozkrzyżowanymi rękoma, z raną na czole powyżej prawego

1) Pojedynek ten odbył się istotnie w Weronie, zgodnie z powyższym opisem.

oka. Drugi, huzar, trafiony w szyję, pławił się cały we krwi. Ten również zginął na miejscu. Trzeci, dragon, z przestrze-
loną wątrobą, żył jeszcze, ale konał w ramionach pułkowego lekarza, tocząc ustami żółtą pianę, oraz zamykając i otwierając na przemian dłonie, przybrane w białe, pokrwawione rękawiczki. Ostatniego pomocnicy lekarza ułożyli właśnie na noszach. Zdołano go już rozebrać i felczer obmywał gąbką jego obnażone nogi. Był to drugi huzar, najmłodszy wśród czterech. Pułkownik popatrzył z ogromną litością na jego młodzień-
czą, nadzwyczaj urodziwą twarz, pokrytą kroplami potu, i zapytał:

— Czy tego da się uratować?

— Może — odpowiedział drugi lekarz — ale służba jego skończona.

— Nieszczęsne dziecko!

Jakoż było coś okropnego w widoku tych ludzi pełnych przed godziną sił i życia, leżących teraz jak poćcinane pnie, a okropniejsze jeszcze było to, że legli nie na polu bitwy, nie w obronie ojczyzny, ale wskutek niczym nieusprawiedliwionej zaczepki i karczemnej burdy. Oficerów i pułkownika, gdy patrzyli teraz na te kaluże krwi, brała zarazem litość i gniew. Ach, nieszczęśnicy! co im przyszło do głowy i dlaczego rzucali chlebowymi gałkami w tego piekielnego człowieka, który ich pobił, jak piorun, a potem poszedł sobie, taki spokojny i zimny, jak gdyby nic nie zaszło. Jednak ten człowiek wytrzymał z niezmużonym okiem cztery pierwsze strzały i czterokrotnie nadstawił piersi, a przy tym chciał poprzestać na jednej ofierze. Nic nie można mu było zarzucić — zupełnie nic! Pułkownik i oficerowie czuli przy tym doskonale, że chodziło tu o honor wojskowy — i że gdyby którego z nich tak znieważono, to nie tylko zażądałby zadośćuczynienia, ale tak samo, jak ten polski kapitan, nie poprzestałby na innym, jak krwawe. Nikt tedy nie miał prawa wybiec za legionistą, zawrócić go i powiedzieć mu: »Nadstaw piersi jeszcze i na mój strzał!...« Ci ludzie lwiej odwagi i z żołnierskim poczuciem honoru,

rozumieli, że ścigać go, lub mścić się nad nim, byłoby rzeczą niegodną oficerów francuskich.

Lecz, że czterech towarzyszków leżało przed nimi w kałużach krwi, przeto nie mogli się obronić poczuciu, że stało się coś niemiłosiernego.

IV.

Bogusławski, Cywiński i Marek przeszli most San Pietra i znaleźli się na prawym brzegu Adygi. Przez całą drogę panowało między nimi milczenie, albowiem zaszło w nich coś takiego, czego nie umieli przewidzieć. W naturze polskiej tkwi nieprzebrane współczucie dla zwyciężonych, więc oto serca tych dwóch młodych chłopców, które przed chwilą jeszcze kipiały oburzeniem na krzywdę, wyrządzoną rodakowi, i drżały o jego życie, teraz odwróciły się od niego. Obaj nie wiedzieli wprawdzie, że kapitan, zabiwszy grenadiera, chciał na tym poprzestać, ale, na równi z oficerami francuskimi, wiedzieli, że pozwolił każdemu z przeciwników, by strzelał pierwszy. Rozumieli też i to, że, jako oficer legii polskiej, nie mógł puścić płazem obelgi, a jednak opanowała ich odraza do tego krwawego, milczącego człowieka, który, idąc obok nich, patrzył przed siebie zamyślonym wzrokiem, jakby już zapomniał, co się stało. Żaden z nich nie zadał sobie pytania, jakby był postąpił na jego miejscu, ale każdemu wydawało się, że idzie z nimi kat. Marek był tak zboląły, jakby padło nań osobiste nieszczęście, wszelako i Cywiński, lubo z natury zawadiaka, myślał ze wstrętem o tej krwi wytoczonej w kasztelu San Pietra.

Bogusławski odgadł, co się w nich dzieje, ale ani jednym słowem nie spróbował rozprószyć ich uczuć. Może zrozumiał, że one nie mogą być inne, a może i sam odczuwał pewną zgrozę. Milczenie poczęło im jednak ciążyć, a położenie stało się tak przykre, że najlepiej było się rozłączyć. To też, gdy znaleźli się w mieście, kapitan zatrzymał się i rzekł:

— Tu się rozstaniem, a obaczmy się zapewne dopiero w Rimini, więc żegnam waćpanów i dziękuję im za kompasję.

— Chodziło o rodaka — odpowiedział sucho Cywiński.

Pożegnali się zimno i mieli się rozstać. Marek jednakże zawałał się przez chwilę i zatrzymał odchodzącego.

— Kapitanie, proszę na słowo.

Bogusławski spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Słucham — rzekł.

— Mam dla pana kapitana zlecenie z kraju, dane mi na wypadek, gdybym go spotkał. Szczególny traf zrządził, że się to stało wcześniej, niżlim się spodziewałem, chociaż kapitan Drzewiecki wspominał, że możemy waćpana spotkać. O zleceniu nie chciałem mówić przed pojedynkiem, by waćpanu nie mącić myśli.

Cywiński, który o niczym nie wiedział, patrzył szeroko otwartymi oczyma na Marka. Bogusławski zaś rzekł:

— Proszę do mnie.

I po chwili znaleźli się w małym »albergo«, w którym zatrzymali się po przyjeździe do Werony. Tam Bogusławski zaprowadził Marka do swej stancji i, wskazawszy mu krzesło, sam siadł naprzeciw i czekał.

— Polecenie jest od panny Klarybelli Wyrozębskiej — rzekł Marek.

Na to kapitan wstał. Widoczne było, że całą siłą woli chce opanować wzruszenie, ale nie mógł zapobiec temu, by twarz jego nie stała się tak trupio biała i martwa, jak białe i martwe były twarze tych oficerów. Których dopiero co postrzelał. Przyszło nań przelotne, ale najzupełniej wyraźne widzenie, że nowina będzie zła, nieszczęsna, — i oto ten sam człowiek, który niedawno szedł z największą obojętnością na śmiertelną walkę, chwycił teraz dłonią za poręcz krzesła, aby się nie zachwiać na nogach, i zapytał dziwnie zmienionym, głuchym głosem:

— Masz waćpan list?

— Nie. Mam tylko tę obrączkę, którą panna Wyrozębska kazała panu oddać i powiedzieć mu, abys ją rzucił w morze.

To rzekłszy, podał kapitanowi obrączkę, a ów wziął ją i przez chwilę stał jakby ogłuszony.

Marek aż do tej chwili myślał, że w poleceniu panny Klarybelli jest tylko rezygnacja i głęboki smutek, teraz zaś dopiero zmiarkował, że może się ono wydać bezlitośne. Wrzucić obrączkę w morze — i nic więcej! Żadnego słowa pociechy, żadnego usprawiedliwienia, żadnego współczucia. Utopić razem z obrączką nadzieję, utopić marzenia, utopić wiarę, jednym zamachem odłamać przeszłość od terażniejszości, zostać z pustką w duszy i wytrącić sobie spod nóg podstawę życia, a wszystko na jeden rozkaz, przesłany przez obcego człowieka, — oto co zawierało owo lakoniczne polecenie.

Markowi przypomniało się teraz, co o panie Klarybelli mówił Kajetan, — i młoda, wrażliwa szczególnie na zawody sercowe jego dusza byłaby niezawodnie rozczuliła się nad losem legionisty, gdyby nie to, że w oczach kapitana błysnęło coś złowrogiego, a w stężałej jego twarzy odbiła się zimna, biała wściekłość. Niedoświadczony chłopak nie zmiarkował w pierwszej chwili, że jeśli on sam odczuwa bezlitość polecenia, to tym bardziej mógł wzburzyć się Bogusławski.

W przelotnej błyskawicy jego oczu zobaczył dla siebie groźbę, że zaś wiedział, z jak niebezpiecznym człowiekiem ma do czynienia, więc, zamiast skłonić się i odejść, wyprostował się i czekał.

Nastąpiło długie milczenie.

— Czy panna Wyrozębska wychodzi za mąż?

Ani w słowach, ani w tonie pytania nie było nawet cienia groźby, jednakże Marek odpowiedział hardo:

— Tak jest. Za mego stryja, szambelana Augusta Kwiatkowskiego.

— Kiedy... ślub?

— Może już był. Stryj jeździł po dyspensę do Warszawy.

Bogusławski usiadł i schylił głowę. Na czole i nad górną wargą wystąpiły mu gęste krople potu, a że siedział bez ruchu, twarz miał ciągle jednako bładą i oczy zamknięte, więc Markowi wydało się, że zemdał. Na ten widok, obejrzał się po

stancji za wodą, lecz, nie dostzegłszy jej, poskoczył żywo do kapitana i, potrząsając go za ramiona, jął wołać:

— Kapitanie! kapitanie!

A ów podniósł głowę i odpowiedział cicho:

— Mnie nic nie jest... Dziękuję...

I nagle Marek zobaczył w jego oczach coś takiego, czego nigdy nie widział w ludzkich twarzach: taki ból, takie męczeństwo, taką rozpacz, zwałczaną nadludzkim wyczerpaniem woli, że piersi zalała mu litość niezmierna. Zrozumiał, że ta obrączka z napisem »spes mea« była jedynym ogniwem, które łączyło żołnierza-tułacza z życiem, z przeszłością, z krajem — i jedynym źródłem nadziei. A teraz ogniwo zostało zdruzgotane, źródło wyschło, a słowa »spes mea« brzmiały jak zgrzyt szycerki. Zrozumiał również, że gdyby doniósł Bogusławskiemu o śmierci Klarybelli, to cios byłby mniejszy, albowiem po śmierci drogiej istoty tym bardziej się ją kocha, a po zdradzie tym boleśniej się nią gardzi. I jeszcze jedno, niezupełnie jasne, ale mocne poczucie zrodziło się w duszy chłopca, iż ten cios był dla tułacza i dlatego tak okropny, że przyszedł z Polski, za którą tęsknota toczyła tę twardą naturę, jak robak drzewo. Patrząc teraz na Bogusławskiego, mimo woli zadał sobie pytanie: »czymże są moje zawody w porównaniu z tą milczącą męką?« — i nie myślał już, że kapitan chce mu grozić, a natomiast ogarnął go żal taki, jakiego nigdy w życiu nie zaznał. Do oczu napłynęły mu łzy. Był młody, nieobyty w świecie, skłonny do wszelkich uniesień, nie bał się śmieszności, nie liczył się z niczym, więc pod wpływem tego żalu, nie zastanawiając się ani przez chwilę, jak będzie przyjęty taki objaw współczucia, rzucił się na szyję Bogusławskiemu i, objawszy go ramionami, począł powtarzać:

— Ja rozumiem! rozumiem! rozumiem!

A ów stropił się i cofnął. Był zbyt zamknięty w sobie, by dzielić się z kimkolwiek bólem, i zbyt dumny, by przyjąć od kogokolwiek jałmużnę litości. Człowieka w równym sobie wieku byłby niewątpliwie odsunął. Lecz widząc przed sobą pocziwe dziecko, które część jego niedoli chciało zagarnąć

we własne serce — wzruszył się, przycisnął z kolei Marka do piersi i trzymał go przy nich długo.

Po czym rzekł:

— Trzeba wytrzymać.

V.

Dwaj młodzi przyjaciele jechali z Werony, przez Mantuę, stamtąd zaś przez Modenę, albowiem kapitan Bogusławski odradził im podróż przez mokradła i febryczne mierzeje Ferrary. Kwaterujące w różnych miejscowościach bataliony polskie były już pościągane na południe, a miejsca ich zajęły tu i owdzie włoskie wojska cyałpińskie. Zdarzyło się zatem, że pierwszy oddział legionistów spotkali dopiero za Bolonią, w pobliżu Imoli. Było to po zachodzie słońca, przy zachmurzonym niebie i w czasie dżdżu. Dylizans włókł się pod górę, nogą za nogą, skrzypiąc i pobrząkując łańcuchem, którym przyprzężono konia, dodanego w C. S. Pietro di Emilia. Podróżni spali. Nagle rozbudzili się wszyscy, gdyż powóz stanął. Mocny głos przy drzwiczkach zapytał w języku włoskim, kto jedzie, i zażądał paszportów. Marek i Cywiński ujrzeli kilkadziesiąt postaci żołnierskich z karabinami, których lufy i bagnety tworzyły jakby ciemniejsze kresy na tle gęstego już mroku. Lecz, mimo ciemności, kwadratowe czapki żołnierskie zarysowały się wyraźnie, a gdy następnie jeden z żołnierzy zbliżył się z latarnią, której blask oświecił mundur oficera, Cywiński zakrzyknął:

— Nasi!

— A kto mówi? — zapytał oficer.

— Cywiński i Kwiatkowski.

— Skąd?

— Z kraju, ochotnicy do legionów.

— Witam waćpanów. Jestem Parys, kapitan z pierwszego batalionu grenadierów pod Białowiejskim.

Nastąpiły uściśnienia rąk, zwykłe pytania, co słychać w kraju, i dalsze objaśnienia. Cywiński znał oficera tegoż naz-

wiska z czasów wojny Kościuszkowskiej, lecz pokazało się, że kapitan pochodził z Parysów galicyjskich, a o innych nie słyszał. I Cywiński i Marek mieli dość jazdy w dylizansie, prosili więc, by im wolno było pójść z żołnierzami piechotą. Drobny deszcz nie wydał in się żadną przeszkodą. Parys rad gawędził i, ku wielkiej radości młodzieńców, powiedział im, że cały sztab legii, a mianowicie generałowie: Dąbrowski, Kniaziewicz i Wielhorski znajdują się chwilowo w Imoli, a z nimi batalion artylerii i dwa bataliony piechoty.

— Myśleliśmy, że złapiemy nasze wojska dopiero gdzieś pod Rzymem — mówił Cywiński — albowiem mówiono nam, że legia dostała rozkaz marszu na Rzym.

— Tak — odrzekł kapitan. — Idziemy tam zastąpić załogę francuską, a mianowicie te półbrygady, które buntowały się przeciw generałowi Massenie, a które generał Gouvion Saint-Cyr wysłał do Civita Vecchia i do Tulonu.

— To w Rzymie dowodzi Saint-Cyr?

— Nie. Przysłano go tylko do pokarania zbuntowanych. Przyjechał i pojechał. Potem był Brune, a teraz ma być Championnet.

— A w Rzymie będzie nasz Dąbrowski?

— Dąbrowski. Wojna z Napoleonem wisi na włosku.

— Słyszeliśmy. Ale dlaczego zatrzymaliście się w Imoli?

— Sztab nie tłumaczy nie tylko żołnierzom, ale i oficerom jak, co i dlaczego? Taki widać był rozkaz i basta!

— A wedle waćpanowego sądu?

— Były tu rozruchy i jeszcze są, a do tego podwójne, bo republikanie miejscowi brali się do księży, a chłopstwo w obronie księży do republikanów. W Imoli mieszka kardynał, który rad jest, że go nasz żołnierz osłania, gdyż naród tu dziki i obrońcy często nielepsi od nieprzyjaciół.

— To waćpan wraca z jakowejś wyprawy?

— Wysłali moją kompanię za San Pietro di Emilia, bo były wieści, że po wsiach między rzekami Idici i Savenną zbierają kupy chłopskie. Jakoż i były, ale to się przed nami

pochowało. Rozbroiliśmy kilkanaście wsi i wracamy. A spać się diablo chce i jeść też.

— Daleko jeszcze do Imoli?

— Za jaką godzinę będziemy. Pójdę zaraz z raportem mego szefa i przedstawię mu waćpanów.

— Chwała Bogu. Skończy się nasza podróż.

Rozmawiał, pytał i odpowiadał tylko Cywiński. Marek milczał, albowiem z radości nie mógł przemówić ani słowa. Spełniło się na koniec wszystko, czego pożądał i o czym marzył. Poczynał się dla niego zawód żołnierza. Oto siedzi wśród szeregu polskich piechurów, których miał zostać towarzyszem i bratem. W ciemnościach widział niewyraźnie ich kwadratowe czapki; majaczyły mu się ich twarze i oparte pochyło na ramionach karabiny. Przydrożne skały odbijały stłumionym echem krok oddziału mocny, ciężki i grzmiący, a tak równy, jak miarowe uderzenia jakiejś maszyny. Raz, dwa! raz dwa! Jakaż w tym siła, skupiona, żelazna zwycięska. Chłopiec poczuł się częścią tej siły. Szła jedna kompania — niewiele więcej nad sto chłopca, a jemu wydało się że to idą nieprzeliczone zastępy.

Pomyśleć, że ktokolwiek im się oprze, że oni nie złamią i nie zgniotą każdego nieprzyjaciela, który stawi czoło — to przecie niedorzeczność! Imię ich jest zwycięstwo. Marek, stosując swój krok do marszu żołnierzy, stąpał tak mocno, jakby chciał ubijać drogę, i szedł z namarszczoną brwią, z twarzą dumną, godną zwycięzcy i skutkiem tego niewypowiedzianie śmieszna, która dlatego tylko nie budziła wesołości żołnierskiej, że było ciemno.

Lecz tymczasem deszcz ustał i ze szczeliny wśród chmur wyrzał księżyc, prawdziwie włoski księżyc, przy którego świetle można tak prawie łatwo czytać, jak we dnie. Więc pojaśniały przydrożne, obrośnięte przypołudnikiem mury i ściany domów, omaściły się srebrem grupy cyprysów, a w szeregach rozblęły lufy karabinów i ostre kanty bagnatów. Z mroku wychyliły się nagle twarze żołnierzy, niby groźne jak sto diabłów, wąsate, twarde, a takie zarazem swoje, takie zna-

jome, tak bliskie, że obok dumy, pierś chłopca napełniła się niezmierną miłością. Z nimi żyć, z nimi chadzać ramię przy ramieniu dniem i nocą, z nimi cierpieć, z nimi umierać! Markowi nigdy nie było tak dobrze w życiu, jak w tej chwili. Uczuł taką ulgę, jaką uczuwa człowiek, który po długiej podróży i długich niepokojach odnajduje dom i spokój. Przyszła nań wreszcie potrzeba wyładowania tej dumy, radości i kochania. Chciało mu się, oto, rzucić na szyję tego polskiego kaprała, który maszerował obok niego, i rozplakać się na jego piersiach, a potem pytać i pytać wszystkich o ich życie, o ich dolę o ich troski i trudy, o ich żołnierską biedę, ale ponieważ nie wiedział, czy wolno mówić w szeregach, a czuł się już żołnierzem do szpiku kości, przeto hamował serce, hamował łyzy, hamował język i maszerował wciąż grenadierskim krokiem:

— Raz, dwa! raz, dwa!

Przed samą Imolą trafili na szyldwachów. Żołnierz, stojący jak słup na środku drogi, pochylił do ataku karabin i zawołał silnym głosem, który wśród ciszy nocnej rozgrzmiał jak srogą groźbą:

— Kto idzie?

— Wiara.

— Hasło?

— Raclawice.

Marka i te głosy napełniły nadością.

— O to, to wojsko! — pomyślał.

Minęli i drugą linię widet, po czym weszli do Imoli. Niebo wypogodziło się zupełnie. Wśród stojących bezładnie domów widać było wieże kościelne, a dalej ogromny gmach, którego kamienne ściany wydawały się przy blasku księżyca zielone. Szeregi złamały się. Parys wskazał ręką na ów gmach, w którym świeciło się w wielu jeszcze oknach.

— To pałac kardynalski — rzekł. — W nim kwateruje sztab i szefowie batalionów. Idę z raportem do mego szefa, a waćpanowie pójdźcie ze mną.

I po chwili znaleźli się w sporej stancji, ale prawie pustej, gdyż, prócz łóżka, stołu i paru krzeseł, nie było w niej

żadnych innych mebli. Szef Białowiejski siedział za stołem i przy dwóch świecach przeglądał księgę, podobną do gospodarskiego rejestru. Na widok kapitana, który, przyłożywszy palce do daszka, stał wyciągnięty jak struna, nie przerwał wcale tej czynności, tylko, rzuciwszy krótkie »zaraz«, pochylił głowę i kończył coś cicho rachować, marszcząc przy tym brwi i przymykając oczy.

Był to młody jeszcze człowiek, niezwykle szeroki w ramionach, przystojny, o którym można było rzec, że nazwisko swe, a przynajmniej pierwszą jego połowę nosi całkiem odpowiednio, albowiem rzęsy i włosy przy skroniach miał prawie zupełnie białe i takiż porost na rękach. Surowa twarz jego wyrażała wielkie skupienie. Chwilami szeptał do siebie, dotykając piórem palców lewej ręki. Trwało to kilka minut. Po czym podpisał kolumnę cyfr — podniósł głowę i, zwróciwszy się do kapitana, który stał wciąż wyprostowany, rzekł suchym, rozkazującym głosem:

— Raport!

Parys, z palcami przy daszku, począł mówić. Wymienił z kolei nazwy kilkunastu wsi i zdał dokładnie sprawę z tego, co w każdej czynił. Z raportu okazywało się, że rozruchy ustały, okolica jest spokojna i że, wobec rozbrojenia chłopstwa, nie należy przewidywać nowych niepokojów.

Białowiejski zadał jeszcze kilka pytań co do zabranej broni i furazu, pytał zaś ciągle tym samym krótkim i ostrym głosem, jakby chciał zbadać, czy kapitan spełnił dokładnie polecenia i nie dopuścił się jakiego przekroczenia. Uderzyło to nie mile Marka, a już całkiem zrobiło mu się nieprzyjemnie, gdy szef wskazał na nich niedbale piórem i zapytał:

— Co to za jedni? Aresztanci?

— Nie — odpowiedział Parys. — To rodacy, ochotnicy.

— A? — rzekł Białowiejski — witam!

Po czym położył pióro.

— Skończone — rzekł.

I, zbliżywszy się z wesołą twarzą do kapitana, który w tej chwili przestał salutować, zapytał całkiem innym tonem:

— Zmachales się Józefie, co?

— Dosyć. I głodny jestem, jak wilk — odpowiedział poufale Parys.

— Umizgnij się do kucharza kardynała. Znajdzie on zawsze jaki pełny rondel.

— A ty już po kolacji?

— Tak. Przedstaw mi rodaków i zmykaj.

Marek, nie mając pojęcia o dyscyplinie wojskowej, nie mógł przez chwilę ochłonąć ze zdziwienia, że ci sami ludzie, którzy przed chwilą zachowywali się jak podwładny i zwierzchnik, rozmawają teraz jak koledzy i przyjaciele. Ale tymczasem kapitan Parys, wymieniwszy ich nazwiska, pożegnał się i poszedł do siebie na wieczerzę i wypoczynek. Białowiejski zabrał Marka i Stanisława do kwatery głównodowodzącego. Godzina nie była jeszcze późna i generałowie wrócili dopiero co od kardynała, który rad gawędził z nimi wieczorami. Podczas gdy szef powtarzał wodzom raport kapitana Parysa, Marek mógł się im dobrze przypatrzeć, ale tak był wzruszony i zmieszany ich widokiem, że émiło mu się w oczach. Miał poczucie, że dotychczasowe jego życie było jeno marną nicością, niewartą jednej myśli, ani żadnego wspomnienia — i że teraz dopiero zaczyna się nowa ogromna epoka, w której na początek otwierają się przed nim podwoje historii i zarazem epepei. Poniekąd było to prawdą, albowiem chłopiec stanął istotnie po raz pierwszy w życiu przed postaciami, należącymi do historii. Oganiało go coraz większe wzruszenie. Buonaparte był dla niego dotychczas tylko echem i przedstawiał mu się, nie jako rzeczywista istota, ale jak jakiś olbrzymi duch, rozpościerający skrzydła nad ludzkimi dziejami. Lecz po Buonapartem, ci wodzowie byli wedle jego pojęcia największymi ludźmi na świecie, których każdy ruch powinien być uroczysty i wspaśniały, a każde słowo wiekopomne. Nie chciało mu się w głowie pomieścić, że te nadzwyczajne istoty mogą chodzić rozmawiać, jeść i spać jak zwykli ludzie. To też z pewnym zdziwieniem, którego nie umiał sobie jasno uświadomić, spostrzegł, że Dąbrowski ma rozpięty mundur i kamizelkę,

a Kniaziewicz pyka z krótkiego cybuszka i, podnosząc głowę do góry, puszcza spod wąsów od czasu do czasu kółka z dymu. Mimo wzruszenia, poznał jednakże ich obu: Dąbrowskiego po rozrosłej postaci, dużej, mięsistej twarzy i grubym nosie, Kniaziewicza po wzroście tak wielkim, że mógł uchodzić za olbrzyma. Widywał zresztą poprzednio przedstawiające ich ryciny. Trzeciego generała nie znał, lecz wiedział od Białowiejskiego, że to jest Wielhorski. Obok nich zobaczył też i Drzewieckiego, który już był wrócił z Wenecji — i widok jego dodał mu pewnej otuchy, zapewne jako dowód, że zwykły oficer może żyć i nie czuć się zmiażdżonym między tymi wielkościami.

Prócz trzech generałów i Drzewieckiego był jeszcze obecny w sali piąty wojskowy, przybrany w polski mundur adiutanta, ale z twarzą tak niepolską, że obaj młodzieńcy wzięli go za Włocha lub Francuza.

Drzewiecki przywitał Cywińskiego i Marka bardzo przyjaźnie, a gdy Białowiejski skończył swą relację, zwrócił się do generałów i rzekł:

— To są moi znajomi z Wenecji, pan Cywiński i szambelaniec Kwiatkowski, którzy chcą wstąpić w nasze szeregi jako prości żołnierze.

Marek tak był onieśmielony, iż nie zdobył się na sprostowanie, że nie jest szambelanem, a nie zdobył się jeszcze i dlatego, że Dąbrowski kiwnął w tej samej chwili nowoprzybyłym swą ogromną głową i rzekł:

— To jest dobrze i chwałę to młodzieńcom. Z oficerami nie mam co robić.

Drzewiecki pośpieszył objaśnić, co znaczyły te słowa. Oto z trzech zaborów, po upadku insurekcji, przedarło się do Włoch już tylu dawnych oficerów Kościuszkowskich, że nie było ich gdzie umieścić. Wielu służyło w stopniu podoficerów, a nawet kaprałów — lecz dla innych zbrakło i takich stopni. Niektórzy przedarli się przez Niemcy, a nawet, pod groźbą haniebnej śmierci, przez Austrię, piechotą i o ostatnim groszu, a że rząd cyzalski nie wypłacał dla nadliczbowych żołdu,

przeto wielu zносиło ciężką biedę, w której ratowali ich koledzy, ustępując im pół lenugu i pół racji. Było jednak tego za mało. Wogóle i w wojskach francuskich i w polskich panowała bieda, albowiem francuskie okradali przysyłani przez Dyrektoriat komisarze, a polskim rząd cyzalski, sam ubogi, jak mysz kościelna, wypłacał żołd zawsze z opóźnieniem, a nigdy całkowicie. Dąbrowski, osobiście i przez Konopkę, który zawiadował polskim »dépôt« w Mediolanie, wykołatał z wielkim trudem nowe umundurowanie dla legii, ale brakło torb, zaprzęgów dla artylerii, obuwia i wielu niezbędnych rzeczy, a przede wszystkim pieniędzy w kasach pułkowych. Z tego względu dostatni, a nawet wykwintny ubiór dwóch nowych ochotników, który zwiastował, że choćby z czasem zostali oficerami, to nie będą pukać zbyt gwałtownie to drzwi skarbnika, dobrze o nich uprzedził. Dąbrowski poznał w nich odrazu ludzi wyższego towarzystwa, to też rad był z nich widocznie, więc, jakkolwiek mieli zaciągnąć się do szeregów jako prości żołnierze, nie miał za złe Białowiejskiemu, że ich do kompanii przyprowadził. Póki nosili cywilne ubranie, nie było w tym przekroczenia subordynacji.

— Do jakiej broni chcecie? — zapytał Cywińskiego.

— Ja służyłem w jeździe — odpowiedział Stanisław — ale ponieważ legion nie ma jazdy, więc tymczasem wstąpię do piechoty i mój towarzysz także.

Na to olbrzymi Kniaziewicz wypuścił parę dymnych kótek i ozwał się swym tubalnym głosem, spoglądając na wdzięczną postać Marka:

— Towarzysz acana więcej na pannę niż na żołnierza wygląda. Ej-że, czyś tu nie przywiózł jakiej przebranej dziewczyny?

Marek zwrócił ku niemu zapłonioną twarz.

— W czasie insurekcji — rzekł — uciekłem ze szkół do wojska, ale mnie odesłano z powrotem, gdyż miałem dopiero dwanaście lat.

— I zapewne poznałeś się z dyscypliną, jeśli nie z wojskowa, to z księżą. A karabin udźwigniesz?

— Wolę pod nim paść, niż go nie nosić.

— Dobrze, dobrze, dzielna odpowiedź.

— Dobrze — powtórzył Dąbrowski. — Mój syn jest od niego młodszy, a służy. Będzie z ciebie fizylier, jak się patrzy. Do którego chcesz batalionu?

Marek już ochłonął, więc skłonił się i odpowiedział pewniejszym głosem:

— Jeśli łaska, obywatelu jenerale, chcielibyśmy służyć pod kapitanem Bogusławskim.

— Pod twardą pójdziecie rękę ale to tym lepiej. Czy to wasz znajomy?

— Poznaliśmy go w Padwie i towarzyszyliśmy mu do Werony, gdzie miał pojedynek z czterema oficerami francuskimi.

— Znowu! — zawołał Dąbrowski.

Wiadomość poruszyła wszystkich. Dwaj jenerałowie zbliżyli się do Dąbrowskiego i Kniaziewicz zapytał:

— No i co? i co?

— I wszyscy czterej pozostali na placu.

— Zabici?

— Trzech. Czwarty ranny, pono śmiertelnie.

— Aj! — rzekł krzywiąc się Dąbrowski. — Sekundowaliście mu?

— Nie. Zażądał od komendanta fortu, by mu wyznaczył świadków Francuzów.

— Powiadaj, jak było.

Marek zaczął opowiadać wszystko, począwszy od zajścia w Padwie. Jenerałowie słuchali z widocznym zakłopotaniem, a nawet z przykrością. Chodziło im o to, o co w swoim czasie chodziło i Bogusławskiemu by przyjazne dotychczas stosunki między dwoma wojskami nie zmieniły się w obopólną nienawiść. Gdyby podobnymi uczuciami przejęły się wyższe władze francuskie, mogłoby to wpłynąć wprost na los legionów — nie mówiąc już o tym, że wzajemna niechęć zrodziłaby na pewno nowy szereg kłótni, zajść i pojedynków.

— Francuzom brak oficerów, a tu naraz czterech! —

mruknął Kniaziewicz. — Buonaparte nie darowałby tego Bogusławskiemu.

— Dobrze zrobił, że prosił o sekundantów Francuzów — zauważył Drzewiecki.

Dąbrowski miał twarz chmurną. Po chwili rozczesał palcami swą bujną jak lwia grzywa czuprynę i rzekł:

Ludzie, którzy służą wolności, mordują się między sobą jak wrogowie. Plaga w obu armiach te pojedynki, plaga!

Na to ów wojskowy w mundurze adiutanta, którego Cywiński i Marek wzięli za Włocha lub Francuza, ozwał się najczystsza polszczyzną:

— Ale co Bogusławski miał zrobić? Czy miał pozwolić, by w polskiego oficera rzucano bezkarnie gałkami z chleba?

— Tremo ma słuszność — potwierdził jenerał Wielhorski. — Co miał Bogusławski zrobić?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc nastąpiła chwila milczenia.

Przerwał ją Drzewiecki:

— Nad Bogusławskim ciąży jakieś fatum — rzekł. — Człowiek zamknięty w sobie, cichy melancholik, surowy a nawet nieubłagany dla siebie i dla żołnierza na służbie, ale łagodny poza służbą, miał już kilkanaście pojedynków w życiu, choć nigdy nie dał do żadnego najmniejszej okazji. Coś w nim jest takiego, do czego czepiają się wszyscy awanturnicy.

— I źle na tym wychodzą — rzekł Białowiejski. — On-że to, parę lat temu, postrzelił ciężko w Warszawie znanego szufera Chadzkiewicza, który miał nie wiem ile pojedynków w życiu i, jak wiadomo, własny cmentarz... Bogdaj nawet, czy się z tego postrzału wygrzebał.

— Pan Chadzkiewicz żyje! — zawołał Cywiński. — Wrobił nam paszporty od Fawratha i jechaliśmy z nim razem aż do Wiednia, a z Wiednia ma przyjechać do Włoch.

Dąbrowski skrzywił się znowu i spojrzał podejrzliwie na Cywińskiego.

— A czyście czasem nie z jego szkoły? — zapytał.

— Jakto? Nie rozumiem, jenerale.

— Czy nie należycie do jego domowników, do jego towarzystwa, do jego przyjaciół, albo do jego gry?

— Poznaliśmy go tej zimy u prymasa, po czym ułatwił nam wyjazd z Warszawy. Przedtem nie widzieliśmy go na oczy.

Tyle było szczerości w słowach Cywińskiego, że Dąbrowski rozpogodził się i rzekł:

— To lepiej. Strzeżcie się tego człowieka.

Po chwili zaś dodał:

— I niech Bóg ustrzeże od podobnych ludzi nasz kraj.

VI.

Marek stał jako sztydwach przy drzwiach ogrodowych, gdy w głębi alei cyprysowej obaczył jenerała Dąbrowskiego w towarzystwie nieznanego człowieka, który, idąc, wspierał się dłonią na jego ramieniu. Obaj zbliżali się zwolna, zatrzymując się co chwila dla rozmowy. Nieznajomy przybrany był w czarny frak z białym żabotem, w czarne jedwabne spodnie do pończoch i w trzewiki ze srebrnymi klamrami, a na głowie miał fioletową czapkę. Chłopcu przyszło do głowy, że to może być kardynał Chiaramonti, któżby bowiem inny ośmielił się opierać z taką poufałością na ramieniu jenerała. Dziwiło go jednak ubranie, albowiem słyszał, jak oficerowie mówili między sobą, że ów był poprzednio zakonnikiem Benedyktynem, a po wtóre, kardynała wyobrażał sobie zawsze w czerwonym kapeluszu i czerwonej aż do ziemi szacie. Gdy byli już blisko, wyciągnął się jak struna i sprezentował broń.

Nagle jego ruchy ściągnęły uwagę nieznanego, który zatrzymał na nim dłużej wzrok, po czym zwrócił do jenerała i ze zdziwieniem zapytał:

— Takich-że to młodzianków macie w szeregach?

— To żołnierz-ochotnik, Eminencjo, który kilka dni temu zaciągnął się do legionu.

Na to kardynał uśmiechnął się z niewysłowioną dobrocią i odpowiedział po włosku:

— Jest żołnierzem, ale zaprawdę mógłby być i cherubinem...

Marek stał wciąż wyprostowany, nieruchomy, tylko pod spojrzeniem tych mądrych i dobrych oczu twarz zapłonęła mu się jak róża.

A kardynał rzekł jeszcze, jakby ze smutkiem:

— Musi zaś krew rozlewać...

Po czym wszedł przez otwarte drzwi do pałacu, ale, przechodząc, podniósł dłoń w górę i uczynił nad młodym żołnierzem znak krzyża.

Dąbrowski udał się za nim, Marek jednak usłyszał jeszcze, jak mówił po francusku do kardynała:

— To dziecko z dobrego domu...

Nie było to jednak ostatnie spotkanie Marka z przyszłym Piusem VII. Kardynał pokochał był szczerze Dąbrowskiego i jego oficerów, którzy prawie wszyscy umieli po łacinie — i przede wszystkim tych polskich żołnierzy wąsatych, groźnych, pozornie strasznych, a tak dobrotliwych, że po kwąterach małe Włoszeta włożyły im nie tylko na kolana, ale i na karki. Nie mógł się też oddziwić, że ta legia, że ci sami żołnierze, którzy służą bezbożnej rewolucji, obalają księżęta i królików włoskich, a za parę dni mają ruszyć na Rzym, chodzą na msze i na nieszpory, spowiadają się po polsku włoskim księżom, a na jego widok, o ile nie są na służbie, klękają z daleko większą pokorą, niż mieszkańcy Imoli. Sprzeczności te i przeciwieństwa były stałym przedmiotem rozmów i dyskusji między nim a jenerałami. Otaczano go jednak ogromnym szacunkiem, że zaś wśród zaburzeń krajowych i wśród rozpętanych namietności czuł się za tym polskim płotem bagnatów bezpieczny, przeto lubił patrzeć na te bagnety i kiedy niekiedy chętnie brał udział w rewiach, na które zapraszali go jenerałowie.

Tak też zdarzyło się, gdy miał miejsce przegląd trzeciego batalionu pod szefem Małachowskim. Zapowiedziano, że legia ma już wkrótce wyruszyć. Kardynał chciał zarazem wiarusów

pożegnać. Zebrały się też, jak zwykle, duże gromady miejscowych mieszkańców, zawsze ciekawe oglądać tych żołnierzy, przybyłych z dalekiego kraju, o których męstwie rozprowadano niestworzone rzeczy. Batalion rozciągnął się długim szeregiem przed karetą kardynalską i przed sztabem, po czym rozpoczęły się manewry. Odwykli od służby wojskowej, Włosi podziwiali sprawność ruchów oddziału, który to rozpadał się na kompanie i plutony, to łączył się nagle w podobne do fortec czworoboki, to zmieniał się jakby w długie ramiona, zwracające się w prawo i w lewo z regularnością maszyny. Dzień był jasny. Żółte wyłogi na granatowych kurtach rozkwitły w słońcu jak kwiaty. W ciszy słychać było krzyki komendy w obcym dla Włochów języku, nabrzmiałe niepohamowaną energią. Gdy przyszło do udanego ataku i gdy tłum ujrzał ławę żołnierzy, pędzącą nań wprost z pochyłymi bagnietami, cofnął się w beładnej trwodze. Ale szereg stanął nagle przed sztabem jak wryty i stał nieruchomo, jak mur. Wówczas kardynał poznał pod kwadratową czapką zmęczoną twarz Marka i, zwróciwszy się do Dąbrowskiego, rzekł:

— *Ecco mio piccolo soldato.*

Po czym uśmiechnął się przyjaźnie. Widok młodego chłopca, dźwigającego ciężki karabin i przybory żołnierskie, wzbudził w nim litość i współczucie, gdyż po chwili dodał:

— *Povero, povero!...*

Tegoż zaś wieczora młody żołnierz otrzymał rozkaz sta wienia się przed eminencją. W sali, prócz kardynała, był tylko Drzewiecki, który przywiązał się do niego ogromnie i codziennie zdawał mu raport z tego, co się dzieje w okolicy. Chiamonti siedział w fotelu, opodal »brasero«, pełnego rozżarzonych węgli, gdyż pomimo, że słońce wiosenne ogrzewało już powietrze, bał się chłodu. Marek klęknął przed nim, a on położył mu swą białą, delikatną dłoń na głowie i począł mu mówić o Polsce, o gorącej wierze narodu i o krwi polskiej, przelanej w obronie krzyża przeciw poganom. Potem kazał mu sobie obiecać, że, wobec bezbożności i rozpusty, którą obaczy, zwłaszcza wśród wojsk francuskich, wiary dochowa i

pozostanie czystym, a wśród okrucieństw wojennych nie ztraci uczucia litości. Kilkakrotnie powtórzył: »Bądź litościwy, bądź litościwy« — a w końcu wyjął z koralinowej miseczki mały krzyżyk z czarną wstążką i zawiesił go na szyi Marka.

Marek, jeszcze w Róźycach, czytywał po śmierci księdza Lagrange'a encyklopedystów i wiara jego była podcięta, wyszedł jednak od kardynała z sercem, pełnym czci i rozrzewnienia. Uczuł się zarazem jakby wzmocniony i począł raźniej patrzeć w przyszłość. Trzeba mu zaś było jakowychś słów otuchy, albowiem upadał z wyczerpania i sam przed sobą nie śmiał wyznać, jak dalece ta służba, którą rozpoczął, była nad jego siły. Każdego wieczora karabin wypadał mu z rąk; nocami, wśród wyziewów spotniałego ubrania żołnierskiego, skwaśniałego wina i zapachu wygasłych fajek nie mógł spać. Po przebudzeniu się bolały go wszystkie kości, tak, że naciąganie kurty i lederwerków łączyło się z bólem fizycznym. Nogi nabrzmiały mu, a starcia na odparzonych podeszwach paliły go żywym ogniem. Chłopiec, wychowany w zamożnym, a nawet wykwintnym domu, nie miał po prostu żadnego pojęcia, co to jest służba prostego żołnierza w szeregu i koszarowe życie. Daleko silniejszy i zahartowany Cywiński był jakby u siebie w domu, dla Marka zaś wszystko łączyło się z niezmiernym wysiłkiem i prawie z męką. Szkodziła mu strawa żołnierska, raziły delikatne jego uszy grube rozmowy i śpiewy kamratów. Na ćwiczeniach, pod ciężarem karabina i torby, bywał bliski omdlenia. Nie skarżył się. Znosił swój los i trudy w milczeniu, lecz gdy czasem pomyślał, że przyjdzie mu tak służyć przez lata całe i maszerować z karabinem na ramieniu po całym świecie, to był pewien, że padnie na pierwszym lepszym gdzieś kamieniu i nie podniesie się więcej.

A przecież nie było jeszcze wojny, nie rozpoczęły się żadne pochody — i batalion jego, stojąc spokojnie w Imoli, prócz małych wypraw w okolice, odbywał tylko zwykłe ćwiczenia.

Towarzysze nie byli dla niego usposobieni nieprzyjaźnie — raczej przeciwnie. Rozniosło się, że generał Kniaziewicz

nazwał go »panną«, więc i oni nazywali go »panną«, ale to właśnie jednało mu pewną ich opiekę. Raz, w chłodną noc, Marek, zbudziwszy się spostrzegł, że sierżant Twardek okrywa go własnym płaszczem. Inni pomagali mu czyścić broń, wyręczali go, gdy przyszła jego kolej w zamiataniu izby, w rozpalaniu ognia, w noszeniu wody i kotłów. Ujmował ich wprawdzie życzliwością, i datkami z dobrego serca na »tabak« i wino, jednakże nie czynili tego tylko dla datków. Był prostym żołnierzem — »gemajnem«, tak samo jak oni, ale ci ludzie spod strzech chłopskich czuli, że to »nie je to samo« i że to jest polski panicz »ze dwora«.

Od oficerów nie doznawał również przykrości. Oczywiście, póki nosił frak i biały żabot, rozmawiał z nimi jak z ludźmi ze swego towarzystwa, obecnie zaś stosunek się zmienił. Marek zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że tak być powinno i musi, a jednak w głębi duszy odczuwał pewną przykrość, że ten sam Parys, Białowiejski lub Drzewiecki patrzą na niego teraz inaczej, mówią do niego inaczej — i wydają mu rozkazy, których on musi słuchać wyprostowany, z dwoma palcami przy daszku czapki.

I niekiedy zdawało mu się, że zaznaczają tę różnicę umyślnie, a tymczasem oni byli aż nadto dla niego pobłażliwi, zwłaszcza od chwili, w której pobłogosławił go i obdarzył krzyżykiem kardynał Chiaramonti.

VII.

Z Imoli bataliony polskie wróciły do Rimini, stamtąd zaś miały iść ku Rzymowi. Niektóre poszły wprost w dół ku Pesaro i Fano, ku Ankonie. Trzeci batalion, w którym służyli Marek i Cywiński, wymaszerował do Urbino, skąd dalsza na zachód droga prowadziła przez Apeniny Rzymskie w stronę Kortony i jeziora Trazymańskiego. Na szczytach Apenin leżały jeszcze śniegi; wezbrane rzeki i potoki utrudniały przeprawę. Ale dni były piękne, a ożywcze tchnienie wiosny

budziło nowe siły nie tylko w naturze, ale i w ludziach. Szczególnie wesoły był pierwszy dzień pochodu, po wyjściu z Rimini. Mieszkańcy małej rzeczypospolitej San Marino, którzy poprzednio drżeli o swą niepodległość, przekonawszy się, że im ze strony Dąbrowskiego nic nie grozi, przeprowadzali żołnierzy okrzykami: »niech żyją waleczni Polacy!« — i na pierwszy nocleg przystali im gromadkę owiec, a wraz z nią beczkę wina. Tuż za San Marino wznosił się jak gniazdo orle na pionowej skale zamek San Leo, który Włosi uważali od wieków za niezdojbyty, ale który zdobył już był poprzednio Dąbrowski. Żołnierze ze śmiechem przypominali sobie, że gdy grenadierowie z pierwszego batalionu założyli czapki na bagnety i ruszyli ku bramie, załoga sądząc, że widzi wielkoludów, tak się przelęknęła, iż kapitulowała natychmiast. Mówili też Markowi i Cywińskiemu, jak w więzieniach zamkowych znaleźli polskiego żyda rabina i jak oglądali celę, w której siedział wielki czarownik ¹⁾, u którego diabli służyli za parobków, ale z więzienia nie mogli go wydobyć, gdyż na progu był napis po łacinie święconą kredą; »kiep diabeł przeciw boskiej mocy«. Sierżant Twardek opowiadał im także o zajęciu Pesaro i Fano, gdzie mieszkał kardynał, nie ten sam, co w Imoli, ale inny, nazwiskiem Saluzzo, który przedtem bywał w Warszawie i po polsku mówił, »jakby kto grochem sypał«. Od oficerów dowiedzieli się, że był to istotnie ostatni nuncjusz, który z Polski wyniósł nie tylko miłe wspomnienia, ale szczerą dla niej miłość.

Z Urbino szli na Sant'Angelo, za którym piętrzyły się coraz wyżej szczyty Apenin. Wiosek i osad tu było mało, ludność na połoninach pasterska, na wpół dzika, bardzo do dawnego rządu i do swych duchownych przywiązana. Mieszkaniec, na wieść o ciągnących kohortach, zapędzał wyżej ku szczytom kozy i krowy, sam zaś podglądał ze stromych skał żołnierzy, a widząc nieznane mundury i słysząc nieznane

¹⁾ Cagliostro.

pieśni, nie umiał sobie zdać sprawy, co to za wojsko. Niektórzy sądzili, że to ludzie cesarscy dążą do Rzymu przeciw Francuzom, inni widzieli w nich nieprzyjaciół Ojca świętego i wiary. Czasem przewodnicy nastręczali się sami, gdzie indziej ludność kryła się w niedostępnych wąwozach. W kilku miejscach strzelano spoza zębów skalnych do żołnierzy i Marek po raz pierwszy w życiu usłyszał świst kuli koło ucha.

Na trzeci dzień po przejściu Sant'Angelo porucznik Piekarski, wysłany w przedniej straży, schwytał trzech pasterzy i młodą koziarkę z czarną, rozczochraną grzywą, płomiennymi oczyma i piersią, jakby wykutą z brązu. Ich chwyciono z dymiącymi jeszcze strzelbami, ją w chwili, gdy staczała głazy na idących dołem żołnierzy. Zostali skazani na rozstrzelanie, więc ustawiono ich nad wykopany umyślnie rowem, naprzeciw zaś stanęli z nabitą bronią grenadierzy. Jeden ze skazanych chwiały się na nogach i bliski był omdlenia, ale dziewczyna nie dała sobie oczu wiązać i, gryząc orzechy, śmiało patrzyła w skierowane ku sobie lufy. Żołnierzom zadrżały na ten widok lustry i karabiny w rękach, to też kamień spadł im z serca gdy przed ostateczną komendą: »pal!« pojawił się Małachowski, zastępca właściwego szefa batalionu, i ułaskawił całą czwórkę, a dziewczynę obdarzył nawet kilku bajkami, przykazawszy jej zarazem, by pamiętała, że Polacy są dobrzy chrześcijanie i katolicy. Uciekła jak spłoszona koza, przesyłając dłonią spoza skał żołnierzom całusy. Wieść o ułaskawieniu rozniosła się szybko po górach i miała ten skutek, że przez dwa dni następne ani jeden kamień nie stoczył się na szereg, a natomiast na postojach nie brakło koziarek z połyskliwymi zębami i płomiennymi oczyma, zaczępnych, a zarazem płochliwych i gotowych do ucieczki, pod warunkiem, żeby je ścigano. Jedną, nadzwyczaj urodziwą Marek poczytał za Atiantę i wcale nie był pewien, czy to nie jakaś wyższa nad zwykłe śmiertelniczkę istota, której podobało się żyć wedle zasad Rousseau'a na łonie natury. Myślał nawet, że możeby warto poświęcić serce i resztę dni żywota takiej dzikiej dzie-

wicy górskiej, na nieszczęście jednak rozkaz dalszego pochodu stanął tym zamiarom na przeszkodzie.

W czasie tych pochodów zauważył z radością i wzruszeniem, że jego uprzedzenia co do wyniosłości zwierzchników były mylne, i że w batalionie, mimo żelaznej karność, panuje spójność wielka i duch jakby rodzinny. Może tak było dlatego, że ojczyzna została za tą garścią rycerzy daleko, może wiazadłem była niepewność losu, a większa pewność śmierci na obczyźnie, ale kochali się jak bracia. Oficer nie tylko dbał o chleb dla żołnierza, ale kształcił go, uczył czytać i pisać, uczył go historii ojczyzny, a o Włoszech opowiadał, co sam widział. W korpusie oficerskim uczyli także jedni drugich rzeczy tyjących wojny i na te nauki pozwalali przychodzić nawet tym żołnierzom, którzy mogli mieć z tego korzyść. Marka, Cywińskiego i kilku innych podobnych im ochotników wzywano nawet często i chętnie, gdyż choć byli »gemajnami«, wiadano jednakowoż, że to są chłopcy »z edukacją«, którzy jeśli nie polegą w przyszłych wojnach, to zostaną oficerami. Wiedzieli o tym szeregowi i uważali w prostocie ducha, że się to »paniczom« należy.

Gdy, po wielu pochodach, zaszedli na północny brzeg jeziora Trazymeńskiego, kapitan Amira przywołał Marka i zapytał, czy wie, jakie wspomnienie związane jest z tą miejscowością, a po odpowiedzi chłopca, że tak jest, polecił mu, by opowiedział żołnierzom ze swej kompanii o bitwie Hannibala z Rzymianami. Marek wywiązał się z zadania, jak umiał, a chłopcy słuchały go z ciekawością, dziwiąc się, że to już i przed Wielkim Bartkiem (tak nazywano w legii Buonapartego), przed Kościuszką i przed Dąbrowskim »bywały tęgie jenerały«. Następnie jednak, chociaż rybacy naznosili mnóstwo ryb, żołnierze nie chcieli ich jeść, mówiąc, że »w tej wodzie za dużo luda namokło« — i próżno im tłumaczono, że od tej bitwy upłynęło przeszło dwa tysiące dwieście lat. Wieczorem odkomenderowano do głównej kwatery dziesięciu żołnierzy z podporucznikiem Krukowskim, a między nimi i Marka. Kwatera znajdowała się w okazałej willi wiejskiej, między

Terontolą a brzegiem. Jenerał Wielhorski odjechał był do Mantui, ale znajdowali się Dąbrowski, Kniaziewicz, szefowie batalionów, adjutanci, a prócz nich francuski pułkownik Gautier i Claudio, adjutant jenerała Rusca, jednego z przywódców wojsk cyzalińskich. Ponieważ wymarsz w kierunku Orvieto miał nastąpić nazajutrz, skoro świt, przeto jenerałowie chcieli zwiedzić słynne pole bitwy bodaj nocą, eskorta zaś okazała się potrzebna dlatego, że okolica nie była zbyt pewna.

Gdy żołnierze nadeszli, sztab siedział jeszcze na tarasie, przy świetle lamp, popijając wino z oplecionych słomą flaszek i paląc fajki. Na stole, między flaszkami leżała książka, którą Dąbrowski przykrywał w czasie rozmowy co chwila swoją ogromną dłonią. Pięciu szeregowców stało z każdej strony na schodach, wiodących na taras, oczekując, aż jenerałom podoba się wstać — i wówczas Marek usłyszał następującą rozmowę:

— W bitwie nad Trazymenem — mówił Dąbrowski — mało nie rozstrzygnęły się losy Rzymu, a zatem i losy świata. Gdyby Rzym był upadł w walce z Kartaginą, my może bylibyśmy tym, czym jesteśmy, to jest Polakami, ale (tu zwrócił się do Guatiera) ty, obywatelu pułkowniku, nie byłbyś Francuzem.

— A to dlaczego? — zapytał żywo Gautier.

Jenerał począł mu tłumaczyć, jaką drogą powstał język i naród francuski, a zarazem wykazywać, że gdyby Galię zajęli zamiast Rzymian Kartagińczycy, albo tylko Germanowie, to wytworzyłaby się z tego jakaś mieszanina zgoła odmienna. Naukowe te wywody nie na wiele się jednak przydały, gdyż Gautier, wysłuchawszy ich, odrzekł z niezachwianym przekonaniem:

— Jenerale, choćby diabli pomieszały się z Gallami, to ja byłbym tak samo Francuzem.

Dąbrowski kiwnął dłonią, po czym wziąwszy książkę, rzekł:

— Zanim pójdziemy na pole bitwy, możeby dobrze było

przeczytać jej opis. Wożę zawsze w swoim żołnierskim mantelzaku kilka książek, a między nimi i Liwiusza.

To rzekłszy, podał książkę Drzewieckiemu.

Drzewiecki wziął ją, lecz zanim ją rozłożył i znalazł odpowiedni ustęp, Gautier zapytał go z widoczną obawą:

— Po jakiemu to będzie?

— Po łacinie.

— Powiedz mi tedy, obywatelu, czy wyście byli księżmi w swojej ojczyźnie, czy co?

— Nie, ale w szkołach księża bili nas w skórę, ile wlaźło, żeby nas łaciny nauczyć — odpowiedział wesoło Drzewiecki.

Po czym popatrzył przymrużonymi oczyma na Marka, stojącego z karabinem u nogi tuż przy wejściu na taras, uśmiechnął się i rzekł:

— Ba, między nami i prości żołnierze umieją po łacinie.

— Obywatel drwiesz sobie ze mnie? — oburzył się Gautier.

Na to Drzewiecki skinął na Marka, a gdy ów zbliżył się i wyciągnął po żołniersku, wyjął mu z rąk karabin, a natomiast podał książkę i rzekł:

— Czytaj.

A Dąbrowski, który rad był zawsze pochwalić się swym żołnierzem, dodał:

— Siadaj i czytaj.

Gautier ścisnął zębami cybuch fajki i począł pykać mocno. Na tarasie uciszyło się, bo jednak wszyscy ciekawi byli usłyszeć nad Trazymenem opis trazymeńskiej bitwy. Z dala dochodziły tylko głosy wartowników. Niebo nad tarasem nabite było gwiazdami; w powietrzu wielki spokój.

Marek spojrział naprzód na rozświetloną toń jeziora, którą widać było doskonale, następnie na lampy, koło których kręciły się ćmy nocne i począł czytać wzruszonym, młodym głosem, co następuje:

»Przybywszy do jeziora poprzedniego dnia, o zachodzie słońca, Flaminius ruszył nazajutrz naprzód, zanim pierwszy brzask rozwidnił okolicę, i nie wysławszy dla jej rozeznania żadnych podjazdów. Gdy, po przejściu wąwozów, kohorty

na szerszej nieco równinie poczęły się rozwijać, spostrzegł tylko tych nieprzyjaciół, których miał przed sobą. Zasadzki z tyłu i nad głową uszły całkiem jego baczności. A wtem Kartagińczyk, ujrawszy, że stało się czego sobie życzył, i widząc Rzymian zamkniętych między górami i jeziorem, a zarazem otoczonych przez swe wojska, daje znak wszystkim naraz do ataku. Ci pędzą wprost, jak komu najbliżej. Mgła, gęstsza w dolinie, niż na wzgórzach, czyni ów atak bardziej nagłym i niespodziewanym. Kartagińczycy, rozstawieni na wyniosłościach, widzą się lepiej i pędzą w dół jednocześnie. Rzymianin tylko z krzyków, rozlegających się ze wszystkich stron, poznaje, że jest otoczony. Bitwa, nim legionista zwał się w szyki, nim za broń chwycił, nim wyciągnął miecze, rozpoczyna się z przodu, z boków, z tyłu.

»Wśród ogólnego przerażenia sam tylko konsul serca nie traci, a gdy w zmieszanych szeregach każdy zwraca się w tę stronę, z której dochodzą wrzaski najsrozsze, on, o ile może, zbiera żołnierzy, ustawia szeregi, napomina, rozkazuje stać twardo i walczyć mężnie. »Nie czas — woła — ślubować, nie czas błagać bogów: siła tylko i odwaga może was zbawić. Drogę przez nieprzyjaciół toruje jeno żelazo, a im mniej bojaźni, tym ratunek pewniejszy«. Niestety, wśród wrzasku i skrzętu nie słyszano ni rad, ni rozkazów. Żołnierz nie mógł odnaleźć swego znaku, swego szeregu, swego miejsca. Przytomności starczyło ledwie do chwycenia za broń. Niektórym zbroja raczej brzemieniem była, niż obroną. W głębokim mroku słuch służył lepiej od oczu. Więc zwracali wzrok i oblicza w stronę, skąd szły jęki rannych, dźwięk zderzających się zbroi, okrzyki triumfu i trwogi... Tym, co uciekali, zagradzał drogę zбитy tłum żołnierzy, tych, co wracali do bitwy, porywał prąd uciekających. Więc, gdy na nic był wszelki wysiłek, gdy z jednej strony góry, z drugiej jezioro, a z tyłu i z przodu nieprzyjaciół, — zrozumiał Rzymianin, że zbawienie jeno w prawicy i w żelazie. Za czym nowa rozszalała bitwa: nie taka w ordynku, którą rozpoczyna prymak, a toczą dalej włócznicy i groźne trzeciaki, — i nie taka, w

której przedchorągiewni biją się w przodku znaków, a za nimi uderza szyk główny, ale bezładna, gdzie żołnierz, walcząc, nie w swoim legionie, nie w swej kohorcie i rocie, sam sobie przewodnikiem i wodzem. Tak wielka zaś była zaciekłość wojsk obu, że nikt nie odczuł strasznego trzęsienia ziemi, które zburzyło mnóstwo miast w Italii, góry zrównało z ziemią, odwróciło biegi rzek i wepchnęło w ich koryta fale morskie...«

Marek odetchnął i przerwał, nie wiedząc, czy ma czytać dalej. Słuchali w skupieniu oficerowie; mniej biegły w łacinie Kniaziewicz pochylił głowę i otoczył dłonią ucho, by żadnego słowa nie stracić; pułkownika Gautier'a, który był w czasie czytania zasnął, zbudziła cisza, więc począł pykać na nowo ze zgasłej fajki, a wreszcie zabrał głos Dąbrowski.

Po francusku już, lubo niezbyt poprawnym językiem, jął opowiadać o śmierci konsula z ręki isumbryjskiego jeźdźca i o ostatecznej klęsce Rzymian. Wywołana opowiadaniem złowroga, ale oibryzmia postać Hannibala stanęła jakby żywa przed oczyma słuchaczy, okrutna, nieubłagana, zwycięska. Dąbrowski mówił dalej:

— Nie był to jeniusz, jak Aleksander lub Cezar, albowiem brakło mu wzniosłych pomysłów, które zmieniają życie człowieka; ale i Aleksander i Cezar, gdyby im przyszło z nim walczyć, mogliby byli bitwy przegrywać. Nie umiał może myśleć i czynić planów na dłuższe lata, ale natomiast na placu, wobec nieprzyjaciela nikt nie zdołał mu wyrównać. Wspomnijcie, że po bitwie trazymeńskiej przyszły Kanny.

— Tak, jenerale — przerwał Tremo — a jednak na Rzym po Kannach nie uderzył i Rzymu nie zburzył.

— »Umiesz zwyciężać, Hannibale, korzystać ze zwycięstwa nie umiesz« — zacytował słowa Maharbala Drzewiecki. Po czym dodał:

— Hannibala mogę podziwiać, ale nie mogę się do niego przekonać.

— Przekonać się trudno — odpowiedział Dąbrowski — albowiem brakło mu nie tylko wzniosłych pomysłów, lecz i

wspaniałomyślności. Nigdy mu serce nie zadrgało miłosierdziem, nigdy dobrocią. To dusza innej rasy. Ale tę swoją Kartaginę kochał jednak do ostatniego tchu życia, i gdy nadeszła chwila, w której zrozumiał, że na nic trud i cel życia, na nic niesłychane zwycięstwa, że Rzym, tylekroć przez niego zdeptany, triumfuje, a ojczyzna ginie i zginąć musi, wówczas był to człek chyba najbardziej nieszczęsny na ziemi. Widzę go oto jako tułacza na obcej ziemi — po Zamie — i schylam przed nim głowę, chociaż na Kapitolu nie był i Rzymu nie zburzył.

To powiedziawszy, umiął i dopiero po chwili rzekł:

— Ale już późno, więc może pójdziemy rzucić okiem na dawne pole bitwy.

Ruszyli wszyscy, z wyjątkiem pułkownika Gautier'a, który odezwał się z żołnierskim humorem:

— Mój jenerale, Hannibal mógł być wielkim wodzem, ale w Rzymie nie był, a ja byłem, więc idę spać.

I, przyłożywszy palce do skroni, zawrócił na miejscu i poszedł do swej kwatery.

A oni udali się nad jezioro i szli wolnym krokiem, mając przed sobą i za sobą po pięciu żołnierzy. Księżyc wysunął się już spoza Apenin, rozświetlił kortońskie wzgórza i położył się szerokim, srebrnym mostem na cichej toni. Noc była jasna, jak dzień, żadnego powiewu, i mgły, zwykłe nad Trazyemenem, nie przesłaniały widoku. Na tle skąpanych w białym niemal blasku zboczy rysowały się czarne wpadliny i wąwozy, w których czaili się swego czasu Kartagińczycy. Oficerowie to zatrzymywali się chwilami dla rozmowy, to szli dalej, rozglądając się dookoła. Niejeden mówił też sobie w duszy: »hej! gdzieśmy to doszli! śladami Hannibala aż nad Trazyemeńskie wody!« I tak myśląc, spoglądali na migające w oddaleniu ogniska polskich biwaków.

Dąbrowski znów zabrał głos, ale mówił cicho, jak się mówi w kościołach, albo na cmentarzach:

— Musiało się tu dużo zmienić. Zwiertzało dużo skał, porozsypywały się wzgórza, ale to było tu. Tu piętnaście tysięcy

legionów, cała siła Rzymu, leżała pokotem we krwi.

— A Rzym czekały jeszcze Kanny, zauważył Kniaziewicz.

Tremo zaś rzekł:

— Jednakże się ostał, i zwyciężył.

Na to Dąbrowski odkrył głowę, przyłożył dłoń do czoła i trwał tak przez chwilę a potem począł zwolna mówić:

— Bo nigdzie miłość ojczyzny nie gorzała tak wielkim płomieniem... Nigdzie obywatel nie był tak gotów na śmierć *pro aris et focis*... Ach! w Rzymie nie mogło być Targowicy, Rzym mógł być zgładzony, ale nie mógł być rozdarty między sąsiadów... Rzym to nie... Polska..

I dalsze słowa uwięzły mu w ustach, a tym, którzy go słuchali, przygniół dusze jako niezmierny ciężar. Zapadła cisza — i pochyliły się wszystkie głowy. Ściśnięte serca zalała wielka gorzycz...

Wtem z dala, wśród głuchej nocy, doszedł ich na tym trazyemeńskim pobojowisku, od strony ognisk i biwaków polskich, żołnierski głos śpiewający:

»Jeszcze Polska nie umarła¹⁾,
Póki my żyjemy...«

.

— Słyszysz, jenerale? — zapytał Tremo.

A Dąbrowski podniósł zażawione oczy ku księżycowi.

— Daj to Bóg — rzekł.

VIII.

Szli dalej. Niektóre bataliony w kierunku Terni. Przybył z Ankony dowódca trzeciego batalionu Grabiński i objął komendę, w której zastępował go dotychczas Małachowski. Słońce w pogodne dni dogrzewało już dobrze i granatowe

• 1) Tak brzmiał pierwotny tekst utworu Wybickiego.

kurty płwiały w jego promieniach, w nocy natomiast na wysokościach dokuczało zimno. Co pewien czas padały obfite dżdże. Pochody były trudne i nieraz o głodzie, gdyż rząd Rzeczypospolitej Rzymskiej nie przygotował żadnych składów po drodze i wogóle nie myślał o zaprowiantowaniu wojsk, zbliżających się do stolicy. Rekwizycje nie przynosiły tyle, ile było trzeba do wyżywienia żołnierza. Żywność i furaz dla koni brano siłą, albowiem mieszkaniec nie chciał przyjmować republikańskich bonów. Dużo koni od armat Aksamitowskiego odpadło, te zaś, które zajmowano wieśniakom, były mdłe i do służby artyleryjskiej niezdatne. W miastach, owianych duchem republikańskim, witano żołnierzy radośnie, natomiast w małych burgadach i po wioskach patrzono na nich jak na wrogów. Im dalej zaś szli w głąb państwa kościelnego, tym bardziej wzrastała niechęć, tym więcej było posępnego milczenia, tym więcej ognia i nienawiści w chłopskich oczach. Wieśniak żałował papieża, żałował swych księży, żałował dawnych rządów; Francuzów uważał za diabłów i za zbliżeniem się wojska uciekał w góry, a gdzie-niegdzie stawiał nawet zbrojny opór. Żołnierze, którzy w czasie postojów odłączali się nieostrożnie w pogoni za dziewczętami od swych plutonów, poczęli ginąć. W jednej z wiosek pod Città della Pieve znaleziono dwóch z poderzniętym gardłem, za co rozstrzelano na miejscu pięciu podejrzanych chłopów. Bieda dawała się we znaki z każdym dniem większa. Zeszłoroczne kasztany stanowiły podstawę pożywienia, a w wielu miejscach brakło i kasztanów. Gdzie żołnierz znalazł wino, pił bez miary. W ciągłych pochodach obdarł się też znacznie. W niektórych kompaniach podeszwy poodpadały całkiem od butów i nawet oficerowie maszerowali boso. Żołd miał być zapłacony dopiero w Rzymie.

Ale oni szli naprzód, nie zważając na biedę, jedząc byle co, śpiąc byle gdzie, krzepiąc się, kto fajką, kto winem, kto pieśnią. Na postojach pytał przy ognisku jeden drugiego:

— Cobyś zjadł? Kiełbasy łokieć byś zjadł? Grochu ze słoniną byś zjadł? to naści!

I rzucał w niego zmurszałym kasztanem, albo wyschlým włoskim orzechem.

Powiedziano im, że bieda skończy się w Rzymie, więc wesołość panowała w kompaniach. Ducha dodawała im też myśl, że idą do stolicy świata, w której nigdy nie powstało jeszcze wojsko polskie. Oficerów podtrzymywała również chęć zobaczenia wiecznego miasta, ale zarazem i marzenia o piękności Rzymianek. Wiedzano już z doświadczenia, że płowe czupryny synów Północy mają szczególny dla Włosek urok, każdy przeto spodziewał się, że tym bardziej tak będzie w Rzymie, gdyż żadne oczy niewieście nie oglądały tam dotychczas polskich wojowników. Nadzieja ta kołysała wszystkich, bez różnicy stopnia i wieku. Sam Kniaziewicz, który wówczas nosił jeszcze wąsy, począł je czernić codziennie, co widząc, uśmiechali się młodzi oficerowie i mówili między sobą, że gdzie pojawi się olbrzymia postać jenerała i rozlegnie się jego tubalny głos, tam prędzej strach niż miłość wzbudzić może. Jednakże już przy tęczowym wodospadzie w Terni znalazł jenerał swoją »Pandolfinę«, którą zresztą z miejsca zbałamucił mu adiutant Drzewiecki.

Marek w czasie pierwszych pochodów myślał, że Rzymu nigdy nie zobaczy, gdyż odparzenia na nogach zmieniły mu się w bąble, bąble w rany — i musiał iść do ambulansu, a inaczej mówiąc, wlec się podwodą za wojskiem. Ale zajął się nim szczerze chirurg batalionowy Otelli, a i sierżant Twardek leczył go na swój sposób, okładając mu stopy maścią, sporządzoną z oliwy i tartego prochu. Gryzło to, ale pomagało, tak, że po tygodniu stanął znów »paniczyk« w szeregu. W dalszych pochodach było mu, wbrew oczekiwaniu, coraz lepiej. Nogi wezwyczały się zwolna do butów, na dłoniach porobiły się twarde jak kamień odciski, dzięki którym karabin przestał go urażać; ciężka torba, którą przed wprowadzeniem tornistrów nosili legionieści, nie ciągnęła mu w dół ramienia. Słońce powlokło mu twarz złotawą barwą. W marszu szedł lekko, albo nawet lżej od starszych żołnierzy. Trud począł w nim mnożyć siły — młodość przewycięzała trudy. Cywiński

zapewniał go, że wkrótce będzie z niego żołnierz całą gębą. Jakoż, zanim doszli do Trazymenu, pełnił już służbę, jak pierwszy lepszy szeregowiec.

Twardek, instruktor batalionowy i wielki mistrz na bagnety, uczył go robić tą bronią, ale prócz tego nauczył go wielu innych rzeczy, które żołnierz wiedzieć powinien. On to pokazał mu, jak trzeba trzymać koszulę nad rozżarzonymi węglami, aby »gad« oczadział i wysypał się na zarzewie. Oddał mu też nieocenioną przysługę, pokazując sposób, w jaki należało obwijać nogi onucami, by nie uwierały w pochodzie. Marek słuchał go pilnie i korzystał z jego rad. Po niejakiem czasie począł udawać wiarusa: marszczył brwi bez żadnego powodu, przemawiał krótkimi, dobitnymi słowy, spoglądał groźnie na kozy, pasące się na zboczach, na bieliznę, porozwieszoną na sznurach przed domami — i wzdychał do bitew, chociaż obawiał się w głębi duszy, czy w pierwszym ogniu potrafi się dość bohatersko zachować.

Nauczył się także palić fajkę. Twardek uciął krótki, wierzbiny patyk, zdjął z niego korę, tak, jakby chciał zrobić fujarkę, rozłupał wzdłuż patyk wydłubał rdzeń, potem złożył obie połowy, naciągnął na powrót korę i cybuch był gotów. Opowiadał przy tym Markowi, jak niegdyś pod Weroną włoscy żołnierze, widząc u naszych takie cybuszki, pytali ich, jak się to robi? »A my im na to: trzeba w patyk dmuchać, póki z niego dusza nie wyleci. No, to jak wzieni, paniczku, dmuchać, to tak dmuchali i dmuchali, aż się trza było pod wiatr od nich trzymać, i dziwowali się, że żaden nie wskórał, a my im mówili, że dobrego tchu nie mają«. — Marek nie łatwo przywykł do żołnierskiego »tabaku«, ale się przemógł i wkrótce przekonał się, że fajka często może żołnierzowi chleb zastąpić.

Bogusławski, po załatwieniu rozmaitych spraw, z którymi był wysłany, dogonił swój batalion pod Orte i objął komendę nad tą kompanią, w której służyli Cywiński i Marek. Kapitan, czyniąc przegląd swych żołnierzy, zatrzymał na nich chwilowo swe kamienne, zimne oczy, jakby je zatrzymał na

każdym innym nowozaciężnym żołnierzem. Najmniejszym słowem, najmniejszym gestem nie dał poznać, że ich widział poprzednio i że w dziwnych okolicznościach zawiązały się między nim a nimi bliskie stosunki towarzyskie. Teraz byli to dla niego dwaj żołnierze i nic więcej. Dotknęło to ich obu, o szczególniej Marka, który pamiętał, jak w Weronie kapitan przyciskał go do piersi i mówił mu zdławionym głosem: »trzeba wytrzymać!« Lecz dotknięta miłość własna nakazała chłopcu zachowywać się względem kapitana również tak, jakby go przedtem nie znał. Obaj z Cywińskim poczęli jednak bacznie przyglądać się kapitanowi, albowiem dziwny ten człowiek zaciekawiał ich coraz bardziej.

Dostrzegli więc, że wśród kolegów oficerów więcej ceniono Bogusławskiego, niż lubiono. Żołnierze szanowali go tak, jak żadnego innego zwierzchnika, ale także nie otaczali go przywiązaniem, albowiem głównym uczuciem, jakie w nich wzbudzał, była obawa. Przez pewien instynkt, który trafnie odgaduje duszę ludzką, przezwali go »Pustelnikiem« i straszili się nim wzajemnie. Dość było sierżantowi powiedzieć: »Pustelnik cię obaczy«, by powściągnąć każdy wybryk, 'ub zapobiec niedbalstwu żołnierza. Jakoż trzecia kompania, którą dowodził Bogusławski, była wzorem dla całego batalionu. W żadnej innej bagnety, lufy karabinów i guziki nie połyskiwały tak świetnie, w żadnej granat mundurów nie zachował się lepiej, w żadnej żołnierz nie okazywał tyle sprawności w mustrze i — jak się to okazało przy szturmie Werony — tyle uporczywości w boju.

Jedna tylko kompania Nadolskiego mogła z trzecią iść w zawody, ale i Nadolski krzykiem, diabłami, piorunami i »psiąkrwią« nie umiał tyle wydobyć z żołnierza, ile Bogusławski każdym dłuższym spojrzeniem swych dziwnych i strasznych oczu.

Żołnierze, nie kochając go, mieli w nim jednak ufność nieograniczoną. Powszechne było przekonanie, że »Pustelnik« wszystko wie, wszystko umie, wszystko rozumie i że, gdyby zrobiono go generałem, »toby sprzał Niemców, jak się patrzy«.

Od niego tylko zależało pozyskać i wielką miłość tych prostych serc, albowiem nie było między oficerami nikogo, kto by więcej dbał o żołnierza. Marek i Cywiński zauważyli, że Bogusławski je chleb tylko żołnierski, żywi się z kotła, zabiega z wyjątkową energią i wytrwałością, by żołnierz nie marł głodem, kładzie się spać ostatni, a na postojach wykłada porucznikom matematykę, sierżantów zaś i żołnierzy uczy pilnie czytać i pisać. Niechby tylko był mniej surowy, niechby kiedy przeoczył umyślnie jaką winę, niechby przy fajce gwarzył z żołnierzami, jak czynili inni, powiedział czasem jakiś dowcip żołnierski, po którym śmiech idzie jak rotowy ogień przez szereg, ci ludzie skoczyliby za niego w ogień i wodę. Ale to wszystko było przeciwne jego duszy, w której uczucie, zamiast wyładowywać się na zewnątrz, zapadało w jakieś wewnętrzne, zamknięte głębie.

A jednak, gdyby Marek był mniej dotknięty zachowaniem się kapitana, byłby może spostrzegł, że ów zwierzchnik wodzi za nim czasem oczyma tak, jakby starszy brat wodził za młodszym, bardzo kochanym. Z niektórych drobnych uczynków i krótkich słów byłby zmiarkował, że ten milczący, surowy oficer może nie zapomniał tej chwili, w której objęły go młode ramiona i łzy litośne zwilżyły mu zboliałe piersi. Ale Marek nie umiał ani odczuć tego, ani zmiarkować.

Spostrzegł natomiast co innego, co napełniło mu młode, dobre serce współczuciem, a mianowicie, że kapitan był niezmiernie ubogi. Mundur na nim był zawsze czysty, ale tak wytarty, że można było policzyć nitki, buty zaś w takim stanie, iż Twardek, majster do wszystkiego, musiał po jednym dniu marszu przymocowywać do nich przez następne wieczory podeszwy, albowiem chciały koniecznie pozostać na drodze. Obaj młodzieńcy nie widzieli nigdy, żeby kapitan kupił co sobie do jedzenia lub picia poza zwykłą racją żołnierską, a że często wszyscy byli głodni, więc i on bywał głodny. Bieda srożyła się i między innymi oficerami, albowiem rząd cyzałpiński nie nadsyłał nigdy należnego żołdu w całości, a tym, co nadsyłał, dzielono się z kolegami nadliczbowymi. Marek miał

jeszcze z tego co mu wypłacił na odjezdnym szambelan, kilkadziesiąt czątych i z całej duszy pragnął udzielić coś z tego kapitanowi. Nieraz, przemagając obawę i wrodzoną nieśmiałość, zbliżał się do niego, by mu zaofiarować pomoc. Ale już za pierwszym razem, gdy stanął przed nim, z piętami przy sobie i z dłonią podniesioną do czoła, zrozumiał, że przedział między szeregowcem a starszym oficerem jest tak wielki, iż nigdy nie zdoła go przekroczyć.

IX.

Z Orte do Rzymu jest przeszło dwanaście mil drogi, ale nawet między oficerami, zwłaszcza młodszymi, było wielu takich, którzy, nie znając odległości i nie mając map, sądzili, że lada chwila zobaczą siedem wzgórz i kopuły miasta. Mieli je ujrzeć znacznie później, ale tymczasem zeszli za miastem w dolinę Tybru i szli jego prawym brzegiem, pełni wzniosłych historycznych myśli. — Tyber!... Wiedzieli przecie, że taka rzeka płynie pod Rzymem we Włoszech, było to jednak dla nich dotychczas więcej wyrażenie i pojęcie szkolne. A teraz oto spoglądali na jego mętne, żółte fale, prawie oczom nie wierząc, i niejeden powtarzał sobie w duszy: »jestem nad Tybrem!« jakby samego siebie chciał o tym upewnić. Wspomnienia szkolne cisnęły im się tłumnie do głowy. Maszerując w szeregu, wśród karabinów, opartych o ramiona polskich żołnierzy, i wśród połysków słońca na bagnietach, myśleli o Eneidzie o Eneasz, o Lawinii, o okrętach, zmienionych w nimfy, i o Turnusie. Niektórzy, obdarzeni silniejszą pamięcią, deklamowali, ku wielkiemu zdziwieniu żołnierzy ustępy z Eneidy, starając się rytm heksametrów pogodzić z równym, grzmiącym marszem szeregu. Wiatr wiał dość silny, przyginając wierzchołki cyprysów; po niebie przelatowały chmurki, zraszając drogę krótko trwającym dżdżem, po którym rozbłyskiwało znów jasne słońce. Krajobraz to posępniał to rozjaśniał się, jakby się śmiał do słońca. Potem chmury uciekły gdzieś nad morze, niebo wyblękitniało, wiatr ustał i uczynił się wielki

spokój. Srebrne liście oliwek przestały szemrać nad głowami żołnierzy. Pinie stały na wysokościach bez ruchu, jakby zamysłone. Kompanie rozciągnęły się długim węzłem po drodze i szły w kierunku Borghetto, mając wciąż u stóp Tyber. Rozległy się pieśni polskie, których echo skała odsysłała skałę, wzgórze wzgórze.

Żołnierze wyteżali wzrok, zawsze w nadziei, że w południowej stronie nieba ujrzą kopułę Świętego Piotra, ale do Rzymu było jeszcze daleko, a tymczasem ujrzeni tylko wyszczerbioną Soracte. Wówczas w myślach Marka Wirgiliusz wraz z Eneaszem zasunęli się na powrót w głębiny wieków, a wysunął się z nich Horacy. Niektórzy oficerowie poczęli powtarzać nazwę góry, ukazując ją sobie rękoma, czemu dziwili się żołnierze, widzieli bowiem przy przejściu Apenin wynioślejsze i bardziej strome szczyty.

Ale już słońce przeszło w stronę Civitavecchia i zniżyło się ku zachodowi. Coraz czerwieńsze światło oblewało skały przydrożne. Gaje cyprysów przybrały barwę fioletową; wieże kościołów poczęły maścić się purpurą. Wstał znów powiew i szedł od morza, nasycony wilgocią i chłodem. Potem słońce zaszło i ziemię jął otulać liliowy mrok. Tylko daleka Soracte świeciła długo jeszcze, jakby wielki stos płomienny.

Rzym obaczyły bataliony polskie dopiero za Monte Rotondo, po połączeniu się z tymi oddziałami, które szły z Ankony przez Spoleto. Dywizja wyruszyła z Monte Rotondo o świcie i szła dawną via Salaria. Ranek czynił się rozkoszny, rosisty, promienny, przesycony zapachem kwiecia mimozy, na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko nad ziemią unosiła się jakby złocista mgła subtelna i przezrocza, która raczej opromieniała niż przesłaniała skały, wzgórze, drzewa i domy. Na górze w oddali, ponad tą mgłą rozbliło coś w czystym błękitcie. Wysoko na niebie zarysowały się kształty kopuły, jakby zawieszona nad ziemią, lekkie, strzeliste, choć nie bodliwe, — zarazem wielkie i wesołe, władne nad całą krainą jakąś radosną władzą, potężne, a spokojne i ukojne, złane zaś w tak cudny i nieodzowny ład z okolicą, ze wzgórzami, z mającą-

cymi szczytami dalszych gór, — iż zdawało się, że tej krainie nigdy nie mogło ich braknąć, i że wraz z nią wyszły one przed wiekami z rąk bożych.

Na ten widok w pierwszych szeregach maszerującej kolumny podniosły się głosy i szły jak echo w głąb i głębiej aż do ostatniego szeregu, powtarzając dwa słowa:

— Święty Piotr, święty Piotr!

Od strony sztabu dano sygnał. Bataliony stanęły jak wkopane w ziemię. Wszystkie twarze zwróciły się ku kópule. Nastąpiła cisza i w tej ciszy, w porannych blaskach patrzyli ci polscy żołnierze z nad Warty, Niemna, Buga i Dniestru na wieki, rzymski kościół świata.

Ogarnął ich nastrój całkiem uroczysty. Było między szeregowcami wielu takich, którzy nie umieli czytać i pisać, ale nie było ani jednego, któryby nie rozumiał, że oczy jego patrzą na »moc Bożą«. Mówili im w czasie pochodów o tym kościele oficerowie i sierżanci, wiedzieli więc, że z niego »wiara płynie«, i że jest on dla wszystkich innych kościołów, czy to w Polsce, czy to nie w Polsce, tym, czym kokosz jest dla kurcząt. Porównanie to trafiało doskonale do ich umysłów. To też i sami czuli się w tej chwili pisklętami, które idą przytulić się pod skrzydłami kokoszy. Z tego powodu ta daleka świątynia wydawała im się jakby czymś polskim, czymś swoim i wraz z podziwem rodziła się w ich sercach do niej tęsknota.

INSTYTUT LITERACKI W RZYMIE

wydawać będzie arcydzieła literatury polskiej i obcej, dzieje Polski w powieści, wybitniejsze pozycje z dziejów polskiej myśli społeczno-politycznej, powieści współczesne polskie i obce, opracowania najważniejszych zagadnień gospodarczych, społecznych, politycznych i kulturalnych życia współczesnego.

W DRUKU:

ADAM MICKIEWICZ: *»Księga Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego«*. — Str. 112.

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *»Beniowski«* — Str. 352.

LEON BLUM: *»A l'échelle humaine«* (Na miarę człowieka) — Str. 120.

W PRZYGOTOWANIU:

»W oczach pisarzy« (Antologia noweli wojennej 1939-1945) w opracowaniu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego).

INSTYTUT LITERACKI

pragnie nawiązać w swej działalności do słów, stanowiących przed 150 laty akt erekcyjny Legionowego Instytutu Nauk we Włoszech:

»W one umiejętności zasobni, niosąc prawdziwe i czyste republikańskie serca, gdy do Ojczyzny powrócimy, stanemy się dla Niej bardziej użyteczni, niżeli dawni bracia nasi, pielgrzymujący do świata«.

INSTYTUT
LITERACKI
R Z Y M